



# NIEBEZPIECZNE ISTOTY

Feeria  
young

NOWA SAGA AUTORÓW **PIĘKNYCH ISTOT**  
KAMI GARCIA & MARGARET STOHL

# NIEBEZPIECZNE ISTOTY

PRZEKŁAD:  
JAROSŁAW IRZYKOWSKI

KAMI GARCIA & MARGARET STOHL

Feeria  
young

Ridley i Linkowi,  
gdyż wiedziałyśmy, że ich losy  
kryją jeszcze niemało  
– a naszym Czytelnikom za to,  
że pragną je poznać.

## ***PRZEDTEM***

### ***Ridley***

W prowincjonalnym miasteczku Gatlin, w Karolinie Południowej, są tylko dwa typy śmiertelników – przygłupi i przykuci. Tak przynajmniej oni sami twierdzą.

Jakby gdziekolwiek indziej istniały inne typy śmiertelników. Weźcie przestańcie.

Na szczęście syren jest tylko jeden rodzaj, gdziekolwiek bądź, czy to na tym świecie, czy w zaświatach.

Przykuta? Nie.

Kuta, na cztery nogi? Może.

Przygłupia?

Wszystko zależy od punktu widzenia. Oto mój: różnie mnie w życiu nazywano, ale przyznać trzeba, że jestem niedobitkiem – a choć przygłupich syren znajdzie się więcej niż kilka, to przygłupich niedobitków – zero.

Weźcie pod uwagę moje osiągnięcia. Z życiem uszłam kilku Najmroczniejszym Obdarzonym i stworom. Wytrzymałam całe miesiące w szkole Stonewall Jackson. Mało tego, przetrzymałam tysiąc okropnych piosenek miłosnych, napisanych przez niejakiego Wesleya Lincolna, niekumatego śmiertelnego chłopaczka, który stał się równie niekumatym ćwierćinkubem. I który, nawiasem mówiąc, niespecjalnie jest uzdolniony muzycznie.

Przez jakiś czas opierałam się też chęci napisania dla niego swojej własnej piosenki miłosnej.

To było trudniejsze.

Taki syreni występ to z założenia trasa jednokierunkowa. Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie Odyseusza i ze dwadzieścia stuleci martwych żeglarzy.

My się o to nie prosiłyśmy. Takie karty nam rozdano, ale nie usłyszycie, jak się na to użalam. Nie jestem moją kuzynką Leną.

Ustalmy jedno: pisane mi jest być czarnym charakterem. Zawsze sprawię wam zawód. Wasi rodzice mnie znienawidzą. Nie powinniście



na mnie stawiać. Na wzór do naśladowania przez was się nie nadaję.

Nie wiem, czemu wszyscy zdają się o tym zapominać. Ja stale pamiętam.

Lenie, cokolwiek by o tym mówiła, pisana była Światłość. Mnie przeznaczono Ciemność. Szanujcie te podziały, ludzie. A przynajmniej poznajcie zasady.

Moi rodzeni rodzice wyrzekli się mnie, gdy w moim szesnastym księżycu Ciemność upomniała się o mnie jako o syrenę. Od tamtej pory nic mnie nie rusza. Nic i nikt.

Zawsze wiedziałam, że osadzenie mnie w wariatkowie, które mój wuj Macon nazwał Ravenwood Manor, było tylko przystankiem na drodze do czegoś *większego i lepszego* – by użyć moich dwóch ulubionych słów. Nie, to byłoby kłamstwo.

Moje dwa ulubione słowa to moje imię i nazwisko, *Ridley Duchannes*.

No bo czemu nie?

Pewnie, że to Lena uchodzi za najpotężniejszą Obdarzoną wszech czasów.

Niech jej będzie. Nie czyni mnie to ani trochę mniej doskonałą. Nie działa tak też jej Zbyt Dobry, Żeby Był Prawdziwy, chłopak-śmiertelnik, Ethan „Błądny Rycerz” Wate, który w imię swej ukochanej dzień w dzień zмага się z Ciemnością.

I co z tego?

Mnie nigdy nie marzyła się doskonałość. Sądzę, że to już chyba jasne.

Robiłam swoje, grałam po swojemu, nawet wykladałam karty, jeśli było trzeba. Stawiałam, czego nie miałam, i blefowałam, póki się nie dorobiłam. Link powiedział kiedyś: *Ridley Duchannes stale coś rozgrywa*. Nigdy tego nie przyznałam, ale trafił w sedno.

Co niby jest w tym takiego złego? Zawsze wiedziałam, że bardziej leży mi gra niż patrzenie z boku.

Z jednym wyjątkiem.

Była taka gra, której żałowałam. Zresztą nie tyle gry żałowałam, co przegranej. I tego, że przegrałam z pewną Istotą Ciemności.

Z Lennoxem Gatesem.

Dwa żetony. Tyle tylko byłam mu winna, a i tak wystarczyło, by zmienić wszystko. Ale zanadto wybiegam do przodu.

Wszystko zaczęło się na długo przedtem. Pewien dług krwi czekał na spłacenie – tym razem jednak spłaty oczekiwano nie od mojej kuzynki i jej chłopaka.

Od Leny i Ethana? Od Liv i Johna? Od Macona i Marian? Już nie o nich chodziło.

Rzecz dotyczyła Linka i mnie samej.

Powinłam była wiedzieć, że nie ujdzie nam na sucho. Żaden Obdarzony nie podda się bez walki, choćby się wydawało, że bój już dobiegł końca. Żaden Obdarzony nie pozwoli ci odjechać w zachodzące słońce, czy to na grzbiecie kuśtykającego białego jednorożca, czy w poobijanym rzęchu twojego chłopaka, udającym samochód.

Jak się kończą baśnie Obdarzonych?

Nie mam pojęcia, gdyż Obdarzonym baśnie raczej nie leżą – a już na pewno nie Istotom Ciemności. O słońcu można zapomnieć – zamek spłonie do gołej ziemi, wraz z księciem z bajki. Potem siedmiu krasnoludkom coś odbije w stylu ninja i na kopach wywalą cię z królestwa.

Tak chyba wygląda baśń w stylu Istot Ciemności.

Co więcej mogę powiedzieć? Odpłata to suka.

Jeszcze tylko jedna uwaga.

Ja również.

## ROZDZIAŁ 1

### *Home Sweet Home<sup>1</sup>*

Była to ich ostatnia letnia noc, ostatnia noc ich wolności, ostatnia noc wspólnego trwania w bezczasy typowym dla Gatlin, w Karolinie Południowej – a Ridley Duchannes i Wesley Lincoln brali się za łby, nazywając rzecz po imieniu.

*A było kiedyś inaczej?* – zapytała siebie Ridley. Ta bitka nie przypominała jednak żadnej innej. To była walka do upadłego, na przetrzymanie, matka wszelkich nadnaturalnych nawalanek – *Syrena Predator kontra Obcy Hybrydowy Inkub*. Tak określił to Link, za jej plecami. Co przynajmniej w Gatlin prawie równało się powiedzeniu jej prosto w oczy.

Zacząło się tuż po rozdaniu dyplomów, a trzy miesiące później nadal przybierało na sile. Choć akurat po nich nie było tego widać.

Otwarcie przyznając, że wciąż jeszcze ze sobą wojują, Ridley i Link równie otwarcie potwierdziliby, że im jeszcze na sobie zależy. Wyjawienie takiego uzależnienia oznaczałoby zaś jawne przyznanie się do posiadania uczuć. A uczucia powodowały przesadne, przykre, mętne komplikacje.

To właśnie przez uczucia wplątali się w tę bijatykę.

*Obrzydliwość.*

Ridley prędeej zniosłaby dźgnięcie przez Linka sekatorem prosto w serce niż konieczność przyznania się do którejkolwiek z tych rzeczy. Wołałaby już paść na twarz, jak padł Abraham Ravenwood w swoim Ogrodzie Wiecznego Odpoczynku, gdy niekochany i samotny wydał ostatnie tchnienie – upadłszy bardzo nisko, jak na najpotężniejszego inkuba krwi w świecie Obdarzonych.

Ridley przynajmniej rozumiała Abrahama Ravenwooda.

Wyspecjalizowała się w byciu niekochaną i samotną.

Wielbiona i darzona posłuchem? Wspaniale. Budząca trwogę i nienawiść? Też by jej pasowało.

Ale kochana i z kimś w parze? To było trudniejsze.

Na tym polu sprawdzała się Lena.

Dlatego Ridley daleko było do przyznania, że nadal z Linkiem wojuje. Nie tego wieczoru, ani żadnego innego. Nie da się tak przewrócić jednego kamienia w dominie układów międzyludzkich, by inne się nie posypały. A skoro nie byli w stanie nawet uzgodnić, że ze sobą walczą, wołała raczej nie myśleć, co jeszcze mogłoby się zawalić.

Nie warto było ryzykować.

Z tej właśnie przyczyny Ridley nawet nie wspomniała, co jej chodzi po głowie, kiedy brnęła przez najbardziej kleiste bagnisko Gatlin, zmierzając w stronę jeziora Moultrie, w wysokich na kilometr platformach z węzowej skórki.

– Trzeba było włożyć buty na kaczuszkach – pożałowała się.

– Kaczuszki w butach? To chyba był kot – wyszczerzył się Link.

Rid dała się ubłagać i poprosiła, żeby ją zawiózł na durne przyjęcie pożegnalne, które wyprawiła jej kuzynka. Od tamtego wieczoru w Dar-ee-Keen w pierwszych dniach lata, kiedy Link popełnił ten błąd, że wyznał jej miłość, pierwszy raz byli sami przez okres dłuższy niż pięć minut.

– Miau – powiedziała, zirytowana.

Link wyglądał na rozbawionego.

– Do głowy by mi nie przyszło, że masz coś z kotki, Rid.

– Kocham koty – stwierdziła, wyrywając stopę z łachy schnącego błocka. – Połowa mojej szafy to panterka. – Głośnie mlaśniecie, które akurat wywołał jej but, skojarzyło się Ridley z siorbaniem wodnego lodu przez jej młodszą siostrę, Ryan.

– A reszta to skóra, Greenpisku. – Włosy Linka jak zwykle sterczały sztywno jak jakieś kolce – więcej mając z czupryny tuż po wstaniu z łóżka niż z boysbandowej fryzury. Widać jednak było, na kogo się robi. Sprany T-shirt głosił GRANNY BROKE BOTH HIPSTERS, a łańcuch, wiszący pod portfelem, pobrzękiwał jak smyczka dla szczeniaka. Innymi słowy, Link, nawet jako hybrydowy inkub wyglądał jak każdego dnia za swego dawnego życia. Pozyskanie nadnaturalnych mocy nie miało żadnego wpływu na jego wyczcucie stylu.

*Wciąż jak ten chłopak, na którego poleciałam, pomyślała Ridley. Chociaż wszystko inne między nimi się pozmieniało.*

Znów wyrwała stopę z błota i poleciała przy tym na plecy. Link złapał ją, oszczędzając pełnej błotnej kąpieli. Zanim Rid zdążyła



cokolwiek powiedzieć, przerzucił ją przez ramię i ruszył wielkimi krokami przez mokradła, na sam skraj jeziora.

– Postaw mnie. – Rid się wierciła, robiąc porządek z minispódniczką.

– Chętnie. Czasem wyłazi z ciebie bachor – zaśmiał się Link. – Na pewno chcesz, żebym cię znów postawił? Bo już mam całe mnóstwo kawałów o blondynkach...

– Boże mój, weź przestań... – Tłukła go po plecach, jednocześnie kopiąc w pierś kolanami, w głębi ducha jednak nie miała nic przeciwko tej przejażdżce. Ani przeciwko kawałom. Ani przeciwko supersile. Ćwierćinkub w roli byłego chłopaka miał swoje zalety. Za korzyść z tego tytułu trudno było jednak uznać zwisanie głową w dół, więc Rid postarała się podciągnąć i wyprostować w jego ramionach.

Lena machała do nich z miejsca biwakowego, znad prowizorycznego paleniska, tuż nad wodą. Boo Radley, masywny czarny pies Macona, leżał zwinięty u jej stóp. Ethan i John jeszcze pracowali nad roznieceniem ogniska, na sposób śmiertelników, pod kierunkiem Liv – choć raczej nie z powodu jej wcześniejszych doświadczeń z rozpalaniem ognisk. Prawdopodobnie dlatego wciąż zaledwie dymiło.

– Hej, Rid. – Lena się uśmiechnęła. – Niezła podwózka.

– Ja mam imię – przypomniał Link, podtrzymując Ridley jedną ręką.

– Hej, Link. – Czarne loki Leny związane były w luźny węzeł, a na szyi miała swój dobrze znany naszyjnik z zawieszkami. Nawet jej stare czarne chunki były nadal te same.

Ridley zauważyła za to, że kolekcja amuletów Leny już powiększyła się o ozdobę z rozdania dyplomów. Bezsensowne ceremoniały śmiertelnych. Na twarzy Rid pojawił się złośliwy uśmieszek, bo przypomniała sobie, jak dyplom Emily Asher przemienił się w prawdziwego węża, tuż po tym, jak uściśnął jej dłoń dyrektor Harper. *Jedno z moich lepszych dzieł*, pomyślała Ridley. *Nie ma to jak parę węży, żeby zakończyć nudną akademię, i to szybko.* Lena jednak na tysiąckroć szczęśliwszą wyglądała teraz, gdy Ethan wrócił.

– Na dół. Natychmiast. – Ridley dla porządku obdarowała Linka jeszcze jednym kopniakiem.

Link postawił ją z impetem, szczerząc się w uśmiechu.

– Nie waż się już mówić, że nic dla ciebie nie robię.  
– Och, Skurczaku. Jeśli myślenie jest w cenie, ciebie to nie dotyczy. – Słodko się do niego uśmiechnęła. Wyciągnęła rękę i poklepała go po głowie. – To tutaj jest jak dmuchany materac.  
Link się tym nie przejął.  
– Moja mama mówi, że jak balon.  
– Żółwik, barani łbie. – Ethan do dymiącej sterty szczapek dorzucił ostatnią. Przybili sobie z Linkiem piątki.  
Liv westchnęła.  
– W te szczapki idzie mnóstwo tlenu. Wykorzystałam klasyczny model tipi. Jeżeli prawa fizyki nie uległy zmianie, nie rozumiem, czemu...  
Ethan zerknął na Lenę.  
– Musimy robić to sposobem śmiertelników?  
Potwierdziła.  
– Większy ubaw.  
John zapalił kolejną zapałkę.  
– Dla kogo?  
Ridley uniosła dłoń.  
– Chwileczkę. To zakrawa na biwakowanie. Czy to jest biwak?  
Jestem na biwaku?  
Link przeszedł przez palenisko.  
– Może tego nie wiecie, ale dla Ridley biwakowanie to nieszczęśliwy pomysł.  
– Siadajcie. – Lena rzuciła jej znaczące spojrzenie. – Bo zaraz was wszystkich bardzo uszczęśliwię. Choćby i na biwaku. – Pstryknęła palcami i ogień zapłonął.  
– Kpisz sobie ze mnie? – Liv, urażona, przeniosła wzrok z trzaskających płomieni na Lenę, podczas gdy chłopaki zarykiwały się ze śmiechu.  
– Chcesz, żebym zgasiała? – Lena uniosła brew. Liv westchnęła, ale sięgnęła po pianki cukrowe, czekoladę i grahamowe krakersy. Przez swój sentyment do przekąsek, wyblakłe T-shirty z logiem Grateful Dead i niezdarne warkoczyki sprawiała wrażenie kogoś, kto szuka sobie miejsca raczej w liceum, niż na studiach. Wystarczyło jednak, że Liv otworzyła usta, a już chciało się zaliczyć ją do grona profesorów.  
– Za widok Rid na prawdziwym kempingu dałbym sporo kasy. –

Link klapnął obok Ethana.

– Twojemu zasiłkowi, Skurczaku, zbyt daleko do sporego, żeby wygonił mnie na biwak. – Rid szukała sposobu na to, jak usiąść na kamieniu blisko ogniska, aby nie podrzeć cienkiej spódniczki z czarnego spandexu, którą szpanowała.

– Czyżby mały problem z twoją nanospódniczką? – Link klepnął prowizoryczne siedzisko tuż obok siebie.

– Nie. – Ridley skręcała w palcach różowe pasemko we włosach. Lenę, która akurat nabijała piankę na patyk, rozśmieszyło jej kolejne podejście do usadowienia się na kamieniu.

– Zawinięta w ten swój bandażyk nie możesz zrobić siad? – Link świetnie się bawił.

Ridley – wprost przeciwnie.

– To jest mikro-mini. Od Miu Miu. Skąd jednak miałbyś to wiedzieć? Nie ubrałbyś nawet choinki.

– Mam swój własny styl, kotuś. I żeby się obkupić, nie muszę szukać Miau Miau.

Ridley, dając sobie spokój z kamieniem, przysiadła na skraju jednego z pniaków, tuż koło Linka.

– Styl? Ty? Twarz myjesz szamponem, a zęby szorujesz ścierką do naczyń.

– O co ci chodzi? – Link uniósł brew.

Lena przyjrzała się im.

– Wystarczy. Nie mówcie, że jeszcze to ciągniecie. Nawet jak na was, to już jakiś rekord. – Zamachała patykiem i jej pianka zajęła się ogniem.

– Jeżeli starasz się nawiązać do pewnej szczególnej nocy... – zaczęła Rid.

– To była bardziej rozmowa – powiedział Link. – I ona mnie wtedy olała...

– Przecież przeprosiłam – skontrowała Rid. – Znasz jednak to powiedzenie: raz śmiertelnik, zawsze...

– Śmiertelnik? – parsknął Link. – Syrenie nie uwierzyłbym, gdyby nawet...

Lena podniosła rękę.

– Powiedziałam: nie mówcie. – Ridley i Link z zakłopotania zaczęli unikać swoich spojrzeń.

– Wszystko gra – zapewnił sztywno Link.

– Z biwakiem – Ridley zmieniła temat.

Lena potrząsnęła głową.

– Nie, to nie jest biwak. To raczej... Brakuje mi na to słowa.

Chrupanki? – Zgarnęła swoją brązowo-białą paćkę między dwa grahamowe krakersy i całość wepchnęła Ethanowi w usta.

Ethan mruknął, jakby chciał coś powiedzieć, nie mógł jednak otworzyć ust na tyle, by wydusić z nich zrozumiałe słowa.

– Rozumiem, że smakuje ci moja chrupanka? – Lena obdarzyła go uśmiechem.

Potwierdził ruchem głowy. Tego wieczoru, w swym najstarszym T-shircie Harleya-Davidsona i złachanych džinsach, wyglądał jak wtedy, gdy Ridley go poznała w Stop & Steal, po treningu koszykówki. Co zakrawało na wariactwo, zważywszy na to, co potem mu się przytrafiło. *Na to wszystko, przez co ten chłopak przechodził przez moją kuzynkę. A ludziom się zdaje, że to z syrenami jest ciężko płci przeciwnej. On dla niej zrobiłby wszystko.*

Głosik w głowie Ridley zaraz przypomniał jej oczywistość: *Miłość i bycie razem to przeciwieństwo niekochania i samotności.* Ciężko jej było znosić widok tak funkcjonalnego związku.

Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową, żeby dojść do siebie.

– Chrupanka? Czy aby nie chodziło ci o chrapankę? Bo byłby to marny patent na ostatnią noc we wspólnym gronie. Lepiej narobić sobie wrogów. Złamać jakieś prawo. A cheerleaderki...

– Nie dzisiaj. – Lena pokręciła głową, nabijając na patyk kolejną piankę.

Rid ustąpiła i żeby się pocieszyć, porwała torbę czekoladek. Syreny uwielbiają słodkości, a w jej przypadku to się szczególnie sprawdzało.

– Mów za siebie. Według mnie, to jest genialne – stwierdziła Liv, wypełniając buzię glutem z czekolady, pianki cukrowej i grahamowego krakersa. – Roztopiona czekolada i ciepła pianka, zespolone w jedno, na tym samym krakersie? Toż to demokracja w najczystszej postaci. Właśnie za to kocham Amerykę. Za chrupanki.

– I to jedyny powód? – spytał prowokacyjnie John.

– Jedyny powód? Tak. Nie. – Liv trochę się droczyła, oblizując palec. – Chrupanki, Dar-ee Keen i kanał The CW<sup>2</sup>. – Posłała mu tak

rozkoszne spojrzenie, że się uśmiechnął, wrzucając Boo Radleyowi piankę do rozdziawionego pyska. Boo z uznaniem merdnał ogonem.

\*\*\*

Dwadzieścia pięć pianek później Boo okazywał już nieco mniej wdzięczności, a ognisko przygasało, noc jednak wciąż jeszcze była młoda.

– Widzicie? Zero łez. Zero pożegnań – powiedziała Lena, rozgrzebując popiół swym mocno przypalonym patykiem. – Po naszym wyjeździe też nie życzymy sobie żadnych tekstów rodem z tandetnych kartek z życzeniami.

Ethan otoczył ją ramieniem. Lena starała się, jak tylko mogła, ale nawet wszystkie słodkości tego świata nie ułatwiłyby tego pożegnania.

Nikommu z ich szóstki.

Ridley się skrzywiła.

– Jeśli chcesz się porządzić, kuzyneczko, załóż jakieś stowarzyszenie. – Przetraszała torbę pełną papierków po czekoladkach. – To nasza ostatnia noc w tym gronie. I co? Trzeba się z tym pogodzić i iść dalej. To się nazywa surowa miłość, ludzie. – Ridley usiłowała zagadać problem, w głębi ducha czuła jednak, że i w jej przypadku ta surowa miłość miała w sobie niewiele więcej gorzkości niż podpiekane pianki jej kuzynki.

Po prostu, obie inaczej ją okazywały.

Lena jeszcze bardziej znieruchomiała, wpatrzona w ogień.

– Ja tak nie potrafię. – Potrząsnęła głową. – Za wiele razy pozostawiałam za sobą za wiele osób. Nie zrobię tego ponownie. Nie wam, ludzie. Nie chcę, żeby się wszystko zmieniło. – Poszukała Boo, ukryła dłonie w jego gęstej sierści. Opuścił łeb na łapy.

Cała szóstka przyjaciół pogrzyżała się w takim milczeniu, że słyhać było jedynie trzaski dogorywającego ogniska.

Ridley w tej ciszy czuła się nieswojo, mniej jednak niż podczas poprzedzającej ją rozmowy o uczuciach, wołała się więc nie odzywać.

Pierwszy przemówił wreszcie Link.

– No cóż, zmiany się zdarzają. Nauczyłem się je naprawdę uwielbiać – oznajmił, ściskając w palcach piankę. Szturchnął Johna, siedzącego na kamieniu między nim a Liv. – Koleś, kiedy przemieniałeś mnie w inkuba, trzeba było mnie ostrzec, że już nie

trzeba będzie jeść i wszystko będzie smakować badziewnie. Nazarłbym się po raz ostatni.

John pokazał mu pięść.

– Tylko w jednej czwartej jesteś inkubem, wielkoludzie, a ja wyświadczyłem ci przysługę. Gdybyś nadal żarł tamto wszystko, nikt nie nazywałby cię wielkoludem.

– Nikt go tak nie nazywa – wtrącił Ethan.

– O co wam chodzi? – Link wyglądał na urażonego.

– Chodzi mi o to, że byłeś dość niewydarzony, piankowy marynarzyku, a teraz laski ustawiają się w kolejkę. Mają na ciebie oko.  
– John usiadł prosto.

– No nie, błagam – zaprotestowała Ridley. – Jakby łeb mógł mu jeszcze bardziej spęcznieć z dumy.

– Nie tylko on mi teraz potrafi napęcznieć. – Link puścił oko, a cała reszta jęknęła. Ridley przewróciła oczami, jego to jednak nie ruszyło. – Daj spokój. Jakbyś nigdy tego nie widziała.

Lena się wyprostowała, przyglądając się przez płomienie twarzom swoich najbliższych przyjaciół.

– W porządku. Dajmy sobie spokój. Dajmy sobie spokój z pożegnaniami. Ale co z tym, że jutro rozjedziemy się do szkół? – Zerknęła na Ethana.

– I do Anglii – westchnęła Liv, biorąc Johna za rękę.

– I do piekła – dorzucił Link – gdyby zapytać o zdanie moją matkę.

– Co nie każdego z nas dotyczy – powiedziała Rid.

– Chcę powiedzieć, że nie musimy tego załatwiać jak śmiertelnicy – oświadczyła Lena. Ethan dziwnie na nią spojrział, ale mówiła dalej: – Zamiast tego, zawrzyjmy pakt.

– Ale żadnych przysiąg na krew – zastrzegł się John. – To pasowałoby do inkubów krwi.

Linkowi pomysł przypadł do gustu.

– To kolejny patent rodem z biwaku? Bo na obozach kościelnych nie robiło się takich rzeczy.

– Żadnej krwi – zapewniła Lena.

– Może więc przypieczętowanie śliną? – Link jeszcze nie tracił nadziei.

– Brr – skomentowała to Rid, spychając go z pieńka.



– Żadnego pieczętowania śliną. – Lena wychyliła się w przód, wyciągając rękę nad ogniem. Płomienie, odbijające się w jej dłoni, mieniły się oranżem i czerwienią, a nawet błękitem.

Rid przeszedł dreszcz. Jej kuzynka do czegoś się przymierzała, co przy mocach tak w przypadku Leny nieprzewidywalnych, nie zawsze oznaczało dobry pomysł.

Pod opuszkami palców Leny popiół się rozżarzył.

– Musimy wyróżnić to spotkanie czymś nieco mocniejszym od chrupanek. Nie trzeba żadnych pożegnań. Potrzebne będzie tylko zaklęcie.

Tytuł utworu z repertuaru zespołu rockowego Motley Crue. Zapewne z uwagi na duże znaczenie rocka dla fabuły książki, wszystkie rozdziały opatrzone tytułami pochodzącymi z płyt gwiazd tej muzyki, m.in. Pink Floyd, Metalliki, AC/DC, Guns N' Roses, Iron Maiden i Black Sabbath. Zgodnie z przyjętymi zasadami, pozostawione zostały w brzmieniu oryginalnym (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

The CW Television Network, popularny w USA kanał telewizyjny, adresujący swą ofertę przede wszystkim do kobiet w wieku od 18 do 34 lat. Ramówka wypełniona jest głównie serialami, sitcomami i programami typu reality show. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 2

### *Symptom of the Universe*

Sześcioro przyjaciół opłotkami krążyło wokół tego pomysłu, aż wzeszedł księżyc i ognisko niemal całkiem zgasło, ale Link wciąż jeszcze nie miał pewności, do czego dochodzą.

*Po prostu mają doła*, pomyślał. *Nie wydaje się, żeby było na to jakieś zaklęcie*. Nie palił się jednak do roli tego, który wychodzi przed szereg z tą nowiną. Skoro Lena i Liv wołały udawać, że można zdziałać coś, co zmieni fakt, że następnego dnia oni wszyscy rozjadą się z Gatlin w diabły, nie zamierzał rozwiewać im złudzeń. Gdy szło o Obdarzonych i ich zaklęcia, nauczył się stać z boku.

– Oto czego chcemy: czegoś, co zapewni, że gdziekolwiek byśmy powędrowali i cokolwiek byśmy robili, zawsze, ale to zawsze, będziemy pamiętać o pozostałych. – Lena szturchnęła Ethana w świetle księżyca. – Prawda?

– Naprawdę musisz pytać? – wymamrotał Ethan, cokolwiek sennie gładząc jej szyję. – Do tego nie trzeba zaklęcia.

– Gdziekolwiek? Nawet po drugiej stronie oceanu? – upewniła się Liv, ściskając dłoń Johna.

Link odwrócił wzrok. Od dawna było wiadomo, że John, jak zbity psiak, przemierzy za Liv pół świata, żeby – dopełniając szkolenie wymagane od strażniczki – mogła też skończyć studia na Oksfordzie. W przypadku jego i Rid nie byłoby to możliwe nawet wtedy, gdy jeszcze coś ich łączyło.

Tego wieczoru jednak Liv i John cieszyli się, że są razem jak dwie połówki małża, a Ethana też nie oderwałoby się od Leny nawet łopatką od ryb wielkości Linkowego Rzęcha. Wprawdzie wybierali się do szkół w różnych miastach, ale w tym samym stanie; taki kompromis dopuściły ich rodziny. Linkowi nie udało się nawet zapamiętać nazw tych szkół, choć pozornie wysłuchał z tysiąca rozmów o nich – o samych szkołach, o internatach i listach lektur. *Bla, bla, bla*. Wiedział jedynie, że trafią do konkurujących ze sobą szkół w sennych starych miasteczkach Massachusetts (a może w Michigan, czy innej

Minnesocie – jaka to, u licha, różnica?), oddalonych od siebie o półtorej godziny jazdy. *Choć z ich zachowania można by sądzić, że chodziło o półtora tysiąca kilometrów.*

*Przybici jak wieniec bożonarodzeniowy.*

Mimo to, słodka durnota tego wszystkiego nawet rozrzewniła Linka. Kim bowiem był, żeby to oceniać? Jeżeli komuś się poszczęściło, to na pewno Lenie i Ethanowi. Ale nawet Liv i John potrafili nadal trzymać się razem. Wyglądało na to, że najmocniejszy w Gatlin przypadek nieudanego związku stanowił on sam i Ridley.

*Związku już nieistniejącego, upomniał siebie.*

– Nic się nie zmieni. – W tonie Leny czuło się powagę. – Nie dopuścimy do tego. Zbyt wiele razem przeszliśmy, żeby nie wiedzieć, że jedyne, co się liczy, to ludzie, na których człowiekowi zależy.

W migotliwym świetle Link – jak na złość – wychwycił spojrzenie Ridley. Natychmiast odwróciła wzrok, udając, że słucha Leny, jakby naprawdę ją to obchodziło. *Byle tylko mnie zignorować, pomyślał. Stale ta sama sztuczka i nadal jej się zdaje, że nie wiem, co kombinuje.*

*Zupełnie, jak przedtem.*

– Uważasz więc, że dzięki zakłęciu będziemy trzymać się razem?  
– spytała Ridley, podtrzymując pozory słuchania. – Nie moglibyśmy, nie wiem, wysłać sobie kartek?

Lena ją zignorowała.

– Może Marian coś nam podpowie.

– Albo i nie. Bo to kiepski pomysł – powiedziała Ridley.

– Nie, czekajcie. Wydaje mi się, że coś mam. – Liv miała rozplecione warkoczyki, a w głosie czuło się zmęczenie. Jednak iskierki w jej oczach płonęły jasno, niczym pozostałości ogniska. – Zakłęcie wiążące. W ten właśnie sposób chroni się Ravenwood, nie dopuszczając tych, którzy mogliby mu zagrozić, prawda? Nie mogłoby więc związać razem sześciorga ludzi? Teoretycznie tak.

Lena wzruszyła ramionami.

– Odnieść zakłęcie wiążące do ludzi? To mogłoby zadziałać. Nie widzę powodu, dla którego miałoby nie zadziałać.

Link podrapał się w głowę.

– Ale jak zadziałać? Nasze ręce na stałe połączyłyby się w grupowym uścisku? A może zaczęlibyśmy sobie nawzajem czytać w

myślach? Możecie to bardziej doprecyzować? – *Nie żebym miał coś przeciwko Związaniu z Rid*, pomyślał. *Nie byłoby przynajmniej takiej ściemy.*

Lena wpatrywała się w żarzące się węglaki.

– Któż to wie? Byłoby w tym coś z improwizacji. Nieczęsto rzuca się zaklęcia, żeby wiązać ludzi.

– Jeżeli w ogóle – westchnęła Rid. – Tylko czemu jestem tu jedyną osobą, która sądzi, że powinniśmy, zamiast tego, wyciągnąć brzoskwiniowego sznapsa i wybrać się na kręgle? – Nie chwyciło. – To może choć na śniadanie?

Link kopnął w stronę ogniska grudę ziemi. Co wstąpiło w Rid, że się tak przejmowała używaniem mocy? Zrobiła się taka jakoś latem. Płochliwa jak szczeniaczek i niemal tak samo nerwowa.

– To nie jest czarna magia, Rid – powiedziała Lena. – Jeśli zrobimy coś niewłaściwego, odczynimy to.

– Zdarzyło się kiedyś, żeby te słowa NIE wróciły, by cię dręczyć? – Ridley pokręciła głową.

– Chodzi o drobiazg – oznajmiła Lena. – O takie małe miki, żebyśmy o sobie nie zapomnieli. Coś w rodzaju przypominajki, ku pamięci. Coś takiego mogłabym zrobić i przez sen.

Rid uniosła brew.

– Ktoś tu trochę zhardział, odkąd przywrócił swemu chłopakowi życie.

Lena zignorowała przytyk i wyciągnęła do Ridley dłoń.

– Chwyćmy się wszyscy za ręce.

Ridley westchnęła i wzięła Lenę za rękę, chwytając też dłoń Linka, ciepłą i spoconą.

Wyszczrzył się i lekko uścisnął jej rękę.

– Będzie zbereźnie? Proszę, niech będzie zbereźnie.

– Ja proszę, żebyś się przymknął – odparła Rid. Trudno było się jednak nie uśmiechnąć, musiała więc wyteżyc siły, żeby nadal udawać niechęć.

John chwycił za rękę Liv, a Liv Linka. Ethan, złapawszy Johna i Lenę, uzupełnił krąg.

Lena zamknęła oczy i zaczęła cicho mówić:

– *Nastanie pora większa od gór i człowieka...*

– To już to? – zapytał Link. – To zaklęcie? Czy teraz je tworzysz?

Bo wydawało mi się, że wszystkie twoje zaklęcia są po łaci... .

Lena podniosła powieki i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem, a jej oczy, jedno zielone, drugie złote, roz błysły w blasku resztek ogniska. Usta Linka same się zamknęły i odebrało my głos, jak to bywało pod wpływem działania Obdarzonych. Z trudem przełknął ślinę. Efekt byłby taki sam, gdyby Lena zalepiła mu usta taśmą klejącą.

Pojął ten komunikat.

Znów zamknęła oczy. Gdy wypowiadała słowa, Link niemal widział je zapisane, jakby rozwijał się przed nimi jakiś zwój.

*Nastanie pora większa od gór i człowieka,*

*Gdy wszędzie sześciolicy księżyc.*

*Jeśli mnie wezwiesz, nie będziesz długo czekać*

*I sześciogłowy koń przybieży*

*Choć z szesnastu księżyców nic nasza się bierze,*

*A księżyców dziewiętnaście dopełni ten czas,*

*Niechaj Gwiazda Południa nas wiąże i strzeże,*

*I w chwili śmiertelnej zgrozy...*

*Ześle nas.*

Niebo przecięły błyskawice, rozpruwając ciemne chmury i

odbijając się w znieruchomiałej tafli wody. Boo zawarczał.

Całą ich szóstkę przeszedł dreszcz – niczym zimny prąd od samego jeziora – i opuścili ręce, jakby rozłączyła je jakaś niewidzialna siła.

Krąg został zerwany.

Link sprawdził, czy głos mu wrócił, i z ulgą odkrył, że może mówić. Co było korzystne, bo miał coś do powiedzenia.

– W mordę różowego miśka! Co to było? – Wytrzeszczył oczy. – „W chwili śmiertelnej zgrozy”? I to „ześle nas”? Gdzie nas ześle? Co ty wygadywałaś? – Głos miał chrapliwy, jak po krzyku.

Lena chyba poczuła się niezręcznie.

– Takie właśnie słowa do mnie przyszły.

John zeszywniał na swoim kamieniu.

– Czekał, co takiego?

Lena wyraźnie się wiała.

– Nie spodziewałam się tego o zgrozie. Ale nieźle wyszło, prawda? – Ledwie to powiedziała, zafrasowała się. – Choć może jednak nie najlepiej wypadło?

– Myślisz? – Ridley spróbowała jakoś inaczej się usadowić na swym twardym pieńku. Na zachwyconą nie wyglądała.

– To mogła być przepowiednia? – Liv spochmurniała. – Ostrzeżenie lub groźba, że czeka nas koniec?

Lena wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Wyszło, jak miało wyjść. Znaczący, to właśnie mi się nasunęło, gdy spróbowałam się skupić na związaniu.

Tu już Link całkiem się pogubił.

– Co to znaczy, że ci się nasunęło? Jak mogłaś rzucać zaklęcie, nie wiedząc, co rzucasz? A jeśli to było coś naprawdę wrednego? Bóg wie, czemu jeszcze nas coś takiego nie spotkało!

Ethan stuknął go w ramię.

– Pani wyluzuje, pani Lincoln.

Link posłał mu paskudne spojrzenie, które zresztą się Ethanowi należało. Po prostu nic gorszego nie można byłoby Linkowi powiedzieć.

Spokojnie.

*Koleś, weź się opanuj.*



– Lena wie co robi. – Ridley postarała się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

*Jeśli będzie to powtarzać, może w końcu stanie się prawdą,* pomyślał Link.

– Ridley ma rację. Wszystko gra. Nic się nie stało. Nie ma powodu panikować. – Liv raczej sama nie wierzyła w to, co mówi.

Nie wyglądało na to, żeby Lenie było przez to źle.

– Cóż, Więż już raczej nas połączyła. Widzicie? Coś się dzieje. – Wskazała na ognisko.

Tam, pod kopczykiem szarego popiołu i drew, rozpulsowało się dziwne światło. Lena się schyliła, zdmuchując popiół.

Pozostało po nim sześć rozżarzonych do siności węgielków.

– Piękne – oznajmiła Liv.

Na ich oczach, węgielki – teraz bardziej przypominające kule – wzbiły się w powietrze, unosząc się i wirując nad ogniskiem. Boo zaskowyczał u stóp Leny.

– Łaa – powiedział Link.

Lena coraz bardziej przybliżała palec, aż wreszcie błękitne kule rozprysły się w deszczu iskier i zniknęły.

– O to chodziło? Taki finał? – Ethan przypatrywał się dogasającym węgielkom.

– Nie mam pojęcia. – Lena chwyciła patyk i zaczęła nim sondować popiół.

– Spójrz. Jeszcze się iskrzy. – Liv też się przybliżyła.

Lena palcami rozgrzebywała gorący popiół.

– Jest. – Coś z niego podniosła. – Sześć takich. Po jednym dla każdego z nas.

– Co to takiego jest? – Ethan wytrzeszczył wzrok. Pozostali też. Czegoś takiego nie widywało się co dzień, ani w hrabstwie Gatlin, ani nigdzie indziej w świecie śmiertelników. Na dłoni Leny leżał niewielki pierścień, subtelny i przejrzysty. Z odległości wydawało się, że jest wykonany z delikatnie dmuchanego szkła.

Lena wsunęła pierścień na palec. Pasował doskonale, a w jego wnętrzu na krótko rozjarzyło się światło, by zaraz zgasnąć.

– Bierzcie. Nie zaboli. – Mówiąc to, przyglądała się swemu palcowi.

Ethan sięgnął po pierścień, ale się zawahał.

– Tak myślisz.  
– Ja to wiem – sprostowała Lena. – Cały sens zaklęcia wiążącego to właśnie ochrona. – Nie zabrzmiało to jednak zbyt pewnie.  
Ethan nabrał tchu i wsunął jeden z pierścieni na palec. John poszedł w jego ślady, potem Liv.  
Rid niespiesznie zrobiła to samo.  
Pięć pierścieni zdobiło więc pięć dłoni. Szósty nadal jarzył się w popiele. Czekał.  
– Hej, facet. – Ethan szturchnął Linka łokciem. – Weź go.  
– Chwileczkę, Frodo. Muszę to przemyśleć. – Link przeczesał włosy dłonią.  
– Serio? Znów się zaczyna? – John pokręcił głową.  
Wystarczyło jednak zaledwie jedno spojrzenie Rid i szósty pierścień trafił na miejsce, zanim Link zdążył jeszcze coś powiedzieć.

\*\*\*

Właściwie to Ridley całą tę historię z pierścieniami uważała za jakąś głupotę. Nakłoniła Linka, żeby go włożył nie po to, by zadowolić kuzynkę. Szczerze mówiąc, nijak do niej nie trafiała koncepcja presji grupy, o której śmiertelnicy bezustannie rozprawiali. *Któż zrobiliby coś tylko dlatego, że inni tego od niego oczekują?* Ilekroć ktoś od niej oczekiwał określonych zachowań, z miejsca myślała o całkowitym ich przeciwieństwie.

Również w przypadku pierścieni więzi.

Biorąc jednak pod uwagę krótkie dzieje jej przyjaciół z hrabstwa Gatlin, Ridley wołała nie ryzykować. Piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Wiadomo to zarówno Obdarzonym, jak i śmiertelnikom z hrabstwa Gatlin.

A także Ridley.

Jeżeli jakiś dumny pierścień od Istoty Naturalnej miał uchronić ją od złego, będzie go nosiła. Nosiłaby takie na wszystkich palcach, gdyby miały pomóc jej wykaraskać się z kłopotów, w jakie się tego lata wpakowała.

Dla całej reszty jutro miała się zacząć przyszłość. Ridley przymierzała się do próby naprawy swej przeszłości.

## ROZDZIAŁ 3

### *Master of Puppets*

*W cieniu podziemi wszystko może się wydać złe.*

Tak właśnie sobie pomyślał gość, stojący na stareńkim peronie nowojorskiego metra. Miał osiemnaście lat i nadal wzdragał się przed schodzeniem tutaj. Ruchem głowy odrzucił przydługie kosmyki barwy karmelu, opadające na cętkowane złotem oczy.

*Tu na dole odróżnienie mroku od Ciemności okazuje się niemożliwe, nawet dla takiej Istoty Ciemności jak ja.*

A Lennox Gates był Istotą bardzo Ciemną.

Blądej dziewczyny, siedzącej na skraju peronu po drugiej stronie torów, nie dręczyły te same pytania egzystencjalne. Kuląc się w dopasowanej kurtce z czarnej skóry, przesytej ukośnymi pasami, wyglądała jak kryminalistka z przyszłości. Włosy miała zgolone do kilku centymetrów, jeśli nie liczyć boleśnie błękitnego grzebienia, biegnącego przez środek głowy. Niewinność malowała się tylko na jej dziecięcej buźce.

*Niebezpieczna, a zarazem niewinna.*

Lennox pomyślał o jej przyszłości. Wolałby tego nie widzieć, nie potrafił się jednak powstrzymać przed wychwytywaniem tego typu spraw, ilekroć przypadkowo spojrział w ogień, na zapaloną świecę lub nawet płomyk zapalniczki. Jej przyszłość, jak wiele innych, przychodziła do niego rozbłyskami, niczym z lampy w aparacie fotograficznym, z wielką szybkością zalewając go rozszalałym potokiem informacji. Oglądał udrękę i winę, krew i zdradę.

Miłość.

Tę nekromantkę Ciemności czekała jazda bez trzymanki.

Oparta o przesuniętą ławkę, o oczach mlecznobiałych i matowych, nie zaś złotych, jak zazwyczaj u Istoty Ciemności, nie sprawiała wrażenia świadomej. Źle się czuł z tą ich umową, choć przecież przystała na ten kontrakt. Sama zaproponowała, by ze względów bezpieczeństwa wymazywać to z jej umysłu. Jak całe mnóstwo nekromantów, nie chciała wiedzieć, co mówiła ani kto przez

nią mówił. Dziewczynie nic z tego nie pozostanie w pamięci, jemu za to wszystko – każda nudna, zmarnowana chwila.

*Czemu wraz ze wszystkim, co mi zostawiono, musiałem odziedziczyć też ten syf?*

Pierścień świec, okalający ją z trzech stron, spalił się doszczętnie, pozostawiając kałuże wosku. Ku jej bladej twarzy wędrowały spirale dymu. Nogi zwisały z krawędzi peronu, bezwiednie wybijając nieznaną rytm.

*Dobrze, że ten tor jest nieczynny, pomyślał Lennox. Gdyby nadjechał pociąg, mogłaby – nekromantka czy nie – stracić nogi. Choćby była nawet najlepsza, w tym stanie nie zdołałaby się uchronić. Zdana była na niego, a jemu nie wolno było o tym zapomnieć.*

*Ryzyko wpisane w jej fach.*

Z wewnętrznej kieszeni czarnego trencza wyjął cygaro i zastanowił się nad nim. Nie znosił zapachu cygar – a już tego gatunku szczególnie.

*Ryzyko wpisane w mój fach.*

Przypatrywał się cygaru, jakby chciał, żeby zniknęło – jakby chciał zniknąć wraz z nim. Tego jednak nie mógł zrobić. Był ostatnim z rodu i czekało go coś do zrobienia, choćby i nie chciał brać w tym udziału.

*Czy którykolwiek z nas rzeczywiście panuje nad swym przeznaczeniem? Może, gdy o to idzie, jesteśmy jednak równie bezradni, jak ci mali śmiertelnicy.*

Z drugiej strony toru dobiegł go dźwięk. Dziewczyna wkrótce się obudzi. Nie miał czasu na uzalanie się nad sobą.

Był czas na ofiarę.

Dlatego wyciągnął rękę z cygarem przed siebie, podnosząc głos.

– Barbadoskie. Twoje ulubione. Dałbym jedno tej twojej *obeah*<sup>1</sup>, ale nie wydaje mi się, że by to doceniła. – Zapalił cygaro, pozwolił, by zapalka się dopaliła, i upuścił ją na tory. Uniknął bezpośredniego spojrzenia nie tylko na płomień, ale i na zapalone cygaro. Ogień sprawiał, że widział rzeczy, których wolał nie oglądać.

– Rozumiem, że pragniesz rozmawiać. Oto jestem. Czego ode mnie chcesz?

Popatrzył na dziewczynę po drugiej stronie torów.

Nadal była nieprzytomna, ale podniosła głowę, ledwie dotarł do

niej dym cygara, i otworzyła usta jak marionetka. Głos, który się z nich dobył, należał do starego mężczyzny – niski i grobowy, z wyraźnym akcentem Południowca.

– Tym, czego chcę, jest pomsta za honor mej rodziny. Mój dług krwi bowiem domaga się spłaty.

*Jego dług krwi? Po tym, ile krwi przelał?*

Lennox postarał się, by w jego głosie nie dało się odczuć złości.

– Mówi się, że ci, których obciąża wina, płacą po wielekroć. Płacą nawet ich przyjaciele. Twoja rodzina otrzymała to, co się jej należało. A przynajmniej ty otrzymałeś.

– Kto tak twierdzi? – Twarz dziewczyny wykrzywił szyderyczy grymas.

– Ja – odparł zimno Lennox.

– Przemyśl to jeszcze, chłopcze.

*Ostrożnie, pomyślał Lennox. Może i jest martwy, ale wciąż groźny.*

Posłał opętanej dziewczynie przeczący ruch głowy.

– Zrobiłem, o co prosiłeś. Nadałem bieg pewnym wydarzeniom. Stoję, jak rzekłby Homer, po kolana pośrodku stosu kości i butwiejących skór<sup>2</sup>. – Strząsnął popiół z cygara, nawet nie podnosząc go do ust. – Rad jestem, że moja matka tego nie widzi.

– Tym bym się nie przejmował. Twojej mamuśki nigdy nie obeszło, co wyprawiasz.

– Zabrakło jej okazji – uciął Lennox. – Zadbales o to. –  
*Torturując ją.*

– Ja zadbałem o wszystko. – Dziewczyna poświęciła chwilę na upajanie się dymem, po czym uśmiechnęła się okrutnie. – Twojemu dziełu do końca jeszcze daleko.

Lennox miał ochotę cisnąć w nią tym cygarem.

*W niego.*

– Koło Losu wszystkich nas zmiążdży. Nie tak się mówi, starcze?  
– Lennox potrząsnął głową. – To niebezpieczna sprawa. Jednoczesne ingerowanie w losy tylu ludzi. Pewien jesteś, że warto?

– Nie bądź tchórzem jak twój ojciec – wymamrotała dziewczyna.  
– Dokonam swojej zemsty.

Lennox jedynie się uśmiechnął.

– Skoro tak mówisz. – *Ojciec powinien był cię zabić, póki miał*

*okazję.*

– Czego się szczerzysz, chłopcze? – warknęła dziewczyna poprzez mrok. – Dopóki nie zaznam spoczynku, ty również nie poznasz spokoju.

Lennox zakreślił cygarem dzielące ich powietrze.

– Rad jestem, że przechodzimy do gróźb. Zaczynałem czuć się cokolwiek lekceważony.

– To więcej niż groźba. Obietnica. Sam jej dopilnuję. Tej i jeszcze wielu innych.

Istota Ciemności uniosła brew.

– Nic dziwnego, że wyrosłem na wzorowego obywatela.

Wyrastałem przecież w tak przemiłym środowisku.

– Nie jesteś z mojej krwi – wyrzuciła z siebie poruszana cudzą mocą dziewczyna.

– Chwała bogu. – Lennox był już zmęczony tym starcem. Nawet śmierć nie uczyniła jego obecności lżejszym brzemieniem. – Czemu do tej pory nie ruszyłeś dalej? Nie przeszedłeś? Całe życie ci upłynęło na wyrównywaniu rachunków ze wszystkimi, których napotkałeś. Jeszcze ci się nie znudziło?

– Nigdzie się nie wybieram, chłopcze – zawarczała. – Chcę, żeby wszyscy zginęli. Nie tylko ręka, która kierowała ostrzem. Nie tylko zdrajca, który mnie tam przywiódł. Wszyscy, którzy doprowadzili ich do tego punktu, do tamtej godziny owego dnia.

– Wszyscy?

– Do ostatniego. Nie masz problemów ze słuchem? Bo chcę wyrazić to najprościej, jak można. Ty. Zabijesz ich. Dla mnie.

Lennox spojrział w głąb torów. Niczego tam nie było, jedynie ciemność.

Jaki właściwie miał wybór?

Jeśli dobrze się przyjrzeć, odpowiedź była tylko jedna. Zawsze jedna i ta sama. Westchnął.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Dziwnie zabrzmiały w jego ustach te słowa, zupełnie jakby wypowiedział je ktoś inny.

– Mam uznać to za potwierdzenie?

– W imię honoru rodziny.

Nekromantka uśmiechnęła się, unosząc ręce.



– Moja rodzina jest ci wdzięczna.  
– Mówiłem o mojej, nie o twojej – oburzył się Lennox. – Nie pochlebiaj sobie.

– Ależ nasze rodziny tak były sobie bliskie, Lennoksie – rozbrzmiało w tunelu. – Niemal nie dałoby się rozróżnić, gdzie kończyła się jedna, a zaczynała druga.

*Ja potrafię*, pomyślał Lennox.

Rzucił na tory pustą książeczkę po zapalkach. Na szkarłatnej okładce wydrukowane było sześć liter. Jedno słowo.

SYRENA.

Dziewczyna po drugiej stronie torów osunęła się jak szmaciana lalka. Stary odszedł. Lennox, choć oglądał to już wielokrotnie, wciąż jeszcze czuł się nieswojo. Odczekał tyle, by się upewnić, że nekromantka całkiem z tego wychodzi.

Rano się pochoruje. Pochoruje się i będzie cuchnęła cygarami. Trzeba będzie mocniej popracować, by o tym wszystkim zapomniała. Możliwe, że jej wypłata odrobinę się powiększy. Trudno było winić ją za to, że nadzwyczaj dobrze nawiązywała kontakt z martwymi psychopatami, zwłaszcza że między innymi dla tej przyczyny była tak cenna.

*Znowu ryzyko zawodowe.*

Lennox poszedł stamtąd, niknąc w głębszym mroku. Zawsze czekała na niego głębsza ciemność. Całe życie spędzał w cieniu.

Nic nie mógł poradzić na to, że roztaczał go wokół siebie.

Określenie wywodzące się z języka aszanti (Afryka Zachodnia) i oznaczające „czarnoksiężstwo”. Przyjęło się też jako nazwa praktyk magicznych czarnoskórej ludności wysp Morza Karaibskiego, pokrewnych voodoo i santerii. Tutaj raczej jako określenie pośrednika pomiędzy światami żywych i umarłych. [\[wróć\]](#)

Nawiązanie do Odysei Homera i opisywanej w niej Wyspy Syren. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 4

### *Learning to Fly*

Tego, że ostatnia spalona pianka wpadła w ogień, nie doczekało ani żadne ze śmiertelników, ani nikt z Obdarzonych. Jedynie oba hybrydowe inkuby przypatrywały się, w opiekuńczym milczeniu, jak czworo ich przyjaciół śpi na biwaku.

Ridley, odpływając w sen, słyszała jeszcze, jak sobie poszeptują. Ostatnią przytomną myśl poświęciła Linkowi, upewnieniu się, że jest tam z nimi.

Jak za dawnych dni.

Potem sny Ridley przepełniły się odległymi wspomnieniami. Nie myślała o pożegnaniach ani o chłopcach, ani też o pierścieniach z węgielków. Nie wiedziała, że zaczęło się już wcielanie w życie planów groźniejszych niż jakikolwiek ogień – i nieskończenie bardziej niestrawnych niż najśłodsze pianki.

Skąd miałyby to wiedzieć?

Spała więc, śniąc o sprawach bardziej niesamowitych niż pierścienie. Dziwniejszych nawet niż niejasne zaklęcie – na zawsze wiążące syrenę, Istotę Naturalną, strażniczkę, przewodnika i dwa inkuby – pod letnim księżycem w pełni, w hrabstwie Obdarzonych.

Pełnia księżycy sprzyjała magii.

Magii i wspomnieniom.

\*\*\*

Jasnowłosa dziewczynka siedziała wciśnięta między powykęcane gałęzie najstarszego dębu na terenach osławionej plantacji Ravenwood, czytając księgę, znacznie od niej starszą. Choć dziewczynka oplotła kościstymi nogami pokrytą korą gałąź, grubszą od jej talii, nie było to najbezpieczniejsze miejsce ani dla małej dziewczynki, ani dla wielkiej księgi.

– *Wiesz, Rid, że nie powinnaś tego czytać – zawołał z dołu dziewczęcy głos.*

– *Maluchu – zakpiła Ridley, nawet nie podnosząc wzroku znad*

księgi. – Wiesz, że nie powinnaś sobie sama zmieniać pieluch.

– Ciocia Del złoł ci skórę, gdy odkryje, że znów wykradasz jej coś z szafy – krzyknęła Lena, błyskając jasnozielonymi oczami i potrząsając gęstwą czarnych loków, bezpieczna pośród traw pod drzewem.

– Papużko – odparła Ridley, przewracając kolejną stronę. – Gdzie masz ogonek?

Stronice były tak wielkie, że kiedy z trudem je odwracała, ocierały się o jej sprane dzinsy, grożąc podarciem. Grzbiet księgi długością niemal dorównywał jej własnemu.

– To twój pogrzeb. – Powiedziawszy to, Lena rzuciła się na trawę, wyciągając z kieszeni notes oraz pióro. Zdjęła z niego nakrętkę, z westchnieniem znajdując w swym brulionie pustą stronę. – Dobra, zaczynaj. Co się tam dzieje, Rid?

– Mam tu statek, Leno Fasolko. – Ridley bezmyślnie nawinęła na palec złoty loczek.

– Nie nazywaj mnie tak. I...?

– I trzy syrenki. Chociaż to nie syrenki, bo mają skrzydła. One śpiewają, a przynajmniej jedna. Inna gra na jakimś dziwnym flecie. A ostatnia na małej złotej harfie.

Na oczach Ridley postaci na stronie czynnie odtwarzały tę opowieść, zgodnie z jej opisem.

– Dalej, Rid – westchnęła Lena, z roziskrzonymi oczyma. – Opowiedz resztę.

W pole widzenia wpłynął statek. Prawdziwy, z żaglami. Pośród fal i szkierów.

– Są marynarze. I wychodzą powitać syrenki. Uważają te syrenki za najpiękniejsze istoty, jakie kiedykolwiek widzieli. Myślę, że chcą wziąć je za żony. Wygląda na to, że się w nich zakochali.

– Mmm. – Lena zachichotała pod drzewem. – A teraz?

– Teraz syrenki śpiewają jeszcze głośniej. Czy je słyszysz? Zamknij oczy. – Ridley sama zamknęła oczy. Pod drzewem jej kuzynka Lena zrobiła to samo.

– Dasz radę?

Ze stronicy księgi, prosto w twarz Ridley, powiało liryczną muzyką. Przybierała na sile, przesycając całe drzewo harmonijnymi dźwiękami, aż gałęzie zaczęły drżeć, a kilka liści poszybowało na

ziemię pod nim.

*Dla Ridley nie miało to znaczenia. Wydawało jej się, że oddaliła się o miliony kilometrów.*

*Lena osłoniła głowę rękoma, ale liście i gałęzie nadal się na nią sypały.*

*– Rid! Wszystko w porządku?*

*Ale Ridley znieruchomiała. Siedziała, oburącz ściskając księgę, z głębi której padało na jej twarz złote światło.*

*Muzyka była piękna, wręcz hipnotyczna. Aż hipnoza przeszła w grozę.*

*Soprany zmieniły się w piskliwy wrzask, a operowe melodie równie dobrze można było nazwać zgrzytem gwoździ na kamieniu. Ten zgiełk stawał się ogłuszający, z każdą chwilą narastał, aż do bólu.*

*Ridley jeszcze się nie poruszyła. Nie była w stanie. Nie była nawet pewna, czy oddycha.*

*Pod drzewem Lena, najmocniej jak mogła, zakrywała dłońmi uszy.*

*– Przerwij to. Spraw, żeby odeszło, Rid. Przerwij natychmiast! Ridley zamarła.*

*Otworzyła usta i zaraz je zamknęła, bez słowa.*

*Wydawało się jej, że wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, uwięzione zostało właśnie na tych stronicach – ale im dłużej ich słuchała, tym większej nabierała pewności, że nic z tego mieć by nie chciała.*

*Smutku było tam więcej, niż zdołałaby znieść. Jej oczy wypełniły się łzami, a palce jeszcze mocniej zacisnęły się na brzegach stronic.*

*Pieśń wzmogła się aż do skowytu. Wietrzyk zmienił się w zawziętą wichurę, opasującą kręgami złotowłosą dziewczynkę.*

*– Trzymaj się, Rid!*

*Lena powoli pięła się w górę pnia, jedno ucho zatykając palcem, drugie kryjąc pod uniesionym ramieniem.*

*Wyjęła palec z ucha, wrzeszcząc jak coś, co ich babka nazywała szyszymorą:*

*– Nie słyszę cię nie słyszę cię nie słyszę nic a ciebie to już na pewno nie!*

*Sięgała coraz to wyżej, aż jej palce otarły się o papier o złoconych brzegach. Ostatnim zrywem energii, jak najmocniej,*

szarpnęła księgę, wyrywając ją z rąk Ridley i posyłając w dół, pod drzewo, w eksplozji jasnobłękitnych iskier.

Księga wylądowała w piachu, grzbietem do góry, z głuchym hukiem.

Ucichło.

Ridley otworzyła oczy i ujrzała Lenę, podciągającą się do niej. Dziewczynki przywarły do siebie, usiłując złapać oddech, starając się spowolnić łomoczące serca.

– Co to były za stwory? – Twarz Leny pobladła. – Nie mów, że syrenki.

– Syreny – wydyszała Ridley. Głos miała cichy, nieledwie szeptała. – Nazywa się je syrenami. Mroczne. Skrzydlate, szponiaste i z kłami. Wyszarpywały tym marynarzom serca. – W oczach miała przerażenie. – Ja je widziałam.

Lena potrząsnęła głową.

– Nigdy, przenigdy nie chciałabym stać się taka jak one.

– Ja też nie – powiedziała Ridley. Miała w oczach coraz więcej szczypiących łez.

– Nam to nie grozi. – Lena wyciągnęła rękę i poklepała kuzynkę po policzku. – Nie martw się, Rid. Babcia mówi, że jeśli mamy dobre serca, to na takie wyrośniemy. Na jasne jak blask słońca.

– Tak? A skąd wiesz, że masz dobre serce? – Z kącika oka Ridley wydostała się drobniutka mokra strużka.

– Ty masz – zapewniła ją Lena. – Wiem to na pewno. – Wyjęła z kieszeni pękatego czerwonego lizaka i podała Ridley. – Słowo.

Przez chwilę młodsza kuzynka niemal wydawała się tą starszą.

Dzieliły się potem tym lizakiem wśród gałęzi starego dębu, aż wreszcie Ridley zapomniała o zgrzytających zębach, zakrzywionych szponach i marynarzach z wydartymi sercami.

Całkowicie.

Słowo.

\*\*\*

Ridley obudziła się, płacząc, i nie wiedziała dlaczego. Pamiętała, że śniła, ale szczegóły tego snu już zaczynały się rozmywać.

– Co jest, Rid? – Lena była tuż przy niej, obejmowała ją mocno w świetle poranka.

– Nic. – Usiłowała zebrać myśli, ale przypominało to raczej uciskanie odsłoniętego nerwu.

– Po prostu nienawidzisz pożegnań, ty wielki kłębk sentymentów. Tej nocy ledwie się odzywałaś. – Lena zafrasowała się, mocniej owijając je obie swą wyblakłą niebieską kołdrą. – Coś jeszcze cię gryzie?

– Już powiedziałam. Nic takiego. – Ridley rozejrzała się, jednym spojrzeniem ogarniając zgasłe ognisko i porzucone koce. Jedyne Ethan się uchowal, z twarzą na wpół wciśniętą w sierść Boo. – Gdzie są wszyscy?

– Link miał jeszcze przed sobą pakowanie. Liv i John także. Powiedziałam, żeby cię nie budzili. – Lena się uśmiechnęła. – Znając ciebie.

Ridley odczuła ulgę.

Lena odgarnęła za ucho Ridley jej długi różowy kosmyk.

– Wiesz, jeszcze nic straconego. To, że nie skończyłaś z nami szkoły, nie oznacza jeszcze, że jej wcale nie skończysz. Mogłabyś zrobić dyplom, chodząc do wieczorówki...

*Matko wszelkich świętości tego świata...*

Rid wpiła się w przegub Leny pięcioma sztyletami połyskliwych paznokci.

– Chwilunia. Czyżbyś sugerowała, że dręczy mnie, iż nie ukończyłam liceum Stonewall Jackson? Resztki rozumu ci odebrało?

Lena delikatnie uwolniła swą rękę od Ridley.

– Wydajesz się po prostu jakaś nieswoja.

Rid się wściekła.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma we mnie nic z oziębłej wiedźmy? A może jest? Bo jak ostatnio sprawdzałam, było.

– Ridley.

– Nie wiem, czemu wszystkim w Gat-dziurze tak ciężko zapamiętać, że nie jestem jak oni. Jestem syreną bez serca.

– Masz serce. – Lena trzymała się konkretów. Mogły, w myśl pragnień Ridley, po raz kolejny odegrać tę rozmowę, a ona i tak w tej jednej sprawie wciąż obstawałaby przy swoim.

– Skąd wiesz? – spytała Ridley tak żałośnie, jak żałośnie się czuła.

– Wiem to na pewno. – Lena pocałowała kuzynkę w policzek. –



Zaufaj mi.

Właściwie Ridley nikomu nie ufała. Gdyby jednak miała zaufać, to przede wszystkim kuzynce.

Siedziały potem dłuższą chwilę w milczeniu, ramię w ramię.

– Słowo? – szepnęła Ridley. Zła była na siebie, że przywołuje to pytanie; że w takiej chwili pękła. Jak zawsze dotychczas.

– Słowo – odszepnęła Lena, sięgając do kieszeni bluzy dresowej i wyciągając z niej zielonego lizaka.

– Zielony?

– Zmiany są dobre. Odrobinę ożywiają.

Ridley przyjęła lizaka i zamachała nim kuzynce przed nosem.

– Ty rebeliantko. – Podniosła się, z trudem prostując długie, gołe nogi. – Dobra, to ja spadam. – Na tyle właśnie potrafiła się zdobyć Rid, żegnając się ze swą jedyną prawdziwą przyjaciółką.

– Wiem – powiedziała Lena. Zawsze wszystko wiedziała. Co Rid powie... i czego by nie mogła. Wyciągnęła rękę z kluczykami do samochodu. – Właśnie rzuciłam *Manifesto*. Stoi na rogu.

Ridley pokręciła głową.

– Jesteś dobra.

– Wiem. – Lena wzruszyła ramionami, z iskierkami w oczach.

– Pożegnaj ode mnie Ethana. I dobrze się sprawuj, kuzyneczko. – Ridley, wbrew wszystkiemu, się uśmiechnęła.

– Zawsze to robię. Jestem ta dobra, pamiętasz?

Ridley nigdy o tym nie zapominała.

## ROZDZIAŁ 5

### *Sweet Child o'Mine*

Prysznic i przebranie się zmieniły wszystko na lepsze.

Dokładniej: prysznic, kimono vintage z różowego jedwabiu, porcja gorącej czekolady, ostatni szlif przy pomocy pomadki do ust Chanel Rouge Allure Incadescente – innymi słowy, Syreniej Czerwieni – i ulubiona sukienka Rid, bandażowa z kolekcji Herve Leger.

Mundur polowy syreny.

*Czas robić swoje*, pomyślała Rid.

Jak tylko czerwony mini cooper zjechał ze wzgórza i drogą numer 9 wjechał do miasteczka, nastrój Ridley się poprawił. Ledwie zobaczyła Linka, mogła stwierdzić, że nie tak znów wiele trzeba, żeby mu odbiło. Z powodów oczywistych, jak przypuszczała. Nie wspominając o różowej podomce w tonacji pepto-bismolu, którą jednemu z tych powodów zdarzyło się tego ranka przywdziać.

– Wesleyu Lincolnie! Ten śmieć nie będzie ci potrzebny w Georgia College pod wezwaniem Odkupiciela. – Pani Lincoln stała na podjeździe, usiłując wyrwać Linkowi plakat z *Gwiazdnych wojen*. – Właściwie w Georgia College nie będzie ci potrzebne nic z tego, czym zagrabiłeś swój pokój.

Sfrustrowany Link mocniej chwycił swój plakat. Rzęch był już niemal zapakowany, ale powinien być już od godziny w drodze. Ridley lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że takie użeranie się z matką o każdą figurkę superbohatera było dla Linka istnym piekłem.

– Och, daj spokój, mamó. To moje rzeczy. I to ja się wyprowadzam. Chcesz, żebym się spóźnił do tak zacnego college'u?

Odpowiedzią pani Lincoln było wyszarpięcie plakatu w górę, poza zasięg Linka, tak, żeby się jej podarł.

– Mamó!

Tę właśnie chwilę Ridley wybrała na swoje wejście.

– Jak uroczo pani wygląda, pani Lincoln! Mam na myśli to, jak wspaniale pani podomka współgra z papilotami. – Ridley nigdy nie udało się nie rozdrażnić mamy Linka. Spokojnie można było nazwać to

jej specjalnością. Podobnie jak przyprawianie lica pani Lincoln o pewien szczególny odcień czerwieni, zazwyczaj zastrzeżony jedynie dla starych buraków i opalonych ze szczeciny świń.

Ulga, jaką Link poczuł na widok Rid, wydała się tak wielka, że dziewczyna pomyślała, iż chłopak się przełamie i zasypie ją pocałunkami.

Popatrzyła jednak na jego matkę i zmieniła zdanie.

Pani Lincoln kipiała ze złości.

– Czyżby to ta mącicielka? Sądzisz, że porad, czym okryć ciało, dane mi od Boga, oczekuję właśnie od takiej jak ty, bezwstydnej, nader skąpo ubranej nierządniczy?

Rid natychmiast przyjrzała się w myślach swym sięgającym ud muszkieterkom i sukience bez pleców – której do prawdziwie bandażowej brakowało co najmniej kilku bandaży – i zamachała długim czerwonym paznokciem.

– No, no. Żadna hańba być ladacznicą. Nie słyszała pani? W Białym Domu zasiada demokrata.

Pani Lincoln dech zaparło.

Ridley się uśmiechnęła. Nastrój jej się poprawiał. Dobrze było użerać się ze śmiertelnymi. Gimnastykować koparę.

Bycie zaczął Ridley tak potrafiło znudzić, że czasem korciło ją, by zdobyć nowych przyjaciół tylko po to, by mogła ich potem porzucić.

– Rid, daruj sobie. – Link odwrócił się do mamy, wyjmując jej z ręki plakat. – Rid przyjechała się pożegnać. Mogłabyś jej trochę odpuścić, wiedząc, że nie wybiera się ze mną do Georgia College. Zwłaszcza że sama zasypałabyś tamtejszą komisję listami, by mieć pewność, że do tego nie dojdzie.

Pani Lincoln narzuciła swej twarzy uśmiech.

– Nie, na pewno tam nie trafi. Ledwie postawiłaby nogę na chrześcijańskiej uczelni, spłonęłaby żywcem, zapamiętaj to sobie.

– Jezus miłuje wszystkich, mamó.

Pani Lincoln wilkiem spojrzała na Ridley.

– Oto stoi tu dziecko, o którym Jezus zapomniał.

Link usilnie starał się zachować powagę. Nic nie rozwścieczało jego matki podczas kłótni bardziej niż uśmiech i pyskówki.

– O tym nie wiedziałem. Z jakiegoś powodu powierzyli tę szkołę Odkupicielowi.

– Zapewniam cię, jej to nie dotyczy. Nie próbuj nawet do niej dzwonić. – Pani Lincoln niemal już purpurowiała.

– To naprawdę nie twój biznes – Link wyraźnie się nadał.

– Możesz założyć się o duże lody, że mój. Ostatecznie to ja kieruję twoim biznesem, Wesleyu Lincolnie.

– Przyjechałam tylko po to, by się z tobą pożegnać – powiedziała Ridley, słodka jak cukiereczek.

*Trzymać się planu.*

Ridley przyjechała odzyskać swego chłopaka i zamierzała do tego doprowadzić.

Link wyciągnął do niej rękę. Popatrzyła na nią.

– Strzałeczka? I niby co, według ciebie, mam zrobić?

– Chyba się pożegnać. Tak powiedziałaś. – Sięgnął po jej dłoń, uśmiechając się i puszczając oczko. – Do widzenia, Rid. Miło było cię poznać.

Ridley podała mu rękę. Oczy pani Lincoln zwięziły się. Ridley przyciągnęła Linka do siebie, wzięła w dłonie jego twarz. Przechyliła głowę i pocałowała go tak mocno, że przeszły go ciarki, a twarz poczerwieniała.

Niemal tak, jak jego matce.

Był to ten rodzaj pocałunku, który rozsławił syreny, ten sam, który przyprawiał o odrętwienie mocniej niż cała armia os – i po którym człowiek zapomina, jak się nazywa i co go czeka. Taki, po którym żeglarz kierował swój statek prosto na skały.

*I to jemu potrzebne byłyby bandaże*, pomyślała Rid z niemałą satysfakcją. A w każdym razie z dumą ze swego kunsztu. Nie na darmo latami ćwiczyła język na wiśniowych lizakach.

Potem Ridley – równie szybko, jak przygarnęła Linka – odepchnęła go, ciężko dyszącego i coś tam dukającego. Gdy się od niego odsunęła, wydawał się bliski omdlenia.

– No, to cześć – powiedziała słodko.

Link pokolebał się do swego samochodu. Matka poszła za nim, rozpościerając ręce, zaraz je jednak opuściła, zniesmaczona.

– No, Wesleyu Lincolnie, uszczęśliwiło cię to? Jaka matka ucałowałaby swojego syna po tak obmierzłym popisie? – warknęła. – Wróć lepiej do domu i przemyj sobie usta, bo nigdy już będę w stanie cię ucałować.

– Och, ale byłby wtedy wstyd – mruknęła Ridley.

Pięć minut później Rid, stojąc na chodniku, oglądała odjazd Rzęcha, w ślad za którym popłynęły w powietrzu brzmienia zespołu The Who – jej zdaniem, było to chyba *Teenage Wasteland* – niczym ostatnie akordy muzyki do filmu o kijowym życiu Linka w Gatlin.

Pani Lincoln siąkała nosem, wycierając oczy chustką.

Ridley poklepała ją po plecach.

– Cóż, mam, ja chyba też już się powinnam zbierać. – Pochyliła się do policzka pani Lincoln i złożyła na nim głośny pocałunek, pozostawiając ślad czerwieni. – Nie ma pani nic przeciwko, pani L., że tak się zwracam? Skoro pisane jest nam któregoś dnia stać się rodziną. – I nachyliwszy się nad kobietą, która nienawidziła jej bardziej niż wszystkich zakazanych książek z Biblioteki Hrabstwa Gatlin razem wziętych, dodała: – Wie pani, że on oszczędza na obrączki?

Pani Lincoln niemal zaniemówiła.

– Zabieraj się z mojej posesji, tania latawico.

Ridley zamachała palcami, wciąż mając na ręku pierścień więzi. *A to niby co?* Nie mogła się oprzeć wywarciu odrobiny syreniej presji na odpychającej matce Linka.

Pani Lincoln całkiem spurpurowiała, wbrew chęciom jednak nie potrafiła wydusić z siebie żadnego okropieństwa.

Ridley się uśmiechnęła.

– Też cię kocham, mam. Nie mogę się doczekać, kiedy odziedziczę twoją znakomitą porcelanę. – Posłała pani Lincoln całusa i przeszła przez jej najpiękniejszą rabatę, każdym krokiem rozrzucając ziemię.

Wsiadła do swojego mini i zjeżdżając w dół drogi numer 9, cały czas się śmiała, podczas gdy jej różowa apaszka radośnie powiewała na wietrze.

\*\*\*

Kiedy Ridley wreszcie dogoniła Rzęcha, parkował na stacji BP na skraju miasta, a Link stał oparty o maskę.

Rid zatrąbiła i opuściła okno, sięgając do schowka, by wyjąć z niego i unieść w górę oddarty róg plakatu z *Gwiezdnych wojen*.

– Czegoś zapomniałeś.

Link, odbierając od niej ten strzęp, uśmiechnął się szeroko.

– Prawie przyprawiłaś moją matkę o atak serca.  
– Tylko się trochę postarałam, żeby mnie zapamiętała. Naprawdę nabiera do mnie ciepłych uczuć. – Ridley z uśmiechem opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby – korzystając z lusterka – podkreślić błyszczącym czerwien warg.

– Nie przesadziłaś odrobinę? Mamę pewnie czekają teraz ze trzy miesiące koszmarnych snów.

– Tylko trzy? Ty to wiesz, jak urazić dziewczynę, szalona pałko.  
– Wydeła wargi. Link się zagapił.

*Bandażowa sukienka, dwa. Wesley Lincoln, zero.*

– Skoro o pożegnaniu mowa, myślisz, że twoja mama je kupiła?  
– Popatrzyła na Linka.

– Pewnie, że kupiła. – Link wyszczerzył się radośnie. – Żyłka, haczyk i Odkupiciel. Oto jestem wolnym człowiekiem. – Swoją ucieczkę planował od miesięcy. Wszystko, łącznie z fałszywą informacją o przyjęciu od nieistniejącej uczelni kościelnej, przeważkowane zostało z tysiąc razy. Wyniesiona ze szkoły wprawa w podrabianiu ocen jeszcze się na coś Linkowi przydała.

*Dość tego. Pora nadeszła.* Rid z trzaskiem zamknęła lusterko.

– A o co chodziło z tym uściskiem dłoni? Naprawdę sądziłeś, że twoja mama uwierzy, że jesteśmy jedynie przyjaciółmi?

– Czemu nie? A nie jesteśmy? – Link odchylił się na skraj samochodu.

Ridley zgasiła silnik.

– To zależy.

Otworzyła na oścież drzwiczki, odpychając tym samym Linka, gdy się odchyłały. Potem przeszła wokół auta i rozsuptała apaszkę, by powoli rzucić ją na tylne siedzenie.

*To czasem jest jak taniec. Nawet wtedy, gdy tylko jedno słyszy muzykę.*

– Gdzie idziesz? – Link przypatrywał się jej nieufnie.

Ridley nie odpowiedziała. Zamiast tego nachyliła się, by otworzyć bagażnik, zamierając przy tym na chwilę, żeby Link na pewno uchwycił ten widok. Obcisła sukienka. Muszkieterki. Wygląd, jaki był jej pisany.

*Jeden.*

*Dwa.*

*Trzy.*

*Teraz.*

Ridley wyciągnęła trzy identyczne torby podróżne od Louisa Vuittona, kolejno podając je Linkowi. Wyraz jego twarzy powiedział jej, że zobaczył wszystko, co należało.

Sfinalizowała sprawę. Pozostawało tylko powiadomić o tym chłopaka.

Podeszła do pracownika stacji i wręczyła mu kluczyki.

– Mój samochód wraca do wozowni w Ravenwood Manor. Zaparkuj go najdalej, jak to możliwe od karawanu wujka Macona. Moja kuzynka ma hopla na punkcie tej bryki. – Chwyciła go za rękę. – I wcale mnie tu nie było.

Rid nie potrzebowała już lizaków, przynajmniej jeśli brać pod uwagę większość ludzi z Gatlin. Reputacja, której się dorobiła, miała znacznie większą moc. Pracownik stacji chrząknął i skinął głową. Wziął kluczyki i na powrót zniknął w warsztacie.

– Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy? – Link przypatrywał się Rid. – Jedziesz ze mną do Nowego Jorku?

– No, na pewno nie wybieram się z tobą do Georgia College.

Link postarał się ukryć uśmiech.

– Poważnie mówisz?

Ku swemu zaskoczeniu, Rid odkryła, że stara się o to samo – i równie mocno.

– Śmiertelnie poważnie.

Nabrał tchu.

– Ty ze mną?

– A stoi tu inna syrena? – Sama też nabrała tchu, by się wyciszyć. – Czy to dla ciebie jakiś problem?

Wiedziała, że Link w takiej chwili mógłby powiedzieć całe mnóstwo rzeczy. Mógłby zapytać, czemu się jej odmieniło. Mógłby też przypomnieć, jak diabelnie ochrzaniła Johna za decyzję o wyjeździe do Anglii wraz z Liv. Mógłby przywołać ich nieustające, wieczne potyczki, ich gwałtowne zerwanie.

*Zerwania.*

Niczego takiego jednak Link nie powiedział. Zamiast tego obdarzył ją uśmiechem szerokim jak rzeka Missisipi.

– No to... – powiedział.

– Właśnie – przyznała Rid.

– To chyba powinniśmy...

– Jasne.

Niezgrabne wsparcie Rid w dziele wepchnięcia trzech oznaczonych monogramami toreb na tył Rzęcha zabrało Linkowi tylko około dziesięciu sekund.

– To wszystko, co zabierasz? – Link wyglądał na zaszokowanego.

– Jedynie moja bielizna. Jedno, co na pewno wiem o tym wielkim mieście, Skurczaku, to gdzie robić tam zakupy.

*Cóż, bo zakupy będę robić ja. Ty zajmiesz się tym, czego będę potrzebowała.*

Taki przynajmniej był plan. Linkowi raczej jednak nie mogła go przedstawić. Odezwało się nawet jakieś poczucie winy, ale zdusiła je jeszcze w zarodku.

*Trudno. Jeszcze to przemyślę.*

Kiedy już usadowili się w Rzęchu, poczucie niezręczności sytuacji ustąpiło i pozostał im dreszczyk emocji, mający w sobie coś skandalicznego, że sprawa wypaliła.

Ridley przysunęła się do Linka.

Podkreściwszy muzykę, przyciągnął ją jeszcze bardziej do siebie.

– Od zeszłej nocy na to czekałem. – Nachylił się, żeby ją pocałować, ona zaś poczuła niespodziewany przypływ radości.

*Boże, jednak naprawdę mi go brakowało. I jego, i tego.*

– Koniec z czekaniem, kochanie. – Odwzajemniła pocałunek, częściowo wchodząc mu przy tym na kolana. Jazda zapowiadała się długa, uznała więc, że warto zadbać o wygodę.

Link nie mógł powstrzymać uśmiechu, całowanie odłożył więc na bok.

– Nie mogłaś sobie tego odpuścić, racja?

– Nie mogłam tobie tego zrobić. – Znów go pocałowała.

Na chwilę się odsunął, szczerząc się do niej w uśmiechu.

– Ależ kościelna ta uczelnia.

Zatrzepotała rzęsami.

– Bardzo niedobra ze mnie dziewczynka, Wesleyu Lincolnie.

Myślisz, że znalazłbyś dla mnie odkupienie?

Odpowiedź miał już na końcu języka.



Swojego lub jej.

## ROZDZIAŁ 6

### *Welcome to the Jungle*

Czas pożegnań dobiegł końca. W chwili gdy Liv i John wchodzili na pokład samolotu lecącego na Heathrow, a Lena i Ethan zmierzali na Massachusetts Turnpike, Ridley i Link kierowali się do Nowego Jorku – w jedyne możliwe miejsce spełnienia jedyne marzenia Linka. Długo musiał na to czekać.

– Pamiętasz, jak poprzednim razem byliśmy w Nowym Jorku? – Link ukradkiem zerknął na nią z ukosa.

– Wtedy, kiedy udawałeś, że jedziesz na kościelny obóz?

– Najlepszy obóz w świecie. Wkradanie się do klubów na East Village, rozbijanie się po hostelach i schroniskach YMCA. Spanie w Rzęchu. – Poklepał deskę rozdzielczą.

– Jak mogłabym zapomnieć? – Ridley się uśmiechnęła. Mowa była o całkowicie magicznym urojeniu, wzmocnionym potężnym syrenim czarem.

– Nowy Jork na mnie czeka, Rid. A w nim podpisanie kontraktu na płytę lub występ na VMA<sup>1</sup>.

– Zwolnij nieco, szalona pałko. Może jednak najpierw spróbuj znaleźć sobie nową kapelę. – *A ja wiem, gdzie zacząć szukać*, pomyślała Ridley.

Link myślał w większej skali.

– Kto wie? To mógłby być pierwszy rozdział mojej autobiografii. *Skok w rock: narodziny gwiazdy z Karoliny*. – Ogłosił to tak, jakby wcześniej nie mówił tego z tysiąc razy.

Ridley znów musiała się uśmiechnąć.

– Przy odrobinie szczęścia może się nawet doczekasz, że twoja matka wystąpi o usunięcie tej książki ze szkolnej biblioteki Stonewall Jackson High.

Link wybuchnął śmiechem i usadowił się wygodniej za kierownicą.

– Pomarzyć zawsze warto. – Puścił muzykę.

Ridley pokręciła głową. Ale przynajmniej nie był to Meatstik,

czyli jego ostatnia kapela. Pomyśleć, że za kiepskich uważała Holy Rollersów. W porównaniu z Meatstikiem Rollersi byli Rolling Stonesami i to zapewne dlatego Linkowi nie udało się przekonać żadnego z członków zespołu, by zabrał się z nim do Nowego Jorku. Grable Honeycutt miał pełen etat w myjni samochodowej w Summerville, a Daryl Homer był po prostu Darylem Homerem. Pewnie i za rok będzie siedział na kanapie u matki, o ile matka, w myśl swej groźby, nie wyprzeda mu jej spod tyłka.

– Stawiam na Daryla – oznajmił Link, gdy kapela po raz pierwszy ogłosiła rozpad, pod sam koniec szkoły. – Bo komu by się marzyła kryta złotym aksamitem sofa, od której jedzie tyłkiem Homera?

Nie oznaczało to jednak, że któryś z nich mógł liczyć na wielką karierę. (*Widzę w tobie*) *Majestatyczne mięcho* i *Przeżuwając niestrawnej chrząstki cząstkę*, dwa kawałki Meatstika, cieszące się na tańcach w domu kultury w Summerville największym powodzeniem, wyróżniały się najgorszymi – zdaniem Ridley – tekstami, jakie zdarzyło się Linkowi napisać. (*Zaszlachtuj me serce, wyfiletuj duszę, a gdy się wykrwawię, wytarżaj swą tuszę*). Zdecydowanie najgorszymi. Nie było w tym przesady, zważywszy że Rid zaliczyła więcej koncertów Holy Rollersów niż jakikolwiek inny słuchacz.

– Skoro zespół się rozleciał, może powinieneś spróbować zacząć pisać o czymś innym, niż tylko o mięsie – zasugerowała.

– Ale to mięsa najbardziej mi brakuje – westchnął Link. – Dlatego, że już nie jadam. I dlatego, że znów jesteśmy razem. – Puścił do niej oczko. – *Nasza miłość jest szalona. Szalenie niedosmażona.*

– Ani mi się waży cytować Meatstika.

Ridley jednak nie naciskała. Nie należało ranić jego uczuć, nie teraz, gdy wiedziała, co ma nastąpić. Prędzej czy później będzie musiała mu powiedzieć, że w tej ich wyprawie nie chodzi o marzenia. Już nie. Chodziło w niej o DPM – dary, przysługi i moce. Szczególnie o przysługi, do których się zobowiązała, przegrywając w karcianą grę w łgarstwo w klubie o nazwie Udreka. Wciąż jeszcze zanadto gryzło ją to upokorzenie, by z kimś się nim podzielić – i za bardzo się bała.

Dług zaciągnęła u Lennox Gatesa, który był kimś więcej, niż tylko właścicielem klubu i potężną Istotą Ciemności. Nie jadąc do Nowego Jorku, Link nie tylko pożegnałby się ze swymi marzeniami.

Wpakowałyby Ridley w kłopoty, z których nawet jej nie udało się ująć cało. Czy też – jeśli spojrzeć na to pod innym kątem – pozbawiły ją szans na wyplątanie się z kabały, w którą się sama wpakowała.

*Może powinnam powiedzieć Linkowi, żeby zaraz zawrócił. Przegrałam przecież jego przyszłość, pomyślała, mając wyrzuty sumienia. Dla mnie i tak jest już za późno.* Natychmiast jednak odrzuciła tę myśl. Jeśli miała zrobić, co trzeba, nie mogła dopuścić, by na przeszkodzie stawały jej jakieś głupie uczucia.

*Wyświadczam mu przysługę. Żeby wykupić pierwszy żeton, muszę dostarczyć Lennoxowi perkusistę, a Link wybiera się do Nowego Jorku właśnie po to, by zostać perkusistą. Cóż więc złego w tym, że obojgu nam wyświadczę tę przysługę? I tamten zespół, jak on się właściwie nazywał? Szabliści Diabła? Szamani? W końcu nie byli przecież tacy fatalni?*

*Na pewno bywają na tym świecie gorsze rzeczy niż konieczność spędzenia roku w jednej rockowej kapeli z Obdarzonymi z solidnym parciem na dobre koncerty.*

Ridley nawet dobrze wiedziała, że takie rzeczy istnieją. Dotyczyło to jej drugiej przegranej z tamtej nocy – tej, o której wciąż jeszcze wolała nie myśleć. Winna bowiem była nie tylko perkusistę, ale i drugi żeton, żeton domu gry, oznaczający, że to dom gry określi czas i formę jego wykupienia.

Innymi słowy – żeton ten, podobnie jak ten dom i klub, należał do Lennox Gatesa. Jeszcze innymi słowy – ona sama miała do niego należeć przez rok od owej przegranej.

Winna mu była przysługę. Nawet gorzej – swój dar, może nawet moc.

Bez żadnych ograniczeń.

Cokolwiek zażąda.

Mógł, według swojego uznania, nakazać jej rzucić się z dachu najwyższego budynku świata. Utopić w jeziorze Moultrie. Uwięzić w świetliku.

Właściwie Lennox Gates mógł nakazać Ridley wykonanie czegokolwiek, tak jak ona sama nakazywała innym, posługując się mocą przekonywania. Odebrać tę wygraną mógł, kiedykolwiek zechce, ona zaś nic nie mogła na to poradzić.

Ridley wciąż miała go przed oczami, napawającego się triumfem,

tamtej nocy w Udręce.

*Takiego, co to zadręcza samą swoją obecnością. Taki właśnie był.*

Wyparła to wszystko z pamięci.

Jeszcze nie czas.

Trzeba było się zająć spłatą długu karcianego, a w tym celu musiała ściągnąć Linka do Nowego Jorku. Jeden perkusista, dostawa w drodze.

\*\*\*

W Filadelfii Rid pozwoliła Linkowi wsiąść z Rzęcha jedynie po to, by w przydrożnym zajeździe kupić colę, ale już nie dała mu jej wypić na miejscu.

W East Brunswick, w stanie New Jersey, z ulgą przyjęła rozmieszczone wszędzie informacje o tankowaniu paliwa wyłącznie przez pracowników stacji, opuszczanie samochodu więc przestało wchodzić w grę.

– Przykro mi, szalona pałko. Takie tu przepisy.

Ridley nie mogła się uwolnić od irracjonalnego panicznego lęku, że chłopak zawróci i ruszy prosto do domu. Ze swego miejsca przez całą drogę czuła jego zdenerwowanie. Miał nawet problemy z utrzymaniem rąk na kierownicy. Zbyt absorbowało go bębnienie, gdzie popadło, niemal po całym wnętrzu Rzęcha.

– Muszę stanąć i chwilę pooddychać. – Wydmuchnął głośno powietrze, jak palacz, tyle że bez papierosa.

– Wszystko gra. – Ridley wyciągnęła rękę. *Powinnam go chyba teraz po czymś poklepać? Może po ramieniu?*

Pozwoliła swej dłoni niezgrabnie opaść na jego nogę.

– Tego nie możesz wiedzieć. A jeśli jestem beznadziejny? Jeśli nigdy nie dorobię się nowej kapeli? A jeśli to wszystko to tylko jakaś głupota? – powiedział to takim tonem, jakby odkrywał coś nowego, a Ridley starała się powstrzymać uśmiech.

– Powstrzymywało cię to kiedykolwiek? – Dała sobie spokój z poklepywaniem.

Potem Ridley przeszła w stan czuwania, gotowa w razie potrzeby zastosować odpowiednie środki. Link wyżywał się za kierownicą, ona wciąż tkwiła na miejscu dla pasażera. Jeśli czegoś nie zrobi, może

zatonąć z całym tym statkiem. Ostatecznie siedzieli w tym razem.

Link wzruszył ramionami.

– Może trzeba mi było złapać robotę w myjni.

Smutniejszej rzeczy jeszcze nie słyszała. Sprowadziła na nią myśli tak nieridleyowe, że niemal paliło ją od nich w głowie.

*To właśnie chyba nazywa się więzią z drugim człowiekiem. Tego nie można sobie ot tak odegnąć, nie da się magicznie włączyć lub wyłączyć. Prawdziwe nawiązanie połączenia z kimś innym to sprawa nieskończenie bardziej skomplikowana.*

Przyjrzała się wykutemu w ogniu pierścieniowi więzi na swoim palcu. Będzie musiała coś zrobić, dla nich obojga.

Poruszyła palcami, obserwując przy tym, jak kolor pierścienia przechodzi z jasnoniebieskiego w mleczną zieleń. *W zieleń Obdarzonych*, pomyślała. *Niczym jakiś wielki i stary pierścień zmiany nastroju Obdarzonych.*

Zamknęła oczy.

Nie, to nie było zaklęcie. To nie był nawet urok. W niczym nie przypominało wiśniowego lizaka lub listka gumy ani czegokolwiek innego, co ssało się lub żuło, by wzmocnić syrenie moce.

To było życzenie.

A jednak, gdy je formułowała, poczuła dziwne szarpnięcie – jak gdyby coś otwierało dostęp do najgłębszej części jej umysłu, tak samo jak wówczas, kiedy celtowała z Obdarzonymi lub gdy używała uroku, by wyminąć jakiegoś niczego nieświadomego skauta.

*Życzę sobie, żeby ten Rzęch odbył podróż. Gdyby był tu John, odkryłby, jak tego dokonać. Przemieścilibyśmy się stąd do Nowego Jorku w ułamku sekundy.*

Serce Ridley załomotało i otworzyła oczy akurat, żeby zobaczyć, iż Rzęch przejeżdża most Brookliński, nad wodami oddzielającymi Manhattan od Brooklynu.

– Czekał no – powiedziała, odwracając się do Linka. – Ty to widzisz?

– Most Brookliński raczej trudno przeoczyć, Rid. Nawet chłopakowi z Gatlin. – Link wyszczerzył się w uśmiechu. Znów był dawnym sobą. To miasto w jakiś sposób zawsze oczarowywało go tak kompletnie, że tylko urok Ridley miał na niego tak samo mocny wpływ.

– Nie zauważyłeś ostatnio czegoś dziwnego? Na trasie z New Jersey tutaj?

– Poza tym, że tablice rejestracyjne są niewłaściwego koloru, a wszystkie rozgłośnie radiowe nadają jak najęte? I że trzeba płacić za jazdę autostradą? Wszystko tu jest dziwaczne, mała. To jest Północ.

Potem zaczęło lecieć *Stairway to Heaven*, co oczywiście położyło kres rozmowie. W myśl jednej z nielicznych reguł, obowiązujących w Rzęchu, *Stairway* należał się szacunek.

Rid podniosła dłoń, w świetle księżycy przyglądając się pierścieniowi. *Jak brzmiało to zakłęcie wiążące? Było coś o zesłaniu nas? Czyżby to pierścień tego dokonał?*

Znów przeszedł w blady błękit i nie wydawał się różnić mocą od innych jej precjozów.

*To nie Link sprawił, że Rzęch odbył podróż. On tego nawet nie zauważył. A ja sobie tego nie wyobraziłam. Nie byłabym w stanie.*

Bo naprawdę byli w Nowym Jorku.

Nie rozumiała, jakim sposobem ani dlaczego, ani nawet za czyją sprawą – ale przynajmniej wyszło na dobre. Jej życzenie się spełniło. Z Nowego Jorku nie było już odwrotu.

Ridley nie potrafiła stwierdzić, czy do tego również przyczynił się pierścień, ale w jednej chwili wyjechali z ciemności w roziskrzone światła, most Brookliński wydał się jej najbardziej magicznym miejscem tego świata, czy raczej drugim w tej kategorii. Przypomniał Ridley Most Obdarzonych, wiodący do Spoiny, wielkiej granicy między światem śmiertelnych a zaświatami. Tyle tylko, że tamten most był starą, najeżoną drzazgami kładką, ten zaś tutaj nieledwie pomnikiem na cześć śmiertelnych. Zastanawiała się, czemu wcześniej tego nie zauważyła. Wszystko tu zakrojono na ogromną skalę – liny wznoszące się wysoko w nocne niebo, podpory, rzucające na przemian pasy cienia i światła, gdy Rzęch między nimi sunął – w okolicach Gatlin nie było okazji przywyknąć do takich widoków.

To było dzieło śmiertelników, ale jednocześnie zapierało dech, Ridley zaś nie mogło się pomieścić w głowie, że ta żałosna, zepsuta rasa ludzka potrafiła wznieść coś tak pięknego.

*I to, kiedy się już myślało, że niczym cię nie zaskoczą, powiedziała sobie. Czas zacząć się martwić, że jednak mogą.*

MTV Video Music Awards. [\[wróć\]](#)





## ROZDZIAŁ 7

### *Another Brick in the Wall*

Nie zgubiliśmy się. Jak duży może być Brooklyn? Mam zresztą węż jak piesgończak, pamiętasz?

– Pies gończy to dwa odrębne wyrazy – powiedziała Ridley. – A ty masz na myśli ogara.

– Wszystko jedno.

Upił łyk coli z puszki wklinowanej między jego siedzenie a drzwiczki. Samochody tak stare jak Rzęch nie były jeszcze wyposażone w luksusowe udogodnienia w rodzaju uchwytów na kubki czy płyn do spryskiwaczy, nie mówiąc już o dwóch rodzajach przednich świateł.

– Na pewno wiesz, dokąd jedziesz? Gdzie jest to twoje mieszkanie? – Ridley przyjrzała mu się podejrzliwie. Z westchnieniem wypluł colę z powrotem do puszki. Tyle właśnie miał z picia. Jak każdy inkub, Link nie musiał jeść, nie miał nawet apetytu. Nie oznaczało to jednak, że za tym nie tęsknił.

Znów westchnął, zagrzechotał puszką.

– To nie jest mieszkanie. Nie tak całkiem.

– A co to jest, tak całkiem?

– Parking. – Zerknął na nią kątem oka.

– Wspaniale. – Starła się wyglądać na oburzoną, naprawdę jednak jakoś to jej nie zaskoczyło.

– Wymyśliłem, że będę spał w Rzęchu. Mieliśmy zdaje się całkiem dobre chwile w tym staruszku. – Czule poklepał deskę rozdzielczą.

– Zamierzałeś przenieść się do Nowego Jorku i zostać tu, aż zrobisz karierę, przez cały ten czas śpiąc w swoim aucie?

Link wzruszył ramionami.

– Ile to mogłoby potrwać? Utalentowany ze mnie facet.

Ridley wyciągnęła z torebki skrawek papieru i zgarnęła z deski rozdzielczej starożytny i jeszcze niezbyt inteligentny telefon. Znalazła klawiaturę i zaczęła powoli wystukiwać litery czubkami długich

czerwonych paznokci.

– Nie przejmuj się. Ja coś mam.

Nadeszła pora na następną fazę jej planu – na spotkanie z kapelą, którego Link nie mógłby jej bardziej ułatwić. Techniczny z Udreki dał jej numer do gitarzysty prowadzącego i powiedział, żeby dała znać, jak dotrą do miasta. *Oto jesteśmy.*

**w drodze adres prosz – Rid z Udreki**

– Ty masz? Co takiego? – Link zmarszczył brwi.

– Znam pewnych ludzi. – Poklepała go po ramieniu. – Zawsze kogoś znam.

– Od kiedy? – Przyszła kolej na podejrzliwość Linka.

Odpowiedź była niemal natychmiastowa i niezrozumiała.

**rzygający klaun myrtle duane**

Ridley musiała rozszyfrować tę wiadomość.

– Wygląda na to, że zatrzymamy się u gościa imieniem Duane – powiedziała. – I może z dziewczyną imieniem Myrtle.

– Czemu nigdy o nich nie słyszałem?

Ridley musiała z tego wybrnąć.

– To przyjaciele Johna. Puściłam mu esemesa i nas ustawił.

– John przecież całą tę noc spędza w samolocie? – zauważył Link. – Kto to naprawdę jest ten Duane?

– W samolotach mają teraz Wi-Fi – odparła gładko Ridley.

*Kłamstwa zaczynają mi tak łatwo przychodzić. Nawet łatwiej niż dotąd.*

– Wiedziałbyś, gdybyś był kiedyś na pokładzie jakiegoś.

– Hej, bywało się tu i ówdzie.

– Autobus Greyhonda na Myrtle Beach odpada. – Rid nawet nie podniosła wzroku. – Tyle w sprawie Myrtle. – Napisała coś jeszcze.

**jaki rzygający klaun**

Odpowiedź przyszła równie szybko.

**rzyga na myrtle**

Co?

Link skrzywił się szyderczo i Rid zmuszona była przestać patrzeć na telefon. Oderwał wzrok od znaków ulicznych na tyle, że zdążył unieść ironicznie brew.

– Po co mi samolot? Dureń z Johna, że nie wybrał podróży.

– To zabawne, bo kiedy ostatnio sprawdzałam, siedzieliśmy w samochodzie przez dziesięć tysięcy godzin, jadąc nim aż z Karoliny Południowej do Nowego Jorku. Zero podróżowania. – *O ile nie liczyć tego odcinka, gdy podróżowaliśmy*, dopowiedziała w myśli.

– To co innego. Nie mógłbym kochanego staruszka zostawić w domu. Zabiłby mnie. – Link poklepał deskę rozdzielczą. – Prawda, cukiereczku?

– Jesteśmy ustawieni z Duane'em i Myrtle. To jest ważne. Pewna jestem, że wszystko się ułoży.

Ridley prawie uwierzyła w to, co powiedziała. Raz jeszcze sięgnęła po telefon.

**rzygajacy klaun ki diabel kto to jest myrtle**

Tym razem w ogóle nie dostała odpowiedzi.

\*\*\*

– To ulica, a nie osoba.

Ridley stała pod tabliczką, anonsującą MYRTLE AVE. Cudem było, że ją znaleźli, zważywszy że był środek nocy, i to smoliście czarnej, a wszelkie okoliczne tablice, ściana i inne płaszczyzny pokryte były warstwami graffiti.

– Ja za coś takiego o Myrtle to bym się nasłuchał – wytknął jej Link. – Wracajmy do wozu. Chata tego gościa musi gdzieś tu być.

Ridley pokręciła głową.

– Nie widzisz tego? Duane sobie z nami leci.

– Aktualnie go tu nie ma – zauważył Link, ze śmiechem. – Ale Duane rzeczywiście chce, żebyś do niego przyszła zaszczepić się przeciw grypie. Bo on też nie jest osobą. – W rzeczy samej, był tam, afisz reklamujący dzień szczepień „dwa w cenie jednego” w Duane Reade.

W aptece Duane Reade.

*Cholera*, pomyślała. *Lecą sobie ze mną w kulki. To oczywiste. Szampon Diabła. Ten zespół już wygląda na beznadzieję gorszą niż Meatstik.*

Link przyjrzał się Ridley.

– Nie ma żadnego Duane’a, mała. I żadnej Myrtle. Masz pojęcie, dokąd właściwie jedziemy i kto na nas tam czeka?

– Rzygający klaun.

Usiadła na krawężniku. Tylko tyle zostało i musiała się tego trzymać. Była tak sfrustrowana, że chciało się jej płakać. Nie pomagało jej też to, że ludzie, których szukali, nadal nie odpowiadali na jej esemesy.

– Oczywiście. Że też sam na to nie wpadłem – sapnął Link, starając się nie dać ponieść nerwom.

– To wszystko, co podał ten facet. Głupia byłem, że posłuchałam jakiegoś durnego Obdarzonego, i to nieznajomego, wierząc, że mi pomoże. – Zreflektowała się. – Tylko dlatego, że to przyjaciel Johna. – *Fakt*. Coś w tym było. Przez jej życie przewinęły się tłumy durnych Obdarzonych, których nie powinna była słuchać.

*Cholerni Obdarzeni.*

I jeszcze tamten cholerny techniczny, śmiertelnik. Gdyby go nie poznała, w życiu nie zagrałaby tamtej nocy w łgarstwo i nie wpakowałaby się w ten bajzel.

*Cholerni śmiertelnicy.*

– To kim jest ten cały nie-Duane? Istotą Ciemności? – Link siadł obok niej na krawężniku.

– Prawdopodobnie. – Wzruszyła ramionami, improwizując. – Skoro to jeden z przyjaciół Johna. Nie miał świetlanego dzieciństwa.

– Daj spokój. John nigdy nie miał żadnych przyjaciół, Rid. Oboje to wiemy. Kim, tak naprawdę, jest ten facet?

– No... – Ridley nabrała tchu i spojrzała na Linka. – On jest z kapeli.

– Co?

Link znieruchomiał. Nie było siły, żeby Ridley użyła w rozmowie słowa *kapela*, a on nie wyczuł, że coś się szykuje.

Kapele to była jego broszka, nie jej.

Od spiknięcia się z Linkiem jak najusilniej unikała wszelkiej

innej muzyki. Biorąc pod uwagę rodzaj muzyki, granej przez zespoły Linka, tak było nawet lepiej, bo nie miała z czym jej porównać.

Teraz to wszystko runęło. *Wszystko, doszczętnie.*

– Nawet nie pamiętam, jak się nazywa. Należy do jakiejś kapeli i widziałam go, jak grał w Udręce. – *Po tym, jak zerwaliśmy. Po tym, jak od ciebie uciekłam. Po tym, jak przebalangowałam się przez pół Europy. I po tym, jak straciłam wszystko przez jedną pechową partyjkę łgarstwa.*

– Mów dalej. – Link patrzył jeszcze bardziej podejrzliwie. Z jedną kapelą było dość problemów. Druga, z jakiegoś klubu dla Istot Ciemności, jeszcze pogarszała sprawę.

Reszta mowy obronnej Ridley przybrała postać długiego – i częściowo zaskakująco odpowiadającego prawdzie – monologu.

– Nie chciałam ci o tym mówić, ponieważ nie chciałam się o to spierać, a także dlatego, bo wiedziałam, że byś go znienawidził, kojarząc z naszym zerwaniem (*coś z prawdy*). Ale dopiero tam się poznaliśmy, a jego kapela potrzebuje perkusisty, bo pod innymi względami wydają się całkiem dobrzy (*ponownie coś z prawdy*). I powiedziałam mu, że znam kogoś, kto byłby idealny, i oto tu jesteśmy. – Znowu wzięła głęboki oddech. – Widzisz? Wszystko gra. Znajdźmy więc tego rzygającego klauna.

Starła się, żeby zabrzmiało to wesoło, ale przy *rzygającym klaunie* znów się poddała.

– Nie potrafię ci uwierzyć. – Link przypatrywał się jej, i to nie tak życzliwie. Nie w stylu *Jak ja kocham tę syrenę*. Bandażowa sukienka nie odegrała najmniejszej nawet roli w tej rozmowie, co dowodziło, jak fatalny obierała kierunek.

*Przegrywam na swoim polu*, pomyślała Ridley. *Powinnam raz dwa się uporać, ale nie daję rady. Co ze mną jest nie tak?*

– W którą część nie możesz uwierzyć? – Próbowała sobie przypomnieć, co tam było prawdą, ale tak wszystko zamotała, że sama miała problemy z wyodrębnieniem tego.

– W żadną. Wiedziałaś, że jadę tu, by się przebić na scenę muzyczną. Mimo to przez całą drogę, siedząc w samochodzie, ani słowem się nie zająknęłaś, że czeka mnie przesłuchanie do kapeli.

– Nie będzie przesłuchania. Już masz tę pracę. – *I w tym cały problem*, pomyślała. *Paskudna ironia.*

– Co ty mówisz?

– Im potrzeba perkusisty. Ty jesteś perkusistą. To matematyka. Ty plus oni równa się kapela. Proste. Możemy już zacząć szukać tego klauna?

– Rid. Stop. To dla mnie wielka sprawa. Nie możesz za mnie decydować o całej mojej przyszłości. Nie tak ma to wyglądać.

– Czemu nie?

– To moje marzenie. Nie możesz się w nie wtrącać. Ja powinienem sam się tam wspiąć.

– Sam to robisz.

– Serio? A ile lizaków musiałaś wyssać, Rid, żeby do tego doprowadzić? – zapytał.

Te słowa zaboląły. Odwróciła wzrok.

– Zwykle dziewczyny nie robią takich rzeczy, Rid.

– To czemu nie weźmiesz się do rzeczy i sobie takiej nie poszukasz? – *Nie odcinaj się, Rid. Spuść z tonu.* – Bo ja tylko próbowałam pomóc. – *Sobie*, dodała w myślach, choć wrednie się z tym czuła.

Patrzył na nią sceptycznie.

– Naprawdę, Link. Staram się tylko być z tobą szczerą. – *Niezła podpucha.*

– Skoro tak mówisz. – Odwrócił wzrok, znów w stronę pokrytej graffiti apteki Duane Reade.

– Czemu mi nigdy nie wierzysz, gdy mówię, że jest mi przykro?

Ridley nawet spróbowała pokazać, jak bardzo jest jej przykro, ale nie bardzo mogła sobie przypomnieć, jak wygląda ten konkretny wyraz twarzy. Pokazała zamiast tego, że jest jej niedobrze, to bowiem udawała tyle razy, że niemal weszło jej w krew.

– Bo tobie nigdy nie jest przykro – oznajmił Link, jakby ta myśl nagle przyszła mu do głowy. – Bo w sumie nie wierzysz, że mógłby istnieć jakiś powód, dla którego byłoby ci przykro. To wszystko jest dla ciebie tylko grą. Nigdy nie będzie niczym poważniejszym. Nie dla Ridley Duchannes.

Ridley wiedziała, do czego nawiązał. Wcześniej tego lata, gdy Link wyznał, że ją kocha, wkurzyła się i go spławiła. Żadne z nich dotąd do tego nie wracało.

Coś prawdziwego było zbyt prawdziwe, zwłaszcza dla Ridley.

– Nie. To nieprawda – powiedziała, czując się nagle jakoś okropnie.

Link się podniósł.

– Muszę się przejść.

– Nie odchodź, proszę – powiedziała. – Link.

Oddalił się w dół ulicy – od Ridley, od Rzęcha, od Duane Reade i całej tej rozmowy.

Przez całe swoje życie oszukiwała śmiertelników. A przynajmniej manipulowała nimi. Dotychczas zawsze osiągała swoje. Czemu teraz szło jej tak źle? I kim był ten Link, żeby przez niego czuła się tak paskudnie, choć robiła tylko to, co zwykle?

Większość Obdarzonych niewiele myśli o śmiertelnikach. Są przecież po to, by ich wykorzystywać – taki jest sens ich istnienia.

Jako tarcze strzeleckie lub podczas lekcji rzucania czarów.

*Wiesz, w końcu to tylko śmiertelnicy.*

Ridley siedziała sama na krawężniku, w kręgu smętnego żółtego blasku lampy ulicznej. Noc, nawet jak na miasto, była ciemna, a ona kolejny raz była sama.

*Oto kim jestem. Dziewczyną siedzącą samotnie na krawężniku. Bycie kimś takim najlepiej mi wychodzi.*

Wiedziała, że powinna powiedzieć Linkowi prawdę, tylko którą? I jakie miało to znaczenie? W końcu i tak zawsze będzie siedzieć samotnie na krawężniku.

*Może to właśnie jest moje miejsce?*

Zadygotała, czując się jak na widelcu, jakby cały świat ją obserwował.

*Dosłownie obserwował.*

Podniosła wzrok.

*Bo i ktoś mnie obserwuje,* pomyślała. Czuła na sobie to spojrzenie. Zerknęła w górę ulicy, potem w dół. We wszelkich wnękach i szczelinach, za samochodami i podestami, w bramach i w krzakach noc była jeszcze czarniejsza. Tyle tu było kryjówek.

Jednak gdy tak uważnie patrzyła, nic się nie poruszało.

*Może coś sobie uroiłam.*

Nie było słyhać żadnych kroków, żadnych innych odgłosów.

*Aż tak bogatej wyobraźni nie mam.*

Ridley wciąż jeszcze próbowała rozpracować tę zagadkę, gdy

usłyszała wołanie Linka:

– Rid!

– Spadaj – odpowiedziała. – Nie chcę tego słyszeć. – Tego właśnie mógł od niej oczekiwać, od syreny siedzącej samotnie na krawężniku. No to się doczekał.

– To fatalnie, bo znalazłem nam rzygającego klauna.



## ROZDZIAŁ 8

### *Stairway to Heaven*

Dokąd mnie zabierasz?

– Zaufaj mi odrobinę, Rid – odparł Link.

– Dobrze. – *Akurat.*

Link zatrzymał się i przyciągnął ją przed siebie, kładąc dłonie na jej ramionach.

– Posłuchaj. Staram się pomóc. Nie mówię, że wchodzę w to na pewniaka. To znaczy, muszę się upewnić, że mi pasuje. Ta kapela.

Ridley wstrzymała dech.

– Więc?

– Jeśli to dla ciebie ważne, zaryzykuję. Jestem przecież twoim facetem. Ale musisz być ze mną szczerą.

– Jestem. – Podniosła rękę, by wyjąć z oka kosmyk.

– Jesteś pewna, że nic więcej się pod tym nie kryje?

Kiwnęła głową. *Przynajmniej nic takiego, co mogę ci wyjawić.*

Nadal jednak dręczyło ją wrażenie, że jest obserwowana. A jeszcze bardziej dokuczało poczucie winy, że musiała okłamać swojego chłopaka.

Całą noc się przez to źle czuła.

– Nic mi nie jest – powiedziała, tak samo sobie, jak i jemu.

Linkowi chyba ulżyło i chwycił ją za rękę.

– No to chodźmy.

Poszła za nim na przeciwną od Duane Reade – tej rzeczywistej apteki i nieskończenie mniej rzeczywistej osoby – stronę ulicy, gdzie znajdowała się niewielka, opuszczona, pod żadnym względem nie rzucająca się w oczy, jednokondygnacyjna restauracyjka. Choć na ulicy panowała ciemność, frontowe okno budynku rozjaśniał migotliwy neon z jednym tylko słowem: DINER. Wszystko tu wyglądało tak, jakby od półwiecza prawie nic nie zmieniano ani nie czyszczono.

– Czy to znaczy, że mamy tutaj dinerę? Czy coś, co tylko nazywa się Diner? – Ridley nie odrywała od niego wzroku. – Nie łapię tego.

– Marilyn's Diner. Nie widzisz, że resztę neonu szlag trafił?

Przyjrzała się teraz uważniej, nadal jednak w tym oknie niewiele mogła rozróżnić. Link, po przemianie w hybrydowego inkuba, mógł widzieć i słyszeć rzeczy niedostępne nie tylko śmiertelnikom, ale nawet Obdarzonym.

– Ale i tak nie o to mi chodzi. Spójrz tutaj.

Link wskazał boczną ścianę dinery, wychodzącą na róg skrzyżowania. Był to względnie przeciętny ceglany mur, pokryty graffiti. Grafficiarskie podpisy nabierały abstrakcyjnych, wymalowanych sprejami kształtów, przechodząc w splątane kłębowiska. Cały ciąg potworów. Morze twarzy. Ręce niczym kwiaty, rzędami wyrastające z ziemi.

I jedno słowo, wygięte nad tym wszystkim w łuk.

*NECRO*

To liternictwo z czymś się Ridley skojarzyło, nie potrafiła jednak tego określić dokładniej. Może to imię było znajome, może tylko ten styl.

– To coś jak z obrazów takiego gościa. Wiesz, w muzeach Paryża czy hiszpańskich.

– Aha, tego gościa. Łapię, o co chodzi. – Ale Link nie łapał, bo nigdy w życiu nie przestąpił progu muzeum. Ani nawet sklepu z pamiątkami.

– Dalego – powiedziała, pstrykając palcami. – Salvador Dali, facet od zwiotczałych zegarów, niesamowitych twarzy i czaszek z czaszkami w oczodołach. Potwornych łbów łączących na kurzych nogach i takich tam.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, więcej niż ja poświęcałaś uwagi muzeom. – Link wyszczerzył się w uśmiechu. – Jesteś w tym obcykana.

– Widzisz to tam? Gdzie monstrum, wychodzące z jakiegoś upiornego jaja na nogach, pożera tych ludzików? O tym właśnie mówię. – Ridley machnęła ręką w stronę muru.

– Zdaje się, że coś ci umknęło. – Link sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

– Ach, tak? To kto to ma być, Picasso?

Link wyciągnął rękę ku białemu potworowi.

– Jest tam.

Dotknął ściany za tym białym potworem, w miejscu gdzie inny stwór, wyglądający na krzyżówkę kalmara z żyrafą – z dziwnie okrągłym czerwonym nosem – wypluwał z ogromnej paszczy strugę czegoś przypominającego gałki oczne.

– Puszcza pawia – stwierdziła Rid. – Klaunowski Nos puszcza pawia.

Wtedy do niej dotarło. Klaunowski Nos. Puszcza pawia.

*Rzygający klaun!*

– Rzyga jak Savannah Snow na szkolnych finałach. – Link od czasu opuszczenia Gatlin nie miał jeszcze takiej radochy. – Albo Emily Asher na balu absolwenta. Albo ten nawalony dzieciak z Summerville, co to podczas ostatniego kawałka Meatstika miał zatrucie żołądkowe. Albo...

– Tak, tak. Już łapię. – Rid sięgnęła ku tej paszczy. Jej dłoń weszła w głąb i zniknęła aż po przegub.

– Klamka? – W oczach Linka pojawiła się nadzieja.

Zamiast odpowiedzieć, chwyciła go za rękaw i szarpnęła tak, że oboje zniknęli w kłębowisku farb, tworzącym grafficiarski mural...

... by pojawić się po drugiej stronie drzwi, przy skrzynkach na listy w przeciętnie wyglądającym apartamentowcu.

Link zgiął się w pół, opierając dłonie na kolanach. Zaraz jednak się wyprostował, potrząsając głową, jak wielki pies, który właśnie wyskoczył z wody.

– Łaa. Nigdy chyba do tego nie przywyknę.

– Chodzi ci o zakłęcie *Occultus Vox* w wersji podstawowej? No nie, proszę. To dziecinne iluzje. Larkin tak samo zabezpieczył swój klub już jako pięciolatek.

Na Ridley wejście nie zrobiło aż takiego wrażenia; każdy by z tym sobie poradził. Za szybą w kolejnych drzwiach zobaczyła za to schody zygzakami pnące się w mrok – do mieszkań nad dinera Marilyn's, za sprawą zakłęcia niewidocznych z zewnątrz. Rozciągnięcie iluzji na cały apartamentowiec to już było coś. Widoczna została jedynie dinera na parterze, zawierająca też – co sobie Ridley właśnie uświadomiła – drugie wejście.

– Dinera stanowi próg – powiedziała Ridley. – Wydaje mi się, że weszliśmy drzwiami od zaplecza. Prawdopodobnie próbują nas

spławić.

– Czemu mieliby to robić?

Ridley wzruszyła ramionami.

– To są Istoty Ciemności, a nie komitet rodzicielski ze Stonewall Jackson High. Nie przepadają za sąsiadami.

Przyjrzała się skrzynkom pocztowym: rzędom nazwisk, wypisanych ołówkiem na odpowiadających im – sfatygowanych jak u śmiertelników – metalowych skrzynkach. Przesunęła palcami po tej liście.

*FLOYD: #2D*

Stuknęła palcem w to imię.

– Poznałam tę dziewczynę. To iluzjonistka.

– Floyd?

– Tak mi się zdaje. – Ridley wzruszyła ramionami. Szczerze mówiąc, tamtej nocy w Udreće raczej nie zwracała uwagi na nic, poza swoją własną sytuacją. – Niezła była w łgarstwo. Ale ja byłam lepsza.

– Coś więcej? – Link patrzył na nią tak, jakby zapomniała o najważniejszym.

– Ach, racja. Zdaje się, że gitara basowa. – Próbowwała sobie przypomnieć, ale się poddała. – Coś takiego. Jakaś taka rockmenka.

– Lubię rockmenki. – Link szeroko się uśmiechnął.

Ridley go zignorowała. Wskazała za to inne nazwisko na tej ścianie.

– Nie zrobiła tego sama. Spójrz.

Oto, co tam było:

*NECRO: #2D*

– A więc są zaprzyjaźnieni – stwierdził Link.

Ridley przytaknęła.

– Jedno zrobiło malunek, a drugie ukryło drzwi. Poznałam ich oboje, ale chyba przez całą noc nie zamieniłam z nimi więcej niż dwa słowa. – *Pozerska odmiana luzaka rockmana.*

– Necro? Zapewne nekromanta. – Link raczej się zaniepokoił.

Przez parę ostatnich lat miał serdecznie dość rozmawiania z umarłymi. Tak wpływa na faceta wyprawienie najlepszego przyjaciela w zaświaty i sprowadzenie go stamtąd.

– Myślisz? Po czym to wnosisz?

Link uniósł ręce na znak, że się poddaje.

Jedno nazwisko wydrapano. Ridley przyjrzała mu się uważnie, ale nic nie zdołała odczytać.

– To musi być dziura po ich perkusiście. Po tym, którego zastąpisz.

– Nic nie...

*Ostrożnie. Trzeba się wycofać.*

– Po tym, którego, jak sądzą, zastąpisz. Wiem, wiem. Nie do mnie należy decyzja. Nie musisz robić niczego, co ci nie będzie pasowało. Nie jestem przecież twoją szefową. Wejdźmy więc do środka i wyjaśnijmy sprawę.

– A co z tym? – Link nachylił się, żeby odczytać nazwisko. – To wygląda jak Sam. Sam i coś dalej.

*SAMPSON: #2D*

Ridley bardzo źle się poczuła, widząc nazwisko tego dziwnego Ciemnorodzonego, który pokonał ją podczas ostatniego rozdania gry w łgarstwo. Tego, który grał w imieniu domu.

– Sampson to... zupełnie inna historia.

– Światło? Ciemność? Inkub?

Żeby to wiedziała...

– Po prostu inna. – Jej ton mówił *odpuść sobie*, skorzystał więc z tej rady.

Ridley nabrała tchu.

*Teraz albo nigdy. Ja wpakowałam nas w ten bajzel. I oto, jak nas wyciągnę.*

I postąpiła wbrew dokładnie wszystkiemu, co czuła, że powinna zrobić. Znalazła mieszkanie 2D – piętro wyżej po schodach, nijak nie kojarzących się z Obdarzonymi – i nacisnęła dzwonek.

Drzwi się otwały.

Za nimi stała trochę po chłopięcemu śliczna dziewczyna z

niebieskim pseudoirokezem. Ridley przypominała sobie z klubu ten dość krótko ścięty niebieski fryz. Imienia nie mogła sobie przypomnieć. Wszystkie się już zlewały.

– Cześć, Duane. – Zmusiła się do uśmiechu. – Puk, puk. To my. – Zbliżyła się o krok do drzwi, które niebieska pseudoirokezka usiłowała zatrzaskać jej przed nosem. – Nie spodziewałaś się nas? Dzięki za wspaniałe wskazówki. Naprawdę ogromnie nam wszystko ułatwiły.

Link pchnięciem otworzył drzwi na oścież i widzieli teraz dwie dziewczyny. Ridley obie przypominała sobie z Udręki.

Jedna była wysoka i patykowata, w złachanych sportowych dżinsach i podartym T-shircie Pink Floyd, z mnóstwem strąkowatych blond włosów, na które nie miała pomysłu. Aktualnie wylewały się z dwóch węzłów na czubku jej głowy.

– Siemka, Floyd – powiedziała Ridley.

W porównaniu z tamtą, ta z pseudoirokezem była niska i drobna. W miejscach wolnych od niebieskich włosów i czarnej skóry tyle było kolczykowania, jakby miała świra na punkcie zszywacza.

– Necro. – Ridley przywitała ją skinieniem głowy. Uświadomiła sobie, że kiedy się poznały w Udręce, nie dotarło do niej, że to dziewczyna.

Żadna z dziewczyn nie odpowiedziała.

– Cześć, Floyd. – Link zwrócił uwagę na jej koszulkę. – Łapię. Niesamowite. – Lekko się pokłonił, na znak hołdu. Floyd powstrzymała uśmiech.

Spojrzał na Necro.

– Jak leci, Gaga?

Ridley parsknęła.

– Link, zachowuj się. To nie jest Gaga. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle Lady.

– To? O mnie mówisz? – Necro przyjrzała się swej piąstce, jakby rozpatrywała warianty postępowania. – Och, Barbie. Gdzie się uczyłaś manier?

– Na ulicach Brooklynu – skontrowała Ridley. – Dzięki waszym rewelacyjnym wskazówkom. – Spojrzała na Linka. – To mój chłopak, Link. – Ruchem głowy wskazała mu dziewczyny. – A to Szampon Diabła.

– Szamani – sprostowała Floyd.

– Jakby to coś zmieniało na lepsze. – Ridley przewróciła oczami.  
Necro chyba się zdenerwowała.  
– Nie mówi się, że syreny pod miłym, słodkim zewnętrzem  
skrywają mordercze szpony?  
Ridley zamachała szponiastymi paznokciami.  
Necro uśmiechnęła się.  
– O, pazury już widzę. Trudniej mi znaleźć to słodkie zewnątrz.  
– Ugryź – zaproponowała Ridley. – Przekonasz się, jaka jestem  
słodka.  
Necro uniosła brew.  
– Śmieszne, ale chyba sobie to odpuszczę.  
Ridley odpowiedziała jej uśmiechem.  
– Śmieszne, bo ja nikomu nie odpuszczam.  
Stały już oko w oko, szpon w szpon. Nekromantka i syrena, w  
impasie nie do opisania.  
W końcu to nekromantka pierwsza zamrugła.  
*Czyż nie zawsze się tak dzieje?*  
Necro szerokim gestem mocniej otworzyła drzwi.  
– Niech będzie. Lennox uprzedził nas, że przyjdziecie. Możecie  
się zahaczyć w Mecie Diabła. Dopóki nie znajdziecie sobie czegoś  
własnego. – Ridley wykonała krok w kierunku drzwi, ale Necro jeszcze  
ją zatrzymała. – Mam nadzieję, że twój chłopak lepiej sobie radzi z  
garami niż ty z kartami, syreno.  
Ridley przepchała się obok niej. Nie wybuchnęła śmiechem.  
Przy Lennoksie Gatesie nikomu nie było do śmiechu.

## ROZDZIAŁ 9

### *Use Your Illusion*

Mieszkanie 2D wewnątrz okazało się dziwniejsze, niż wydawało się z zewnątrz. Ledwie za Ridley i Linkiem zamknęły się drzwi, Rid poczuła, że stoi w czystej wodzie, wysokiej na kilka centymetrów.

– Co u...

Pod stopami widziała złoty piasek.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła plażę, w niczym nie przypominającą dołującego widoku, jaki ogląda się na plakatach w biurach podróży.

To była sama prawda. Słońce grzało. Woda była mokra. Można było to wyczuć, gdy przesączała się jej między palcami.

– To iluzja?

Necro wzruszyła ramionami.

– Floyd brakowało fal.

Floyd potwierdziła to ruchem głowy.

– Jestem dziewczyną z Kalifornii. Totalnie.

Link kopnął w wodę swoim martensem.

– Zabójczy surf.

*Co ty nie powiesz.*

– Możesz trochę przyciszyć tę wodę? Ledwie słyszę swoje myśli.

Jak tylko Rid spiorunowała Floyd wzrokiem, momentalnie przetoczyła się nad nią fala wielkości Linkowego Rzęcha. Floyd zadbała nawet o to, by włosy i ubranie Rid wyglądały – i ku zgrozie Ridley, nie tylko wyglądały – na do cna przemoczone.

– Zabawne. – Starła się nie dać poznać, że jest pod wrażeniem.

Gdy odwróciła się plecami do tej plaży, była znów sucha – zirytowana, ale sucha.

Gdy się spojrzało na pozostałe trzy skraje plaży, widziało się, że loft był właściwie pusty. Przestrzeń tworzyły wysokie bielone sufity i gipsowe ściany – widoczne tu i ówdzie spod setek plakatów Pink Floyd i grup heavymetalowych.

*Jak w sypialni Linka w Gatlin, pomyślała Rid. Może to dobry*



znak.

– Co to takiego? – zainteresowała się.

Na jednym z krańców tej olbrzymiej izby wznosiło się coś na kształt sceny, ze stojakami dla mikrofonów i upchniętymi z jednej strony wzmacniaczami, a także kolumnami, piętrzącymi się aż pod sufit. Na scenie czekał zestaw perkusyjny i trzy gitary.

– Sala prób – wyjaśniła Floyd, trącając jeden z talerzy perkusji, gdy przechodziła obok niej. Necro stanęła u jej boku. Nowe współlokalki Ridley, a przynajmniej dwie z nich. Westchnęła. Na szczęście nigdzie jeszcze nie było widać Sampsona, Ciemnorodzonego.

– Niewiarygodne. – Twarz Linka rozpromieniła się, gdy dostrzegł scenę, i wpatrzony w nią, zamarł, jakby już wyobrażał sobie, jak na niej szaleje. Gdy wykonał krok w jej stronę, pojawił się za nią tłum jak na stadionie, zupełnie jakby patrzyli od strony kulis.

Link cofnął się o krok i tłum zniknął.

W przód, w tył. W przód, w tył.

Jest tłum, nie ma tłum. Jest tłum, nie ma tłum.

Roześmiał się.

– Ale mi to pasuje.

Wykonał krok w przód. Potem następny. Tłum się rozwrzeszczał, aż wreszcie jego skandowanie zagłuszyło szum wody.

– Szamani De. Szamani De. Szamani De.

Link, oglądając się przez ramię, szeroko się uśmiechnął.

– Możemy sprawić, żeby to mnie wołali?

Rid szarpnęła go w tył i scena umilkła.

– Może jednak nie.

– Oj, daj spokój. Popatrz na to. – Link wskazał gestem plakaty na ścianach, kiwaniem głowy dając wyraz uznaniu. – Metallica, Guns N'Roses, Black Sabbath, Iron Maiden, AC/DC.

Każdy, któremu się przyglądał, zagrał riff z któregoś z najsławniejszych utworów danego zespołu. Obdarzeni – jako fandom – niewątpliwie dawali się lubić.

– Ktoś tu ma dobry gust – przyznał Link.

– Wygląda na to, że ja. – Blondynka uśmiechnęła się, głównie do Linka.

– Tak myślałem, że to ty, Floyd. – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Ksywka mówi sama za siebie.

*Wspaniale*, pomyślała Ridley. *Żeńska wersja Linka.*

Floyd potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Nie nazwałam się na cześć kapeli. To nazwisko rodowe. Frances Floyd Trzecia.

Link wyglądał na rozczarowanego.

– O rany. Cóż, twoja strata. I tak jest dobrze.

Floyd też się wyszczerzyła, śmiejąc się z jego miny.

– Jaja sobie z ciebie robię. Pink Floyd to największa kapela wszechczasów. – Jej ramię przeistoczyło się w elektryczną gitarę, na której drugą ręką zagrała kilka taktów z *The Wall*.

– *We don't need no ed-u-ca-tion* – zaintonowała.

Ridley zmuszona była przyznać, że Floyd ma całkiem dobry głos, choć przyprawiło ją to o jeszcze większą irytację. Zwłaszcza że Link zaczął wybijać dłońmi rytm na stoliku do kawy, marnie naśladując perkusję. Jej ostatnia nadzieja, że pozostaną razem, zgasła, gdy Floyd całą swą uwagę skupiła na jej chłopaku.

– *We don't need no thought con-trol* – zawtórował. Ciekawa była, czy wiedział, jak fatalnie śpiewa. Jeśli Floyd również to stwierdziła, nie dała po sobie nic poznać.

Ridley podniosła głos.

– Okej, okej. Stanowicie dwuosobową kapelę. Link Floyd.

Uznajmy to za uzgodnione.

– Link Floyd – powtórzył Link. – Spójrzcie tylko na tę nazwę. To przeznaczenie.

*Przeznaczenie?*

– Ty to czujesz. – Link wyciągnął w stronę Floyd żółwika. – Przybij.

– Powiedziałaś Link Floyd? – Ridley pokręciła głową. – Miałam na myśli Blondie. – Znacząco zgromiła wzrokiem jasnowłosego kociaka, popisującego się przed jej chłopakiem.

*Odwal się.*

Floyd i Link przybili żółwika.

– Albo Queen.

*Słucham?*

Ridley zmarszczyła brwi. Nie tego się spodziewała.

– Powiedziałaś Blondie? Chciałam powiedzieć Bitch.

Link aż zamrugał, zaskoczony. Nawet Floyd popatrzyła na nią jak

na wariatkę.

Rid wzruszyła ramionami.

– No co? Jest taka kapela. Sprawdźcie. – Zdusiła w sobie chęć rozwalenia stolika do kawy kopniakami. Szkoda byłoby butów.

– Cho-lera – powiedzieli Link i Floyd, nie dość, że przypadkowo to samo, to jeszcze jednocześnie.

To przepełniło czarę.

– Chcecie wspólny pokój? – Ridley przewróciła oczami. – A może wskażecie mi mój? Jestem skonana.

– Jasne. Sorki. Sampson musi mieć pokój dla siebie, a Floyd i ja dzielimy drugi. – Necro zerknęła na Floyd, jakby coś się pod tym kryło i nie chciała, żeby tamta to wyjawiała.

Było to nawet fajne, gdyż jeśli coś ukrywały, to Ridley i tak zdecydowanie nie miała ochoty tego wysłuchiwać.

– Miłe. Słysząc, kto tu rządzi.

Przez twarz Necro przemknął jakiś cień.

– Znasz jakiegoś Ciemnorodzonego? Są nieprzewidywalni. Niezbyt odpowiedni materiał na współlokatora.

– Ciemnorodzony? – Link trochę się pogubił.

– To dłuższa opowieść – powiedziała Rid. Popatrzyła na Necro i Floyd. – Coś jak zmutowany Obdarzony. Ale nie taki, z którym bym sobie nie poradziła.

– A co takiego zrobisz? Zauroczysz go? – Necro wybuchnęła śmiechem. – Ogromnie chciałabym zobaczyć, jak próbujesz, syreno.

Najwyraźniej odporność Ciemnorodzonego objawiała swoje zalety nie tylko w grach karcianych podziemia. Ridley w Udręce straciła wszystko, gdyż Sampson pobił ją, choć użyła mocy przekonywania. Nie interesowało jej więc stawanie oko w oko z nim w bliższej lub dalszej perspektywie.

*Choć na pewno nie przyznam się do tego tym dwóm ofiarom mody.*

– No to mój czar na niego nie działa. To jeszcze jednak nie oznacza, że jest niezwyciężony. – Ridley była rozdrażniona. Chciała, żeby ten dzień się wreszcie skończył.

*Tego i mojej własnej sypialni.*

– Zobaczyć, jak próbujesz rzucić na Sama jakieś zaklęcie? To byłoby jak oglądanie muchy usiłującej przybić piątkę ze słoniem. Dla

niego prawie nie istniejesz. – Necro była cała szczęśliwa, przypominając jej o tym, co i tak już wiedziała.

– Przekonamy się – oznajmiła Rid. – Teraz pokaż mi moje łóżko, Nimfo.

Floyd spojrziała na Necro, stojącą koło nich, z ręką na biodrze.

– Sama znajdziesz. Nie sposób przeoczyć. To jedyny materac na podłodze w kuchni. Ten brudny.

Wtedy Necro się uśmiechnęła – po raz pierwszy tego wieczora.

– Przy okazji. Twój przyjaciel chciał, żebym ci coś przekazała.

– Ja nie mam przyjaciół – odparła Ridley.

– Ależ pewnie, że masz. Nie wiem, jak się nazywa, ale przekazał mi jakąś chorą wiadomość dla ciebie. Chyba we wszystkich wyzwalasz coś takiego. Utkwiła mi w głowie jak zły sen. Tak się czasem zdarza. – Necro otoczyła Ridley ramieniem, przyciągając do siebie.

– Zatrzymaj sobie swoje chore sny – syknęła Ridley.

– *Vindicabo* – powiedziała Necro. – Jedno słowo. Cztery sylaby. Czasownik. Zaklęcie zemsty. – Jej kolczyki na wardze szczęknęły o zęby, gdy to mówiła, – Wydaje mi się, że masz przyjaciół w bardzo niskich rewirach, syreno.

*Vindicabo.*

To słowo zawisło w powietrzu między nimi jak groźba. Ridley cofnęła się, zatoczyła na ścianę, odsuwając się od Necro.

– Co to niby za wiadomość? Za co się zemszczę? O czym ty gadasz?

Widziała dość zaklęć *Vindicabo*, by wiedzieć, że stanowią złe wieści dla wszystkich nimi objętych. *Vindicabo* stanowiło pośród zaklęć odpowiednik wścieka: nie znało litości, nie brało jeńców i pozostawiało za sobą rozległy szlak zniszczeń.

Ridley poczuła, że w ustach ma sucho.

– To z mojej strony wszystko. – Necro wzruszyła ramionami. – Przychodzą do mnie w nocy takie rzeczy. Ja tego nie kontroluję. No i nie jestem twoją sekretarką.

– Niezła próba, Świrku. – Ridley przewróciła oczami. Serce jej waliło, ale widziała, że Link przypatruje się jej spod drzwi, zaciekawiony, pozostało jej więc jedynie spróbować zbagatelizować całą tę rozmowę.

*Nic wielkiego. Oby.*

– Nie mów, że cię nie ostrzegałam. Istoty mojego pokroju słyszą takie rzeczy. Oglądaj się za siebie. Coś się na ciebie szykuje. Albo ktoś. Wzrok Necro przeskoczył na Linka.

– Na was oboje.

## ROZDZIAŁ 10

### *Dream of Mirrors*

Ridley uznała to za żart. Ale ta Nimfa czy też Nocna Mara, czy jakaś tam inna zmora nie żartowała. Według Panny Pagody Piercingu, nie dość, że życie Ridley było zagrożone, to jeszcze za sypialnię miała jej służyć kuchnia.

Kuchenna podłoga.

Zdaniem Rid, to drugie stanowiło większy problem. Groźby śmierci były jej nieobce, ale spanie na gołym materacu na brudnym linoleum okazało się czymś nowym. Ridley podejrzewała, że nowe współlokatorki próbują ją ukarać, i jeśli tak było w istocie, stanowiły parę geniuszy sadyzmu. Przez całe swoje życie nigdy i nigdzie nie spała na żadnej podłodze.

Nawet kiedy sam Abraham Ravenwood więził ją w przysłowiowej złotej klatce, za łóżko miała otomanę.

Gwoli ścisłości, nie była nawet pewna, czy kiedykolwiek przedtem przebywała w kuchni. Nie do końca był to jej wybór. W Ravenwood Kuchnia czegoś takiego by nie zniosła.

Kiedy Link wrócił z Rzęcha z jej trzema torbami, wielkim szarym pudłem i swoim starym worem marynarskim, pamiątką po drużynie koszykówki ze Stonewall Jackson, Rid leżała na materacu, całkiem ubrana.

– Nie ma szans, żebym na tym zasnęła – oświadczyła.

Link się roześmiał.

– Materac w kuchni. Na pewno nie chcesz się przespać w Rzęchu?

– A może tak w taksówce w drodze do jakiegoś hotelu na Manhattanie? – Ridley nie żartowała. Ostrzeżenie Necro nią wstrząsnęło.

*Kto miałby rzucić na mnie Vindicabo? Może ta sama osoba, która obserwowała mnie pod apartamentowcem? O ile sobie tego nie uroiłam.*

Ridley zakryła oczy ramieniem, zaciemniając świat wokół niej,

jakby mógł dzięki temu całkiem zniknąć.

*Czy coś z tego jest prawdą, czy jednak ta nekromantka sobie ze mną pogrywa?*

Link wsunął pod nią ramię.

– Daj spokój. Gdzie twój awanturniczy duch, mała?

– Nie nazywaj mnie małą. – Ridley uwolniła się od jego ręki. – I łatwo ci mówić. Nawet nie sypiasz.

– Żeby tak mógł. Ten świrięty dzień był o wiele za długi. –

Link rzucił przed nią torby i pudło z samochodu. Ta kuchnia była zbyt mała, by zmieściło się tu jeszcze coś więcej poza materacem.

Westchnął, waląc się obok niej na materac. Potem przesunął to szare pudło w jej stronę.

– Co to jest, prezent? – Ridley nie znosiła niespodzianek. Zawsze wyobrażała sobie to, co najgorsze.

*Głowę w pudle. Bombę. Zminiaturyzowaną matkę Linka.*

– Chyba powinienem ci powiedzieć – Link był zakłopotany. – Ale przecież nie wiedziałem, że też jedziesz, pamiętasz?

Rid sięgnęła po wieko i strąciła je na bok, ostrożnie, jakby w obawie, że to coś w pudle może ją ugryźć.

Jak się okazało, niewiele przesadziła.

Lucille Ball popatrzyła na nią, zwinięta na starym różowym dywaniku z łazienki, a wyglądała tak, jakby się właśnie obudziła z dwudziestoczworgodzinnej kocie drzemki.

– Kpisz sobie ze mnie? Zabrałeś kota?

Lucille zamiauczała, równie urażona.

– Ciotka Mercy powiedziała, że ona nigdy nie była na Północy. Ciotka Grace uznała, że Lucille Ball lepiej byłoby przekroczyć Linie Masona-Dixona drogą powietrzną. Potem Ethan obiecał, że zapyta, a ja obiecałem, że o tym pomyślę, i zanim się zorientowałem...

– Twój wielki plan zakładał, że uciekniesz do Nowego Jorku, by stać się gwiazdą rocka, mając za towarzyszkę ulubioną kotkę ciotecznych babek twojego najlepszego przyjaciela? – Ridley przeniosła wzrok z Lucille Ball na Linka.

– Pomyślałem, że... wiesz, miło będzie mieć blisko znajomą twarz z rodzinnych stron.

– Twarz kota?

Lucille Ball znów zamiauczała. Link spróbował ją uspokoić, a

Lucille ugryzła go w rękę.

– Ją gryź, nie mnie! To nie ja ciebie nienawidzę. – Link usiłował na powrót przykryć pudło wiekiem, ale Lucille wyskoczyła już na materac.

Chciał ją złapać, lecz wyśliznęła się mu z rąk i zniknęła za uchylonymi drzwiami.

– Mam nadzieję, że okna są pozamykane. Inaczej będę musiał powiedzieć Siostrze, że straciłem Lucille, zanim zdążyła zobaczyć choć Statuę Wolności.

– Nie martw się – westchnęła Ridley. – Nikomu nie dopisze tyle szczęścia, żeby pozbyć się tej kotki.

– Serio? – W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

– Możesz mi wierzyć, próbowałam. – Rid starała się wyglądać na rozeźloną, ale zaczęła chichotać, a potem Link też nie wytrzymał i wkrótce oboje zaśmiewali się niemal do utraty tchu.

Ridley opadła na materac, a Link ułożył się obok niej. Leżeli, patrząc w sufit.

– Chcesz się przytulić, by zatrzymać ciepło? Wiesz, ciepłotę ciała? – Link potarł jej ramię.

– Gorąco mi. – Ridley odsunęła jego rękę. Widok Lucille poprawił jej humor. Ale kotka zniknęła, a wraz z nią dobry nastrój Ridley.

– Poparzenie trzeciego stopnia. Nie sposób zaprzeczyć – przyznał Link, szczerząc się do niej.

– Jest późno. Chcę się trochę przespać. – Wywinęła się z jego ramion.

– Co takiego Necro powiedziała, gdy wychodziliśmy sprawdzić nasz pokój, że byłaś tak roztrzęsiona? – zapytał.

– Nic.

– Mnie możesz powiedzieć.

*Taa, jasne.*

Kilka minut później Link dał za wygraną. Zniknął w sali prób, a Ridley została, wpatrzona w sufit, głowiąc się, czy to właśnie jest prawdziwa kara za tamtą noc w Udręce.

Usłyszała głos Linka, a potem śmiech dziewczyny.

*Blondie. Znów w akcji.*

Chwilę później zaczęło się walenie w gitarę basową, uzupełnione



o perkusję. Niedługo potem rozbrzmiał wiwatujący tłum.

Ridley zakryła głowę poduszką.

– *Li-ink Floyd! Li-ink Floyd! Li-ink Floyd!* – Tego nie dawało się zignorować. Rid przekręciła się na bok.

*Czy ta noc jeszcze może się zmienić na lepsze?*

Nie zadała sobie trudu zdjęcia butów. Chciała być gotowa do wyrwania się stąd na pierwszy sygnał problemów (choć i bez zdejmowania, i po zdjęciu i założeniu wystarczająco tak samo trudno wyrywa się na dwunastocentymetrowych obcasach). Poza tym materac cuchnął starym basenem. Nie było to miejsce, w jakim chciałoby się rozbierać.

Ridley zapadła w krzepiący sen, samotna na twardym materacu, w mieście pełnym gróźb i łgarstw, podczas gdy jej chłopak zadawał się z inną dziewczyną.

Jedynie zielonkawa poświata pierścienia więzi rozjaśniała jej drogę.

\*\*\*

*Słony wiatr przyjemnie dotykał jej twarzy, laskocząc jak pocałunki.*

– *Ta bryza wygania słońce, Reece.*

*Kiedy podniosła wzrok ku słońcu, zobaczyła plamy – i dwa ciemne punkciki na horyzoncie. Przetarła oczy.*

*Nadal tam były, za palmami, całkiem w dole, na piasku.*

– *Patrz. Co to jest? – Ridley usiadła, wciąż jeszcze ssąc dwie kostki cukru, które ukradła z tacki z herbatą dla babci. W ciągu czternastu lat, czyli odkąd wraz z rodzeństwem i Leną odwiedzała babkę, nigdy nie dała się na tym przyłapać.*

– *Chodzi ci o to, kto? – Jej starsza siostra, Reece, poprosiła, by zawiązała jej tył kostiumu kąpielowego ciaśniej niż zazwyczaj. Widziały już bowiem, że te ciemne punkty poruszają się, a ściślej rzecz biorąc, idą.*

*To było dwoje ludzi – dwie ciemne sylwetki, posuwające się wzdłuż akwamarynowej linii brzegowej plaży Bathsheba.*

– *Świetnie. Kto to taki? – Rid zmrużyła oczy. Jeszcze ssła, ale kostki tak zmalowały, że ledwie czuła ich słodycz.*

– *Prawdopodobnie zabłąkani Szlajacy. Czemu sama ich nie*

zapytasz? – Wymyślonym przez siebie słowem Szlajacy babcia określała ciekawskich, którzy zapuszczali się na połacie piasku pod ich domem.

Jeden z czarnych punkcików zmierzał prosto do bajecznie niebieskiej zatoki.

– Jesteśmy o wiele za bardzo na wschód, żeby dało się tu pływać. Prąd ich potopi. Ktoś powinien im to powiedzieć.

– Śmiertelnikom? – Reece wzruszyła ramionami. – Na mnie nie licz.

Mimo iż społeczności śmiertelników i Obdarzonych na tej wyspie od stuleci współistniały bez żadnych zakłóceń, podstawową zasadą było tu raczej pozostawianie innych samym sobie.

Jak ktoś się topił, to się topił.

Que sera, sera.

– W porządku. – Ridley zeskoczyła z wiekowej wiklinowej sofy i weszła na piaszczystą ścieżkę, wijącą się między porastającą brzegi trawą aż do plaży Bathsheba.

– Kapelusze – krzyknęła z werandy nad jej głową Reece, ale Ridley machnęła na to ręką.

Galeryjka, okalająca Ravenwood Abbey, barbadoski dom babci, wyrzeźbiona była w kamieniu i stanowiła wdzięczny kontrast dla surowych przybrzeżnych klifów, nad którymi górowała. Dom strzegł tego skraju wyspy – zatoki i plaży Bathsheba – od XVII wieku. Ravenwood Abbey było starsze od plantacji Ravenwooda; przodkowie Ridley – jak wielu innych – dawno temu zrobili sobie na Barbados postój w drodze ku Karolinom.

Setki lat, a nigdy nic się tu nie działo, pomyślała Ridley.

Tak bardzo dłużył się tu czas.

Chyba, że uwielbiało się ślęczenie godzinami nad drzewami genealogicznymi przodków, mapami konstelacji, zielnikami i katalogami ogrodowymi czy nad dziejami Obdarzonych. I, oczywiście, nad historią Abbey, dzięki czemu Ridley stała się encyklopedią wiedzy o letnim domu babci. Reece, Ridley i Lena studiowały wszystko, poza samymi zakłęciami, tych bowiem nie wolno było im oglądać. Godzin w bibliotece Abbey nie oszczędzono nawet małej Ryan.

– Zupełnie jakby chciała, żebyśmy dzięki nauce o mocach nabrały pewności, że nigdy ich mieć nie będziemy – pożałowała się Rid,

*gdy tylko przybyły tu tego lata.*

*– Nie mów takich rzeczy. Babcia nas kocha. – Reece zmarszczyła brew, wyglądając na zmartwioną.*

*Zazwyczaj zresztą tak wygląda, pomyślała Ridley.*

*– Skąd mam to wiedzieć? Nigdy nie bywa dla mnie miła. Czasami myślę, że mnie nienawidzi. – Dziwnie było wreszcie wypowiedzieć głośno te słowa.*

*– Nie nienawidzi ciebie – odparła Reece, biorąc Ridley w ramiona w siostrzanym uścisku. Takie chwile nieczęsto się zdarzały, Rid więc syciła się nimi, póki trwały. – Wydaje mi się czasem, że babcia troszkę się ciebie boi.*

*– Mnie? Dlaczego mnie?*

*Reece po prostu położyła dłoń na policzku Ridley i zajrzała jej w oczy, jakby mogła tam wyczytać odpowiedzi na wszystkie pytania siostry. – Też chciałabym wiedzieć.*

*Dziś jednak babci nawet tu nie było. Wybrała się z mamą na wschodni kraniec wysp, by obejrzeć jakieś prastare groty, zdaniem babki, mające jakiś związek z przeszłością ich rodu.*

*Czemu ktoś miałby spędzać cały dzień na włóczeniu się po jaskiniach? Ridley nie miała pojęcia. Zbiegając jednak ścieżką w dół, starała się myśleć tylko o słońcu, niebie i kijankach, które zeszłej nocy znalazła w sadzawce blisko domu.*

*Lato powinno być zabawą.*

*Wszystko inne można było w takich chwilach zignorować.*

*Zamierzała uratować Szlajaków i opowiedzieć o tym babci przy kolacji. I wujkowi Maconowi też. Pomyślała, jaka była dzielna i dobra. Powiedzą Reece i Ryanowi, żeby bardziej brali z niej przykład, a potem dadzą Ridley dodatkową porcję deseru. Wszystko to już sobie przemyślała.*

*– Wy tam! Szlajacy! Wychodźcie z wody!*

*Świński blondynek podniósł się na równe nogi. Wyszedł z pieniających się fal, prosto w jej stronę. Dziewczynka, wyglądająca na młodszą od niego, o ciemniejszych włosach, siedziała na piasku, tuż nad wodą.*

*– Jak mnie nazwałaś? – W oczach chłopca pojawił się błysk.*

*Ridley pociągnęła nosem.*

*– Te wody są niebezpieczne, Jeżeli utoniecie, moja babcia będzie*

*musiała wezwać policję. A ona nienawidzi policji.*

*– Nie zamierzam się topić. – Ten jasnowłosy chłopak o ciemnych oczach się uśmiechnął. Nie mógł być o wiele starszy od niej. Było opalony i wysoki, ale nie za bardzo. I nie taki stary.*

*Po prostu chłopak.*

*– Nie powinno was tutaj być. To prywatna posiadłość – powiedziała.*

*– Plaża i ocean są niczyje. – Skrzyżował ręce na piersi.*

*– Co tu robicie?*

*– Jestem tu z siostrą – wyjaśnił. – Nudzimy się.*

*– Znam to uczucie.*

*– Tkwimy tu, bo mój dziadek wyjechał na cały dzień.*

*Ridley pokiwała głową.*

*– U mnie to samo. To znaczy, babcia.*

*– Łazi po jakichś durnych grotach.*

*– Moja babcia też – powiedziała Ridley, czując się w środku jakoś dziwnie.*

*Miała ochotę uciec. Miała ochotę pobiec tak szybko, jak tylko potrafiła, aż na koniec ścieżki, potem po schodach, do hallu i wreszcie do swojego pokoju. Miała ochotę ukryć się pod łóżkiem – tylko nie wiedziała, przed czym.*

*Pocałuj mnie, pomyślała. Oto, czego chcę.*

*Chcę, żeby on mnie pocałował.*

*Mojego pierwszego pocałunku.*

*I chcę być tutaj, na plaży, z tym ciemnookim chłopcem.*

*Oczy jej się rozszerzyły. Chłopak się uśmiechnął, zęby miał ostre i białe, oczy zaś ciemne i okrągłe. Nachylił się do niej.*

*Jej życzenie miało się spełnić.*

*I wtedy szepnął, tak cicho, że przez wiatr znad oceanu niemal go nie usłyszała:*

*– Chcesz, żebym cię pocałował, prawda?*

*– Nie – odpowiedziała. Ale to było kłamstwo.*

*– Wiesz, czemu chcesz, żebym cię pocałował? – spytał.*

*Nie odpowiedziała.*

*– Bo ja tego chciałem.*

*Potem odchylił głowę i zaczął się śmiać. Ridley zebralo się na płacz.*

– *Nigdy więcej nie bierz mnie za śmiertelnika – powiedział. – Nie jestem twoim Szlajakiem, czy jak tam ich nazywasz. Jestem jednym z najpotężniejszych Obdarzonych na tym świecie.*

– *Chciałbyś – odparła Ridley, której nagle przybyło śmiałości. – Jesteś tylko głupim chłopakiem z rodu Obdarzonych. A moja babcia jest tysiąc razy potężniejsza od ciebie.*

*Zbliżył się do niej, o jeden krok na tym piasku.*

– *Tak? Udowodnij.*

*Ten pojedynek był nie mniej ożywczy niż pocałunek.*

*Niż mógłby być pocałunek, upomniała się w myślach.*

*Zamknęła oczy.*

*Pocałuj mnie.*

*Chcę, żebyś chciał mnie pocałować.*

*On zaś, jakby to usłyszał, podsunął bliżej swą twarz, o oczach tak szeroko otwartych, jakby jeszcze w to nie wierzył.*

*Czuła, jak jej moce go rozluźniają i ogarniają. Nigdy przedtem ich nie używała, nie w ten sposób. Nigdy tak świadomie wobec drugiego człowieka, a zwłaszcza nie wobec innego Obdarzonego.*

*Podobało jej się, jak się dzięki nim czuła – silna, niezależna, niezwyciężona.*

*Przysuwał usta do jej ust... coraz to bliżej.*

*Oczy miał teraz zamknięte.*

– *To dla ciebie – szepnęła równie cicho i chrapliwie, jak on dłuższą chwilę wcześniej. – Żebyś nigdy nie zapomniał. Nazywam się Ridley Duchannes, i nikt mi nie mówi, co mam robić. Jeśli zechcę, żebyś mnie pocałował, uwierz mi, zapragniesz mnie pocałować.*

*Chłopakowi odebrało mowę.*

– *Tego właśnie chcesz?*

*Przytaknął.*

– *Najbardziej w świecie?*

*Znowu potwierdził.*

– *To dobrze.*

*I wtedy trzasnęła go w twarz najmocniej, jak potrafiła, odwróciła się i pobiegnęła aż na koniec ścieżki.*

*\*\*\**

Ridley usiadła na materacu, mając wrażenie, że przypomniało jej się coś ważnego. I właśnie wtedy, gdy usłyszała Linka, grającego w sali

prób *Chłopaka z mięsnego*, uświadomiła sobie, gdzie się znajduje – i dlaczego.

Tłum już zniknął, podobnie jak Floyd. Rid słyszała jedynie Linka.

– *Paszteciku, Paszteciku, ty nie toniesz już w tłuszczuku, za to masz coś z rozbójników, mój (z mięsnego) Paszteciku.*

Ridley znów wyciągnęła się na materacu i wpatrywała w spękania na suficie, aż skończył się repertuar, a słońce wstało. Pod każdym względem była to najdłuższa noc w jej życiu.

Wprowadzi Linka do tej kapeli Obdarzonych, a potem go z niej wyciągnie. *Z Szampana Diabła. Albo jakoś podobnie.* Nie zamierzała dopuścić, by marnował sobie życie dla niej czy dla kogoś innego. I jak diabli była też pewna, że nie pozwoli, by i jej życie się zmarnowało przez jakiś głupi hazardowy dług.

Ani przez wariackie poczucie, że jest obserwowana. Ani przez jeszcze bardziej zwariowaną myśl, że zaklęciem *Vindicabo* zagraża jej jakiś nekromanta z utajonych światów.

Ani, co byłoby największym wariactwem, przez pomysł jakiegoś rockmenki imieniem Floyd, że może odbić jej chłopaka.

*Link Floyd? Niedoczekanie.*

Dlatego, że nazywa się Ridley Duchannes i nikt nie będzie jej mówił, co ma robić.

*Nikt.*

## **ROZDZIAŁ 11**

### ***Read Between the Lies***

Rankiem Ridley opuściła apartament 2D i gdy zeszła na dół, znalazła Linka siedzącego samotnie w jednym z boksów w Marilyn's Diner i rozmawiającego przez telefon komórkowy.

#### *Interesujące.*

Stała przed nim filiżanka zimnej, nietkniętej kawy. Miał na sobie T-shirt z Mario Bros, co mogło oznaczać tylko jedno: Linkowi doskwierała nostalgia i nastrój sentymentalny. Dla Ridley to zazwyczaj oznaczało kłopoty, sama bowiem do takich uczuć nigdy się nie przyznawała.

Ruszyła czujnie w kierunku Linka. Na górze włożyła ulubione kabaretki, zamszowe butki z odkrytymi palcami, minikilt zapinany na klamry i swój najstarszy czarny T-shirt. Wyłącznie najbardziej zaufane elementy swobodnego stroju – ale jakoś tego ranka nie działały.

Ridley nie rozumiała, czemu czuje się tak niepewnie. Nic wokół niej nie odbiegało od stanu normalnego. Nad długą ladą na środku sali obracały się wentylatory. Na ścianie wisiał wyblakły certyfikat Wydziału Zdrowia Miasta Nowy Jork, a tuż obok niego przeterminowany kalendarz z Marilyn Monroe, patronką tej dinery. Nie syreną, o ile było Ridley wiadomo, ale na pewno na to zasługującą. Przykurzone szklane witryny, piętrzące się za ladą, oferowały lepiące się pączki, z lukrem zabarwionym starą kolorową posypką. Leciwe kawałki ciasta, owinięte w folię, opierały się o przerośnięte czekoladowe muffinki lub o pudełka płatków śniadaniowych z cukrem, ewentualnie o dzbanuszki wprost ociekające syropem klonowym – słowem, przynęta dla syren. Czują to w powietrzu.

A jednak dla Rid nie ulegało wątpliwości, że była w tym lokalu jedyną syreną. Przy bufecie, na krytych winylem stołkach, tłoczyli się studenci z kolczykami w nosach i tatuowani pseudoartyści, ale można też było zobaczyć zestresowanych gogusiów z biur, w marynarkach i butach do biegania – jak się zdawało, byli to przeważnie śmiertelnicy. Gdy koło nich przechodziła, unikali jej wzroku, jakby wiedzieli coś, o

czym ona nie wie. Albo jakby było w niej coś, czego nie chcieli się dowiedzieć.

Albo bali się tej wiedzy.

*Dziwne.*

Czuła znajomy chłód – ten znad tamtego krawężnika, związany też z zaklęciem *Vindicabo*. I z jej snami. Usiłowała się z niego otrząsnąć. Nowy Jork i tak był wystarczająco skomplikowany – ciągle rozpamiętywanie jej sytuacji nie było luksusem, na który mogła sobie pozwolić.

*Czy nie ma tu niczego, z czym nie mogłabym sobie poradzić?*

Wolała jednak nie zastanawiać się nad odpowiedzią na pytanie, które sama zadała.

Poza tym znalazłoby się kilka swojskich twarzy. Po bliższej inspekcji Ridley wypatrzyła inkuba krwi, siekającego w kuchni surowe mięso, Istotę Ciemności, zgarbioną nad menu ze *Słodkimi Specjalami Marilyn*, a także kogoś, kto wydawał się wiekową syreną, barmankę, szykującą na ladzie kawę. Tak mieszany tłum zdarzał się w świecie Obdarzonych stosunkowo rzadko, Ridley nie bardzo wiedziała więc, co o tym myśleć.

Odkąd tu przybyła, nasunęło się jej zresztą więcej rzeczy, o których nie wiedziała, co myśleć.

– Co na to powiesz? Ten lokal pęka w szwach – powiedziała, zajmując miejsce w boksie, naprzeciwko Linka.

Nadal rozmawiał przez telefon, ale podniósł rękę.

– Zaczekaj. Do stołówki właśnie wszedł mój współlokator.

Uniosła brew.

*Mama Linka.*

Spojrzał na nią błagalnie. Odczytała sygnał.

*Nie schrzań mi tego.*

– Muszę już iść, albo spóźnię się na śniadanie dla Prawych Pierwszoroczników. – Skinął głową, – Wiem. – Znów skinął. – Jasna sprawa. – I jeszcze raz. – Tak, pszepani. – I znowu. – Tak. Tak. Tak. Nitką dentystryczną też.

Ridley podniosła pojemnik ze sztućcami i zatrzęsa nim przed nosem Linka, szcęk więc był okropny. Wbrew swoim zakazom, zaczął się śmiać.

– Ups, przestaję cię słyszeć. Chyba orkiestra zaczęła próby czy



coś. Zadzwoń w przyszłym tygodniu... Nie słyszę... – Rozłączył się, wzdychając.

Uśmiechnęła się.

– Jak tam moja ulubiona mama?

Cisnął telefon na stół.

– Mniejsza o to, dopóki nie wsiądzie w samochód i nie wybierze się do Georgia College pod wezwaniem Odkupiciela, by sprawdzić, czy zmieniam bieliznę.

– Zmieniłeś?

– Co takiego? Może sprawdzisz? – Uśmiechnął się do niej.

Ulubionym uśmiechem Rid. Tym, który głosił: *Poparzenie trzeciego stopnia, mała. Taka jesteś gorąca*. Po ostatniej nocy miała nadzieję, że znaczył to samo, co przedtem. A nie: *Czuję się winny, bo zabijałem się w takiej jednej rockmencie*.

Tak czy inaczej, odpowiedziała uśmiechem, tym Linka ulubionym. Głoszącym: *Wiem, szalona pałko. To ja trzymam zapalki.*

*Poigraj z ogniem.*

*Z moim ogniem.*

W chwili gdy sięgnęła po jego rękę, Link odsunął od siebie filiżankę z kawą.

– Coś sobie przemyślałem.

*O-ho.*

Cofnęła rękę. Kontynuował:

– Rzecz w tym, Rid, że masz rację. Od początku miałaś rację. Myślałem nad tym w nocy, pracując w sali prób nad nowymi tekstami.

– Coś słyszałam. Wygląda na to, że zaczynasz się dogadywać z dziewczynami z kapeli. A przynajmniej z połową z nich. – Ridley zmusiła się do uśmiechu.

– Może i tak – odpowiedział. Nie dał się wciągnąć.

Ridley odnotowała w myślach, że czas zmienić kolor pasemek we włosach z różowego na jakiś inny. *Na jakikolwiek, byle nie kojarzył mi się z Pink Floyd.*

Noga Linka, pod stołem, zaczęła podrygiwać.

– Czemu wczoraj tak się na ciebie wściekłem? Przyjechałem do Nowego Jorku grać swoją muzykę, a ty z miejsca dałaś mi na to szansę.

– Dałam? Dałam. – Starła się ukryć zaskoczenie. *Zgadza się? Dałaś. Widzisz? Nie jesteś taka okropna.*

- Zrobiłaś to na swój pokręcony sposób.
- Pokręcony? – Udała, że nie rozumiała.

Link to zignorował.

– I wyszło na dobre. Teraz jednak musimy ustalić kilka podstawowych zasad – oznajmił.

*Hmm... Do-obra.*

- Wiesz, że trzymanie się zasad kiepsko mi wychodzi.
- Wiem. I dlatego musimy sobie wszystko wyłożyć otwarcie. –

Link był wyjątkowo poważny. – W naszym przypadku tylko to zadziała. Tylko wtedy sobie poradzę. Jeśli nie możemy zrobić tego jak należy, nawet nie chcę w to wchodzić. Już nie.

*Już nie? Lepiej niech się bierze do roboty. Tak jak obiecałam.*

Ridley nie potrafiła sobie przypomnieć, by przy którymś z ich licznych zerwań Link wykazał się takim rozsądkiem. To mogło przerazić.

Nie tak ze sobą rozmawiali. Obrzucali siebie, czym popadło. Obelgami, drwinami, czasem nawet pilotami do telewizora. Wszczynali wojny i się godzili, znów wszczynali i znów się godzili. Nie ustalali żadnych podstawowych zasad. Nie dopuszczali do głosu uczuć. Nie wykładali sobie nic otwarcie.

Ridley opuściła wzrok na czerwony, nakrapiany blat stołu.

- Skoro to mówisz, wygląda na to, że dorosłeś.

Na twarzy Linka pojawił się cień smutku.

- Może powinniśmy już dorosnąć, Rid.

- A podstawowe zasady?

- Tak. – Link klepnął w blat. – Po pierwsze, żadnej magii.

Żadnych syrenich sztuczek.

Poczuła się tak, jakby ją spoliczkował.

– Coś ty powiedział? – Nikt jeszcze nie śmiał wyjść do niej z czymś takim. *Żadnych syrenich sztuczek? Czemu nie powiedział po prostu: Żadnych twoich sztuczek, Ridley?*

Na jedno by wyszło.

Ridley nabrała tchu.

– Czekaj – powiedział Link, łapiąc ją za rękę, zanim zdążyła przypuścić atak.

– To tylko dlatego, że nie chcę, żebyś starała się wszystkich zauroczyć lub sięgała po swoje lizaczki, by mieć pewność, że mnie

pokochają. Bo wtedy nie będą kochać mnie ani mojej muzyki. Będą kochać ciebie.

– Nie widzę różnicy – skłamała Rid, głosem wciąż jeszcze lodowatym. To był problem z tej samej kategorii, co kwestia jajka i kury lub drzewa w lesie. Szkoła Syren, pytanie 101: *Jeśli syrena zauroczy śmiertelnika, żeby kogoś zastrzelił, któremu z nich należy przypisać ten strzał?* To, że Ridley nie miała ochoty omawiać mocy przekonywania w knajpce, z Obdarzonym mającym tunele w uszach i rockową bródkę pod dolną wargą, nie oznaczało jeszcze, że tego nie łapie.

Link jeszcze nie skończył.

– Po drugie, koniec z kłamstwami. Po prostu mów mi prawdę. Chcesz, żebym się spotkał z kapelą, powiedz. Chcesz jechać ze mną do Nowego Jorku, to samo. Nie ma czegoś takiego, czego nie mogłabyś mi powiedzieć, Rid. Nie ma.

Ridley uniosła brew.

Dostatecznie długo działała jako syrena, by wiedzieć, że te słowa w każdym związku są największym urojeniem. Tu nawet nie było o czym mówić.

Zawsze, ale to zawsze, czegoś nie można powiedzieć drugiemu człowiekowi.

Wystarczyło spojrzeć na Linka, który mógł sobie darować ten *Koniec z kłamstwami* i oszczędzić im zerwania. Niczego się jeszcze nie nauczył?

Gdy w grę wchodziły związki międzyludzkie, prawda nigdy nie niosła wyzwolenia. Mogła jedynie wszystko zaognić.

Uważając inaczej albo siebie zwodzisz, albo stanowisz ciężki przypadek głupoty. Ridley ani jedno, ani drugie nie dotyczyło i choć bardzo by chciała uwierzyć w te słowa, mogła przytaknąć jedynie dlatego, że Link w nie wierzył.

I już to przytaknięcie było kłamstwem.

– Zgoda? – Wyciągnął do niej rękę, z uśmiechem. – Żadnych syrenich sztuczek? Żadnych więcej tajemnic i koniec z kłamstwami? Tylko ty i ja, i może jeszcze Lucille Ball, a może nie? Spróbujemy dopiąć swego w tym wielkim mieście jak para zwykłych ludzi.

*Zwykli ludzie? My? Naprawdę to powiedział?*

Popatrzyła na niego, odpowiadając swoim uśmiechem.

– Dobrze. Para zwykłych ludzi. Czyli my.

Co on sobie wyobraża? *Mam wstąpić do Cór Amerykańskiej Rewolucji i nauczyć się piec babeczki? On dostanie robotę przy dystrybutorze na stacji BP?*

*Nie wie, co mówi.*

– Rid? Szczerze mówisz? Powiedz prawdę. – Link chyba jej nie dowierzał.

Niemal wiała się na tym winylowym krzeselku.

– Słowo.

Po raz tysięczny zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że są razem. Nie mogła jednak zignorować tego, co powiedział. Link chciał od ich związku czegoś więcej – i w jakiś sposób to *więcej* przekładał na rzeczywiste i trwałe.

Jakby potrzebował Leny, a nie Ridley. Kogoś uczciwego i poczciwego, a nie zwodniczego i samolubnego. Dziewczyny, która ściany swojej sypialni zapisuje poezją. Nie syreny, samotnie siedzącej na krawężniku,

*Nienawidzę mojego życia, pomyślała Ridley. Nienawidzę siebie. Chciałabym i jego znieńawidzić.*

To ogromnie by wszystko ułatwiło.

Ridley złapała za menu, desperacko pragnąc nagle czegoś słodkiego.

– Pora na trochę cukru. Cukru. I nie mam tu na myśli *Mega Monty Christo Marilyn*.

– Taką cię lubię – Link szeroko się uśmiechnął.

Przystępując do składania zamówienia, Ridley zastanawiała się jeszcze, czy Link zauważył, że nie podała mu ręki.

\*\*\*

*Zwykli ludzie? Takimi chce nas widzieć?*

Śniadanie pojawiło się i znikło, a Ridley wciąż nie mogła uwolnić się od tej myśli. Wycofała się na krawężnik naprzeciw dinery.

I oto znów tu jestem.

Link poszedł na górę ćwiczyć, jej zaś potrzebne było przemyślenie kilku spraw.

*Powinnam dać sobie spokój.*

Gdy Wesley Lincoln wszedł w rolę faceta, udzielającego porad na

temat związków międzyludzkich, zrobiło się dennie. Równie dobrze można było oczekiwać, że pani Lincoln zacznie namawiać Ridley do pokazania odrobiny ciała. Według syrenich standardów, Ridley osiągnęła dno.

*Zwykli ludzie.*

*Syreny nie są zwykłymi ludźmi.*

*Zwykli ludzie nie posługują się magią.*

Trzeba było się z tym pogodzić. Ich związek nie miał szans.

Nie spodziewała się, że słowa płynące z ust Linka tak ją poruszą. Jak mogłaby przypuszczać? Ogólnie rzecz biorąc, z jego ust płynęło niewiele słów świadczących o inteligencji.

Przesunęła palcem po spękany skraju krawężnika. Przypomniał jej spękany kamienny podjazd, wiodący do drzwi frontowych jej domu – tych, które mama zatrzasnęła jej tuż przed nosem, rankiem po jej naznaczeniu.

Przypomniała sobie potykanie się na kamiennych stopniach, łomotanie w stare drewniane drzwi, obłazące z farby. Nadal czuła, jak pęta ją ubranie, wilgotne od potu i strachu, gdy stoi zdyszana na werandzie.

*Ridley, musisz odejść. Tu już nie możesz wrócić. Już nigdy.*

Zamknęła oczy, przypominając sobie tamten krzyk i zawrodozenie, jakby wydawał je ktoś inny. Ktoś drobny, kruchy i osamotniony.

Ktoś, kto nadal potrzebował matki i rodziny, pomimo tego, co powiedział im księżyc.

*Zostałaś naznaczona, dziecko. Twoją rodziną jest teraz Ciemność.*

Lśniące czerwone paznokcie Ridley wbiły się miękko wnętrza jej dłoni. Ból sprowadził ją z powrotem.

Zbudź się. To nie ty. To nie dzieje się teraz.

*Nie jesteś tamtą dziewczyną. Nie jesteś tylko tamtą dziewczyną.*

Ridley przyjrzała się ulicy przed sobą. Nawet stąd widziała plik biletów parkingowych za wycieraczką Rzęcha i metalową blokadę, zatrzaśniętą na kole.

To nie było Gatlin. Tu zachodziły zmiany.

Bo zmiany mogą zachodzić.

Ridley nie mogła obiecać, że nie będzie się posługiwać magią. Nie była przecież cudotwórczynią. A na głodzie nie da się żyć.

Co do reszty, mogła przynajmniej spróbować.

Dla Linka.

Coś takiego Lena na pewno zrobiłaby dla Ethana, a skoro Link potrzebował takiej Leny, to Ridley mogła zaryzykować.

Jak zwyczajna dziewczyna dla swojego chłopaka.

Zbyt wiele jednak nie wiedziała jeszcze o tym, co całymi dniami robią zwykli ludzie.

*Pracują?* Ta odpowiedź wydawała się najbardziej oczywista. Czyżby oczekiwał od niej, że znajdzie sobie pracę? Będzie zarabiać pieniądze jak śmiertelnicy?

*Nauczyć się tych wszystkich zasad? Stać w kolejkach? Czekać na swoją kolej, jak wszyscy inni, dzień w dzień?*

*Udawać miłą?*

To ostatnie strach było sobie nawet wyobrazić.

I tylko to zaprzętało jej myśli przez resztę tego dnia.

Kiedy jednak Ridley już zasnęła, jej koszmarne sny w niczym nie przypominały tych zwyczajnych. Pełne były katastrof, pożarów i wybuchów, złotookich Obdarzonych śledzących ją z cienia, strasznych sylwetek, odzianych w mrok i strach.

Gdzie okiem sięgnąć, widziała krew. Magię i krew.

Swoją i Linka.

Im dłużej się rzucała i przewracała z boku na bok, desperacko broniąc się przed ponownym zaśnięciem, tym mniejszym złem zaczynało się jej wydawać to zwyczajne życie.

Wreszcie się poddała, gdy siedziała na tym pasiastym materacu, ciasno obejmując kolana, wpatrzona w splekaną ścianę. *Możliwe, że to był znak.*

\*\*\*

Następnego dnia Ridley Duchannes podjęła decyzję. Była gotowa stawić czoło zwyczajnemu światu. A przynajmniej, myślała, że jest.

Była gotowa podjąć tę próbę.

– Potrzebuję pracy – powiedziała głośno, testując siłę tych słów. *Możliwe, że zabrzmiałyby wiarygodniej, gdyby wypowiadając je, nie wylegiwała się na plaży.*

*To nie moja wina, że podłogą w tym pokoju jest plaża, pomyślała, zirytowana. Zresztą, i tak tylko podróbka.*

Necro wybuchnęła śmiechem i usiadła na piasku, obok niej, rozlewając swoją kawę tak, że o mało nie oblała suto zdobionego zamkami błyskawicznymi kombinezonu z połyskliwej, czerwonej skóry – tego, w którym Ridley wyglądała jak zrobotyzowana zabójczyni-ninja z lat 80. Stroju, który oznaczał Przejście do Rzeczy, do czego Ridley najwyraźniej zamierzała teraz przystąpić. Mimo iż fale na horyzoncie przed nią wyglądały naprawdę cudnie.

Necro odstawiła papierowy kubek, wciąż uśmiechnięta.

– Co w tym śmiesznego? – Ridley wyglądała na urażoną i tym razem nie musiała tego pozorować. – Śmiertelnicy chodzą do pracy. Pracują. Wstają rano, wsiadają do tych swoich małych pociągów i jadą do miejsc pełnych telefonów, roślin doniczkowych i...

– Wind? – podpowiedziała niewinnie Necro. Wyciągnęła jabłko i pstryknięciem wysunęła ostrze sprężynowca. Fachowo gnąc rękę w przegubie, zabrała się do obierania, uśmiechając się pod nosem.

Ridley trochę się zdenerwowała. Dzień wcześniej miała do czynienia z Necro o wyglądzie bezdomnej punkówki, w kurtce zszytej ze starych próbek dywanów i czarnych martensach za kostkę, skora przekazywać innym groźby od bezimiennych ludzi lub innych istot nie z tego świata. Nie z Necro roześmianą, ironiczną. To z miejsca wzbudziło podejrzenia Ridley. Ale przynajmniej wiedziałyby, na czym stoi, gdyby dziewczyna znów zaczęła jej grozić.

– I wind. Pewnie. Nieważne. Czemu nie miałabym się za to wziąć? – Ridley wzruszyła ramionami. – Na pewno dałabym radę.

– Jeździć windą? – Necro dotknęła palcem kólecze w swoim nosie, powstrzymując śmiech. – Ależ jesteś uzdolniona.

– To taka praca? – upewniła się Ridley. Kopnęła piasek. Rozprysnął się, przechodząc w balsamiczną bryzę, która owiała całą izbę.

– Właściwie to nie. Ale, babo, ty jesteś syreną. To nie dla ciebie.

– Bycie babą też nie. – Ridley się skrzywiła. – Syreny parały się pracą. Niektóre to prawdziwe profesjonalistki.

Necro uniosła brwi.

– Nie tego typu pracą – oburzyła się Ridley.

– W klubie pewnie coś się znajdzie. Mogłabyś spytać Noxa.

– Nie – oświadczyła natychmiast Ridley. – Nie w klubie. – Z tym zachwyconym sobą paniczkiem nie zamierzała mieć do czynienia

więcej, niż będzie to konieczne.

– Hej, praca jak praca. Sama wyszłaś z tym, że jej szukasz – powiedziała Necro. Przecięła nożem jabłko do połowy.

– Nie aż tak bardzo – zaprzeczyła Ridley. – Poza tym praca dla Obdarzonych mnie nie interesuje. Chcę takiej, jaką mają śmiertelnicy.

Teraz Necro naprawdę się roześmiała, jakby Ridley palnęła coś zabawnego. Zastanowiła się, o co mogło chodzić, na niczym jednak się nie przyłapała.

– Raz jeszcze, co w tym śmiesznego?

Necro usiłowała zachować powagę.

– Co takiego mogłabyś robić w świecie śmiertelników? I czemu w ogóle chcesz czegoś takiego? Śmiertelnicy są...

– Wiem. – W tym jednym się zgadzały. Ridley westchnęła. – Ale nigdy nic do końca nie wiadomo. Może to się kiedyś przyda. Jeśli tu wszystko dalej będzie po staremu.

– Na przykład długi karciane? – Necro wycięła ćwiartkę jabłka. Ridley zignorowała tę aluzję.

– Poza tym chcę pokazać Linkowi, że mogę się obejść bez mocy przekonywania. Dlatego, że on jest po części śmiertelnikiem. I dlatego, że tylko tak sobie radzę, jego zdaniem. A jestem więcej niż syreną. Jestem też...

Necro aż się nachyliła. To ją zainteresowało.

– Tak?

Niestety, Ridley nie potrafiła dokończyć tego zdania. Przede wszystkim, gdyby umiała, do tej rozmowy w ogóle by nie doszło. Bo nie była zwyczajnym człowiekiem. Niczym nie była zwyczajnym. I nie była pewna, czym jeszcze jest, skoro nie tylko syreną.

Poddała się.

– Dość tego przesłuchiwania.

Necro zatrzasnęła sprężynowiec.

– Tego właśnie się spodziewałam.

Ridley zacisnęła pięści. Pokaże tej Necro. Sama znajdzie sobie miejsce w świecie śmiertelników. Potrafi być zwyczajna. Stać ją było na więcej, niż przyszłoby do głowy którejkolwiek z tych idiotek.

Nawet gdyby wliczyć w szeregi idiotek również samą Ridley.



## ROZDZIAŁ 12

### *Hell on High Heels*

Hej tam, szalona pałko.

Ridley szafowała tym określeniem dość swobodnie, i tym razem zwracała się nim nie do Linka, pracowicie ćwiczącego teraz w apartamencie wymarzone solówki na perkusji.

Kierowała je do Wojowniczego Nerda Nicka.

Jeśli wierzyć jego identyfikatorowi.

Dwie godziny zajęło jej odszukanie na Brooklynie najbliższego Świata Nerdów, zarekomendowanego jej przez Necro jako miejsce, gdzie szybko i za darmo znajdą jej pracę. Ten zaś Wojowniczy Nerd, bo tak najwidoczniej należało określać mieszkańców tego świata, wyglądał bardziej na nerda, niż na wojownika.

– Do mnie mówisz? – Wojowniczy Nerd Nick trochę się zakrztusił, ogarniając wzrokiem czerwony skórzany kombinezon Ridley. Dokładnie mu się przyjrzał. Ridley uśmiechnęła się, usatysfakcjonowana. Punkt dla zrobotyzowanych zabójczyń-ninja.

Gdzieś w Gatlin Córy Amerykańskiej Rewolucji przewracały się w swych przyszłych, pokrytych plastikowymi kwiatami grobach.

Ridley czubkiem długiego czerwonego paznokcia wskazała pierś Wojowniczego Nerda Nicka.

– Chcę, żebyś mi pokazał, jak się to coś obsługuje.

– Które coś? – Przytkąło go. Chyba jednak sobie przypomniał, że stoi nad długim stołem, zavalonym najnowszymi i najwspanialszymi gadżetami Świata Nerdów. – Chodzi ci o tablet?

Ridley skinęła głową.

– Tak. O to kwadratowe maleństwo.

– Szczerze mówiąc, jest raczej prostokątne. – Nick podsunął swoje okulary bliżej oczu.

– Żartujesz sobie? – Mrugnęła do niego. – Skarbie, jeśli ja powiem, że okrągłe, jest okrągłe. Łapiesz?

– Co... co takiego mam zaoferować? Siedmiocalowy? Dziewięciocalowy? Powiększenie pamięci? A może szukasz tutaj...

Ridley westchnęła.

– Myślę, że chodzi mi raczej o pracę.

– O zdalną pracę? – Wyglądał na zbitego z tropu. – Przez ten tablet połączysz się bezprzewodowo z prawie...

– Nick. – Ridley potrząsnęła głową, napierając na stół tak, że całkiem na nim usiadła, machnąwszy nogami. – Mówię o pracy w pracy.

– Tutaj? – Znów go przytknęło.

– Nie, nie tutaj. No, może. Czym się tu zajmujesz?

– Naprawiam komputery, tablety, smartfony i...

– I wszystkie inne tutaj, kwadratowe urzędzonka?

– Prostokątne. – Ledwie wymówił to słowo, zgromiła go wzrokiem tak, że spuścił głowę, zawstydzony. – Tak.

– Nie. To okropna praca.

– No, właściwie...

– Jak dla mnie – wyjaśniła Ridley.

Nickowi chyba ulżyło.

– Nie dla każdego się nadaje.

Ridley zastanowiła się.

– Potrzebuję czegoś z odrobiną szyku, z odrobiną stylu. Czegoś wyjątkowego. Czegoś, do czego tylko ja się nadam. Czegoś, co sprawi, że każdego na mój widok przepelni...

– Duma?

Ridley przyjrzała się Nickowi, jakby był niespełna rozumu.

– Nienawiść. Z wścieklej, bezsilnej zazdrości.

Nick wytrzeszczył oczy.

– Nadal do mnie mówisz?

Uśmiechnęła się, bawiąc się jego niewiarygodnie krótkimi i nierówno przyciętymi włosami. *Za taką fryzurę nic się nie powinno należeć.* Niewiele pozostało do potarmoszenia. Co tam. Nie z takimi miewała do czynienia.

– A może byś tak odpalił ten swój kwa.. prostokącik i znalazł mi to, czego szukam, bystrzacho.

Nie musiała nawet odwiać lizaka, a już miał w wyszukiwarce:  
PRACA WYJĄTKOWA SZYK STYL NOWY JORK.

Oprócz mocy przekonywania, istniała też zwykła perswazja. Niekiedy nawet większą satysfakcję sprawiała Ridley świadomość, że

jej potęga wcale nie wymaga magii.

Wystarczała czerwona skóra.

Dobrze było znów się odnaleźć w tej grze.

\*\*\*

Wojowniczy Nerd Nick do końca pozostał wiernym żołnierzem Ridley, teraz zaś na nią przysła kolej skorzystania z jego dzielnego guglania.

*Mimo iż to słowo stworzono jakby na siłę.*

– Nie musisz tego robić – powiedziała Necro. Nawet do głowy by jej nie przyszło, by wejść do tego przybytku, przed którym teraz stały.

– Ależ muszę. – Ridley wzięła głęboki wdech. – I dam radę.

Necro okazała się tak miła, że odprowadziła ją do pracy, mówiąc: „Muszę to na własne oczy zobaczyć”. Obie wpatrywały się teraz w szyld nad drzwiami. Dzień przedtem wydawało się, że ta sprawa ma sens. To jednak było trzy wywiady telefoniczne, jedną bezsenna noc, dwa kawałki ciasta – jeden truskawkowo-rabarbarowy, drugi z trzema rodzajami jagód – i dziesięć przymiarek odpowiednich kreacji temu.

Dzisiaj Rid nie była już tego taka pewna.

Najwyraźniej żeby otrzymać pracę, trzeba było mieć wcześniej inne prace. Rozpoznanie, jak mówić to, co ludzie najbardziej chcą usłyszeć, co zwykle było przeciw jej specjalnością, tym razem wymagało aż kilku rozmów telefonicznych. Nie zaliczała tego do kategorii kłamstw, w każdym razie nie do końca. Widziała w tym bardziej rozwiązywanie szarad. Żeby dostać pracę, należało udawać osobę, która takie prace dostaje. Jaka miałaby więc być ta pracowo-posadowo-windowa osoba?

Ridley zgłębiła to metodą prób i błędów. Odkryła, że gdy ludzie proszą, byś się określiła jednym słowem, nie mówi się DOSKONAŁA. Ani też GORAÇA. Po tych dwóch wpadkach Rid postawiła na PRZEKONUJĄCĄ. Choć nikogo tym chyba nie przekonała, ale przynajmniej to określenie nie kończyło rozmowy.

*Lekcja zaliczona.*

Nauczyła się też szukać pracy. Syreny z czymś takim radziłyby sobie nawet we śnie, na dzień dobry. O mały włos nie zatrudniła się jako UTALENTOWANY TECHNIK KOSMETYCZNY, okazało się jednak, że to robota przy nakładaniu makijażu nieboszczykom w

podupadającym zakładzie pogrzebowym na Bronksie, a Ridley miała w swym życiu zdecydowanie dość bliższych kontaktów z zaświatami.

Podeksytowało Rid ogłoszenie o SPRZEDAŻY DETALICZNEJ MODY WYKWINTNEJ – dopóki nie wyszło na to, że dała je WYKWINTNA MODA KOTECZKI CONNIE. Może Lucille Ball by to odpowiadało, Ridley jednak mierzyła nawet sama myśl o projektowaniu mody dla kotów. Właścicielka zasugerowała Ridley, żeby do nich zajrzała i dała się Koteczce Connie „obwąchać, polizać i tak dać się pokochać, że sama się też nią zachwyci”. Ridley odparła, że zamiast poddawać się temu wszystkiemu, wolałaby już sama polizać Koteczkę Connie. Właścicielka wówczas poinformowała ją, gdzie będzie mogła potem wsadzić pełną kłaków buzię, i zaraz potem rozmowa nader raptownie się urwała.

Zanim Ridley wreszcie się w tym wszystkim połapała, pozostała tylko jedna robota, ta przed którą stała teraz na chodniku.

### *Brookliński Blowout*

Chociaż był to salon fryzjerski, tak go nie nazywali. Postrzegany miał być jako wydarzenie, czy też jak określała to broszura reklamowa, „Doznanie dla włosów”.

Ridley nie byłaby stylistką. Czekala ją rola asystentki suszącej, a więc, na ile zdołała się zorientować, gwiazdki drugiego planu, za to z suszarką.

– Już łapiesz? – Necro patrzyła, jak za szybą ze zmatowionego szkła rząd kokieteryjnych, wypacykowanych i wysztafirowanych asystentek suszących wywijał nie tylko suszarkami i lokówkami, ale też prostownicami i wałkami termicznymi, jakby to był ich oręż. – To chyba nie może być trudne?

Ridley wolałaby prawdziwy oręż.

Necro nerwowo dotknęła szpiców swego niebieskiego pseudoirokeza.

– Lepiej się stąd zmyję, zanim wciągną mnie do środka i upodobnią do Taylor Swift. – Zawróciła w dół ulicy.

– Necro! – zawołała ją jeszcze Ridley, wiedziona jakimś impulsem.

– Taa? – Necro nie raczyła się odwrócić.

– Myślałam, że mnie nie znosisz. Czemu więc jesteś taka miła? Necro się odwróciła.

– Tak dla jasności: nie znoszę ciebie. Jeśli komukolwiek powiesz co innego, skopię ci dupę. Przyszłam tu tylko po to, żeby się wyrwać z próby dźwięku, bo nie znoszę ich jeszcze bardziej niż ciebie. – I jakby wbrew sobie, uśmiechnęła się.

– Jasne. – Ridley też odpowiedziała jej uśmiechem. Odwróciła się ku szklanym drzwiom wejściowym.

– Nie bierz mnie ma czułość, syreno – zawołała jeszcze Necro, z bezpiecznej odległości.

– W życiu – odpowiedziała Ridley, wchodząc do środka.

\*\*\*

– Chcesz mi powiedzieć, że mam wsadzić w to ręce?

Ridley stała w umywalni, nad rzędem sześciu myjni, wskazując coś ręką, jakby właśnie zobaczyła węża wypływającego z otworu ściekowego. Trzy metry od niej, z głową odchyloną nad umywalką numer sześć, leżała kobieta z okropnymi tlenionymi lokami i odrostami w wyjątkowo ciemnym odcieniu czerni.

– W jej włosy? – Delia, kierowniczka Brooklińskiego Blowoutu, wyglądała na rozbawioną. – Tak.

Ridley westchnęła. Żywot zwykłego człowieka zaczynał się niezbyt dobrze. Przyjechała tu metrem śmiertelników, przez całą drogę nie mogąc się uwolnić od wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

Znowu.

Może tacy właśnie są śmiertelnicy? Może oni naprawdę wciąż siebie wzajemnie obserwują?

Ridley zauważyła jednak mężczyznę, stojącego bez ruchu na peronie Broadway Junction i szczerzącego się do niej w uśmiechu przez zamykające się drzwi wagonu.

Syreny niełatwo przestraszyć, ale wyglądało na to, że nowojorski transport publiczny sprostał temu zadaniu.

Rid otrząsnęła się z tego wspomnienia i spiorunowała wzrokiem czekającą klientkę.

– Przepraszam bardzo. Czy chodziło ci o to, że muszę tego dotknąć? – Wydawało się, że Ridley zaraz się pochoruje. – Tych partii

ze skórą?

– Jej głowy? – Delia roześmiała się. Ale nawet ten śmiech nie czynił jej miłszą. Była do cna wytatuowana i miała na sobie bezrękawnik, tak że ogólny efekt był nawet bardziej zatrważający, niż oczekiwaloby się po kierownicze.

– Gołymi rękoma? – Ridley cofnęła się o krok.

– Riley, czy ty pracowałaś już w jakimś salonie? – Delia chyba zaczynała się irytować.

– Ridley – sprostowała Ridley.

– Więc? – Delii wyraźnie nie obchodziło, jak Ridley ma na imię. *Śmiertelnicy nie umieją się zachować*, pomyślała Ridley.

*Wszystkim im brak oglady.*

– Owszem – skłamała. – Cały czas. Po prostu, nigdy nie pracowałam z głowami.

– Nie z głowami?

– Właśnie. Pracowałam... – Usilnie starała wytypować na ciele śmiertelników jakieś znacznie mniej owłosione okolice. Włosy były tak nieapetyczne. Nie miała pojęcia, czemu uznała, że to praca dla niej. Żeby jej własne włosy się ułożyły, wystarczał jeden skręt przegubu. Jeszcze jedna syrenia zaleta. – Ze stopami. Zajmowałam się stopami. I kolanami. I łokciami. Sporadycznie, łydkami, ale tylko tymi naprawdę gładkimi.

– Czy to jeden z tych programów, że zaraz wyjdzie skądś jakaś gwiazda filmowa i powie, że to kawał? – Delia znużonym wzrokiem rozejrzała się po zakładzie.

– Tak bywa? – Ridley wreszcie coś tego popołudnia zainteresowało.

– Ty mi powiedz – odparła Delia.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki Ridley nie wróciła do myjni i nie wetknęła nie jednej, ale obu dłoni w ten nieapetycznie owłosiony, tłusty skalp osoby kompletnie jej nieznannej, i nie zaczęła trzeć. To było coś strasznego, ale przynajmniej Delia dała jej już spokój.

Kiedy kobieta w fotelu jeszcze bardziej odchyliła głowę, Ridley mogła jej zajrzeć do nosa. Mocniej szarpnęła włosy tej kobiety. *Miejmy to już za sobą.*

– Au! Nie tak mocno!

– Piękno wymaga bólu – powiedziała Ridley.

– To ty sprawiasz mi ból – oświadczyła kobieta, siadając.

– Cóż, piękna nie jesteś.

– Chcę się widzieć z kierowniczką – zażądała tamta.

– Beksa. – Ridley rzuciła jej ręcznik. – Wytrzyj.

Ta durna krowa wytrzeszczyła oczy.

– Co? – warknęła Ridley. – Zaproszenie ci wysłać?

Rozchlapujesz wodę po całej podłodze.

Kobieta, coś tam mamrocząc, potrząsnęła głową i wreszcie zabrała się do wycierania mokrej czupryny.

– Wracaj na fotel – poleciła Ridley. Usiłowała sobie przypomnieć formułkę, jakiej powinna była użyć, sadzając klientkę do suszenia, ale dała za wygraną. – Czas na to włochate doznanie, moja pani.

Kobieta zbliżyła się do fotela, ale nie zatrzymując się poszła dalej, aż za drzwi. Istny pech, Ridley czekało bowiem opłacenie z własnej kieszeni tego szaleństwa, kosztującego prawie czterdzieści dolców. Jeśli czegoś nie wykombinuje, i to szybko, to będzie musiała do tej pracy dokładać.

– Piękno wymaga bólu – powiedziała Delia, gdy Ridley sprzątała swoje stanowisko.

– Już tu nie pracuję? – spytała Ridley. Miała nadzieję, że odpowiedź będzie twierdząca.

– Jeszcze nie zdecydowałam. – Delia znów wyglądała na rozbawioną.

*Cieężko za nią nadążyć*, pomyślała Ridley.

– Ja tej baby naprawdę nie znośłam. Od lat skąpiła mi napiwków – wyznała Delia. – A skórę głowy ma naprawdę okropną. – Zaczęła się śmiać, tak sama z siebie. – Włochate doznanie – powiedziała. I z tego parskania przeszła w takie wycie, że aż się troszkę zapluła w kąciku ust. Ale przynajmniej Ridley nie musiała zaglądać jej do nosa.

Śmiertelnicy naprawdę potrafili przyprawić człowieka o mdłości.

Ridley nie wiedziała czy śmiać się, czy płakać, ale nie miało to znaczenia. Dojeżdżając do domu bardzo śmiertelniczą kolejką L, miała za sobą i jedno, i drugie.

## ROZDZIAŁ 13

### *Bleeding Me*

Nigdy nie przypuszczałem, Rid, że masz w sobie coś takiego. – Link był pod wrażeniem. Nawet zaszokowany. Właśnie tak. Ridley natomiast nie miała pewności, czy było warto.

*Dlatego że zwykli ludzie to beznadzieja.*

W porze śniadania bolały ją nogi, dokuczały ramiona, miała też złamane dwa paznokcie. *Nie wierzę, że muszę tam wrócić, jak zwykły człowiek.*

*Mam pracę. Pracuję. Całe sześć godzin dziennie.*

Nawet sama myśl o tym była męcząca. Energii starczyło Rid jedynie na dokończenie posiłku, rozczarowującego kawałka Wyśnionego Kokosowego Placka Marilyn wraz z jeszcze tragiczniejszym kawałkiem Jabłuszka z Mego Placuszka Marilyn. Chociaż były dostatecznie słodkie, by zrobić swoje. Taka syrenia wersja porannej kawki.

Rid odsunęła talerz.

– Jediną dobrą rzeczą w Gat-dziurze był tamtejszy placek.

– No, nie wiem. Kurczak w orzeszkach pekan.

Oczy Ridley niemal zaszkliły się na to wspomnienie.

– I ciasto Karmelowy Tunel w wykonaniu Ammy. To, które robiła tylko Ethanowi. Na ciepło.

– A co z gorącym popcornem i filmem o zombiakach w Cinepleksie w Summerville? – Link szeroko się uśmiechnął.

– Masz na myśli akcje w ostatnim rzędzie – stwierdziła Ridley z uśmiechem.

– Mam na myśli wypad nad jezioro z koszykiem piknikowym, pełnym biszkoptów. – Spotkał się z nią wzrokiem.

Nachyliła się ku niemu.

– Ty i twoje biszkopty.

Nachylił się ku niej.

– W te dni, gdy Amma je robiła, czatowałem pod oknem Ethana. Wargi Linka przyłgnęły do jej ust, a jego ramię opasało kark.



Ridley szałowywała te wspomnienia dawnych dni, słodkie niczym dżem truskawkowy, dopóki nie poczuła szturchnięcia łokciem w bok.

Otworzyła oczy, gdy Necro już wsuwała się do boksu.

– Ale radośnie. – Necro wyszczerzyła się w uśmiechu. – Czy powinnam powiedzieć: ale żałośnie?

– Świetne wycucie czasu – zauważył Link z goryczą.

Ridley papierową serwetką zebrała nadmiar szminki. Niezależnie od wspomnianego wycucia, pojawienie się Necro powitała z ulgą, mimo iż pseudoirokezka tego dnia postawiła na szalone połączenie czerwonej skóry (kurtka), czarnego winylu (spodnie) i błękitu (włosy). Dobrze było ujrzeć prawie przyjazną twarz. Poprzedniego dnia one obie przecież prawie się skumały.

– Placka? – Ridley przesunęła talerz w kierunku Necro. – O ile nie jest to deser nieuznawany przez gotów.

Necro otworzyła sprężynowiec i jakby w odpowiedzi, przecięła w pionie ten rozchwiany jeszcze jabłecznik, upieczony w głębokim naczyniu.

– Czas się ruszyć.

– Pysznie – oznajmiła Rid.

– Należy przyjąć, że to znaczy *nie*? – Link, z westchnieniem, przejechał dłonią po swej sterczącej czuprynie.

Miejsce obok Ridley zajął Sampson, Ciemnorodzony. Ilekroć go widywała, wyglądał nawet lepiej, niż go zapamiętała z tamtej gry w Udręce. Był wart grzechu, o ile gustowało się w przesadnie wysokich, odzianych w skórę bóstwach rocka, o dłoniach jak patelnie. Link po kilku pierwszych spotkaniach z Sampsonem określił go jako napakowanego „sobą i całym mnóstwem innych rzeczy”.

– Poza tym, w tym apartamencie jest miejsce tylko dla jednego boga rocka. – Usłyszawszy jeszcze i to, Ridley mogła jedynie przewrócić oczami.

– Gotowi jesteście, ludzie? – spytał Sampson. Jego widok Linka raczej nie uszczęśliwił, zresztą Ridley nie widziała powodu, dla którego ktokolwiek miałby się ucieszyć, widząc Ciemnorodzonego.

Skorzystała ze sposobności, by na krytym imitacją skóry siedzeniu w boksie, które dzieliła teraz z Sampsonem, odrobinę się od niego odsunąć. Szary T-shirt, którym uzupełnił obcisłe skórzane džinsy, został dobrany pod kolor jego niepokojących oczu. Z wytatuowanymi

ramionami i opasującym szyję łańcuchem od roweru, wyglądał na gościa, któremu nie należało wchodzić w drogę. I – na ile Ridley poznała go przy okazji swej monumentalnej klęski w Udręce – odpowiadało to prawdzie.

*Jeżeli jest odporny na działanie moich mocy, pomyślała, to na co jeszcze?*

Tego lata, gdy gra w łgarstwo przeniosła się już na południe, Rid, w poszukiwaniu czegokolwiek na temat Ciemnorodzonych, przewertowała zarówno archiwa wujka Macona, jak i *Lunae Libri*. Te nowe Istoty Nadnaturalne były jednak owocem Nowego Porządku, nie sposób było więc znaleźć żadnych dawnych zwojów, w których spisano by ich dzieje.

Od czasu gry z Sampsonem udało się jej tylko dowiedzieć, że ta nowa rasa Nadnaturalnych wyewoluowała, radykalnie i na trwałe, na skutek swoistego rozdarcia świata przez Lenę. Zrodzili się z Ognia Ciemności, z którego początek bierze cała magia – kompletni i gotowi, jakby wyszli z kapsuł kriogenicznych. Mimo iż stworzyła ich magia, wymykali się jej prawom.

Inni Obdarzeni nie mieli na Ciemnorodzonych żadnego wpływu. Niewiele też o nich było wiadomo poza tym, że nawet inkuby wyglądały przy nich jak jakieś kocięta.

Ridley przekonała się o tym na własnej skórze. Tamtej nocy w Udręce Sampson przysporzył jej daleko więcej problemów, niż można się było spodziewać. Teraz się do niej uśmiechał, ona zaś poskramiała w sobie chęć staromodnego wydrapania mu oczu. *Przekonałabym się, czy i na to jest odporny.*

– Ej, Maybelline, nie pożałowałaś sobie kredki do oczu? – spytał Link, przypatrując się Sampsonowi. – Bo możemy zaczekać, jeśli musisz, wiesz – machnął ręką w stronę twarzy tamtego – nieco się odświeżyć.

Jeśli umieści się inkuba w jednym pomieszczeniu z Ciemnorodzonym, w przeciągu pięciu minut zaczną skakać sobie do oczu. Wystarczył ten tydzień, by wszyscy się o tym przekonali.

– Zazdrosny? – Sampson rozprostował ręce na całą szerokość boksu. – Mało kto może sobie na to pozwolić.

– Raczej nie byle kto – powiedział Link. – Tylko powiedz.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła – Necro, patrząc na

Linka, potrząsnęła głową. – Wiesz, w czym problem z tą całą supersiłą inkubów? – Wskazała gestem Sampsona. – W tym. Nic mu nie zrobisz. Jest odporny.

Link się zakrztusił.

– Jak można być odpornym na supersiłę?

– Będąc silniejszym – odparł Sampson z uśmiechem.

Link podniósł łyżkę.

– Zegniesz ten widelec mocą umysłu?

– To łyżka.

– Pytanie było podchwytliwe.

Sampson zabrał ją i zgniótł w dłoni.

Link przełknął ślinę.

– A więc myślisz pięściami? Dobrze wiedzieć.

– Czas się zbierać. Spóźnimy się. – Za Sampsonem pojawiła się Floyd, nerwowo bębniąc w stół palcami, przekształconymi teraz w pałeczki perkusisty. Wyglądała jak członek kapeli speed metalowej, od lat uznawany za zaginionego. Trudno byłoby określić, co było bardziej archaiczne, postrzępiony czarny T-shirt, pamiątka z trasy – tu akurat Judas Priest – czy sfatygowane czarne portki. W każdym razie Ridley zaczynała nabierać przekonania, że Floyd zaopatruje się w jakimś lumpeksie dla emerytowanych rockmenów.

– Na co się spóźnimy? Gdzie się, ludzie, wybieracie? – Gdyby to miało oznaczać opóźnienie powrotu do pracy o dalsze kilka godzin, Rid nie miała nic przeciwko.

– Wielkie przesłuchanie. – Floyd skubnęła kruszonkę na placu Rid. – No, ciebie nie dotyczy. Jego. Ty możesz nawet nie iść.

– Czekajcie. Przesłuchanie? – Link odwrócił się, by spiorunować wzrokiem Ridley. – Co to ma znaczyć?

– Nie mówiono mi, że czeka go przesłuchanie – wtrąciła się Ridley. – Tak, dla jasności. – Przyjrzała się tamtym. – Jak zamierzaliście sobie poradzić bez perkusisty? Chyba lepszy ten niż żaden?

– Hej – zaprotestował Link, niepewny, czy go nie obraża.

– Daj spokój. Czego się spodziewałaś? Że ot tak, wystąpimy z twoim chłopakiem i rozbujemy budę? Nox tak nie działa – powiedziała Necro, kręcąc głową przecząco. – Zresztą, to nawet nie będzie prawdziwe przesłuchanie, tylko jeden występ przed jego ekipą. My też

tam jeszcze nie graliśmy, w pewnym sensie więc robi to przesłuchanie nam wszystkim. Polubią nas, on nas polubi i wszystko gra.

– A gdyby nie polubił? – Link się zafrasował.  
– Ujmijmy to tak, że ostatni z tych, których Lennox Gates nie polubił, już tutaj nie bywa. – Floyd zerknęła na Necro.  
– Gdzie więc jest? – Link aż się do nich wychylił.  
– Jedni powiedzieliby, że to był pożar. Inni, że zakłęcie *Mortem*.  
– Głos Necro zabrzmiał złowieszczo. – Tak czy inaczej, więcej go nie widziano.

– Fajny gość z Lennox Gatesa. – Link pokręcił głową. – Coraz ciekawiej się zapowiada ten dzień.

– Syrena to klub z klasą. Sprawdziłam. Przynajmniej oczko wyżej niż Udręka – zauważyła Floyd.

– Syrena? Tak się nazywa ten klub? – W oczach Ridley pojawiło się niedowierzanie.

– A co? Znasz? – Necro wzruszyła ramionami. – Świeżo otwarty.  
– Wyciągnęła z kieszeni ulotkę. W pierwszej chwili wyglądała ona na niezapisany arkusik czarnego papieru.

Z wolna zaczęły się jednak na nim pojawiać, jedna po drugiej, jakby dźwigając się z bezkresnej głębi, migotliwe litery o barwie burgunda.

### SYRENA

Nic więcej – tylko to jedno słowo.

Dziwnie jednak wymowne, zwłaszcza dla syreny.

*Czy to zbieg okoliczności? A może Lennox Gates sobie ze mną pogrywa? Czemu miałby tak nagle zapragnąć mojej pomocy w klubie ze mną w nazwie?*

Konieczność bycia zwykłym człowiekiem wydała się nagle Ridley najmniejszym z jej problemów. Za żadne skarby nie pozwoliłaby Linkowi choćby się zbliżyć bez niej do tego klubu. Praca będzie musiała zaczekać.

– Dość gadania. Spadamy. – Sampson wstał, a za nim cała reszta.  
Z jednej kapeli czy nie, z Ciemnorodzonym lepiej się było nie spierać.

\*\*\*

Na ulicy Rid zrównała się z Linkiem, kilka kroków za innymi.

– Nie wiedziałam, że czeka cię przesłuchanie.

Link popatrzył na nią.

– W porządku, jest spoko. To tylko jeden występ. – I zwrócił się do Floyd. – Hej, Floyd. Wcześniej miałem zapytać. Co się stało z waszym poprzednim perkusistą?

– Słyszałam, że był za kiepski – powiedziała ostrożnie Ridley.

Troje Obdarzonych zatrzymało się w pół kroku.

– Chwileczkę. To on nie wie? – Necro wyglądała na rozbawioną, a Floyd raczej na zdumioną. Sampson sprawiał wrażenie umiarkowanie zainteresowanego.

– Czego nie wiem? – Link zerknął na Rid, a ona ze złością na tamtych. Wszyscy troje tam wówczas byli, w Udręce, tej nocy, gdy wszystko przegrała. Wiedzieli, w jaki bajzel się wpakowała, i co gorsza, jak tego dokonała. Pozostawało jej powstrzymać ich przed wyjawieniem Linkowi wszystkich soczystych szczegółów, dopóki sama wszystkiego nie naprawi. I dopóki nie odkryje, o co u diabła chodziło z tym drugim żetonem. Linkowi nie mogła o tym opowiedzieć. To było zbyt upokarzające, za bardzo się też bała, a on mógłby się zanadto rozeźlić. Nie potrafiła przewidzieć, czy na nią, czy na Noxa, ale wolała tego nie sprawdzać.

*Jaki jednak pozostał jej wybór?*

Floyd walnęła Linka w plecy.

– Wyobraź, sobie, że to wszystko kant. Twoja syrena cię kantuje, bracie.

– Co ty gadasz? – Link wyglądał na bardziej zakręconego niż zazwyczaj.

– Nic takiego – ucięła Ridley. Popatrzyła znacząco na członków kapeli. *Nawet się nie ważcie.*

Necro potrząsnęła głową.

– To nie jest nic takiego. Powinnaś mu powiedzieć...

Floyd weszła jej w słowo.

– Twoja dziewczyna w niesamowitej partii kart załatwiła naszego perkusistę i weszła w drogę pewnemu wrednemu typowi, a potem...

– Wygrałam. Pokonałam go. – Ridley spojrzała na Linka. – Możesz mi wierzyć, szalona pałko. Byłam równie zaskoczona, jak ty

teraz.

– Taa, jasne – stwierdziła Floyd. – A potem z dupy wyleciały ci jednorożce. – Złączyła dwa palce na podobieństwo rogu jednorożca i przystawiła sobie do czoła.

– Jak na to wpadłaś? To moja specjalność. – Ridley usiłowała zgasić Floyd wzrokiem, desperacko pragnąc, żeby ta się zamknęła. Potem zwróciła się w stronę Linka. *Uwierz mi*, zaapelowała w myślach. *Musisz mi uwierzyć*.

– Daj spokój, Ridley. Nie tak to było. – Teraz zaczęła Necro. Link już się gubił.

– Co się tamtej nocy stało? Właściwie nigdy o niej nie opowiadałaś. Najpierw się okazuje, że jeździsz po Europie, potem słyszę, że jesteś w tamtym klubie w Nowym Jorku. Po jakimś czasie, nagle się pokazujesz w Gatlin, cała skruszona, a jeszcze później tak się składa, że znasz kapelę, poszukującą perkusisty? Od kiedy w ogóle zadajesz się z kapelami?

Ridley wpadała już w panikę. *Mysł szybko*.

– Jakie to ma znaczenie? Zrobiłam sobie wypad. Poznałam kapelę. Ich perkusista był cienki i oszedł. Potrzebowali nowego. Dogadaliśmy się w tamtym klubie. Koniec opowiadki. I tyle.

– Czemu mi tego po prostu nie powiedziałaś? Coś ukrywasz? Byłaś wtedy z kimś? O to chodzi? – Link wyglądał, jakby tracił nad sobą kontrolę, i to na ulicy.

– Zerwaliśmy ze sobą! – Zaraz się jednak z tego wycofała, widząc w jego oczach ból. – Skąd ci coś takiego mogło przyjść do głowy? – Odpuściła sobie jednak próbę wyjaśniania. Wolałaby nie rzucać na Linka uroku, ale wyglądało na to, że nie ma wyboru. Na nieszczęście dla niego, nie miała lizaka. Palce zanurkowały więc do kieszeni.

*Żadnej magii. Obiecałaś. Żadnych syrenich sztuczek.*

*Zawahała się, ale tylko na chwilę.*

*Kogo chciałam okpić?*

*Posłała Linkowi uśmiech.*

– Oczywiście, że nie. Wiem, że mi wierzysz. Tylko to się liczy. – Mówiąc to, wyczuła pod palcami papieraek od cukierka. *Wiesz, że mówię prawdę, Skurczaku.*

– Pewnie, że ci wierzę. To tylko...

– Zaniepokoiłeś się, bo zależy ci na mnie i chcesz, żebym była szczęśliwa. – Jej palce zacisnęły się na lizaku. *Chcesz, żebym była szczęśliwa, szalona palko.*

– Tylko na tym mi zależy, skarbie.

– Wiem jednak, że w głębi ducha mi ufasz. – *I absolutnie, całym sercem, mi wierzysz, Wesleyu Lincolnie.*

Wstrzymała oddech. Od bardzo, bardzo dawna nie próbowała na Linku czegoś takiego. Nie przepadał za tym, a jej trudno było go za to winić. Prawdę mówiąc, sama tego nie lubiła.

Link uśmiechnął się do niej.

– Wiesz, że tak, mała.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Wiem. – *Chodźmy już odwalić ten numer, Link.*

Wziął ją za rękę.

– Chodźmy już odwalić ten występ, cukiereczku.

Gdy już szli dalej, Ridley wołała nie myśleć o tym, co właśnie zrobiła.

*Przecież podziałało?*

*Ale skoro wyszło na dobre, to czemu czuję się tak paskudnie?*

Spuściła głowę, starając się nie widzieć ich twarzy, gdziekolwiek spojrziała. Gdyby pozwoliła sobie na pamiętanie, sypałyby się z nieba jak jesienne liście. Setkami. Tysiącami. Ludzi, których zauroczyła. Mężczyzn, których zniszczyła. Chłopców, którzy ją wielbili. Kobiet, które jej nienawidziły.

*Naprawdę chcę dodawać Wesleya Lincolna do tego stosu liści do spalania?*

*Przekroczyłam granicę?*

Zamarzyło się jej, żeby była tu Lena. Ona by wiedziała – i powiedziałyby to jej. Lena od zawsze była dla Ridley barometrem.

*Co teraz powiedziałyby Lena?*

Ridley pozwoliła swej ręce uwolnić się z uścisku Linka. Zagadał się z Sampsonem na temat programu na występ i obaj poszli przodem. Rid została w tyle, starając się o tym nie myśleć. Miała do przemyślenia większe problemy niż zauroczenie kolejnego hybrydowego inkuba.

– Hej, syreno.

To Necro chwyciła Ridley za rękę. Odczekała, aż chłopaki znajdą

się poza zasięgiem głosu.

– Gdy to się skończy – powiedziała – pogadamy sobie po babsku. Od serca, od mrocznego serca. – Po jej życzliwości nie było już śladu.

Floyd posłała Ridley paskudne spojrzenie.

– Do takiej rozmowy musiałaby mieć serce.

– Czemu miałabym chcieć rozmawiać? – Ridley nawet nie siłała się na uśmiech.

Floyd przechyliła się ku niej.

– Ktoś na tyle zdesperowany, by rzucać urok na swojego chłopaka, mógłby to w ogóle zrozumieć?

– Wiesz. To sprawa uroków Linka. – Necro wzruszyła ramionami. – Słyszałam, że magiczne z niego ciacho. Nieświadome, ale ciacho.

Ridley wierzyć się nie chciało, że w tej beznadziejnej tubie dla nieboszczyków, ozdobionej fałszywym irokezem, doszukiwała się przyjaciółki.

*Jestem syreną. Na co liczą? Nikt się nie wpycha między syrenę i jej żeglarza. Powinny o tym wiedzieć.*

Może nadeszła pora, by Ridley im o tym przypomniwała.

– Paszteciku – powiedziała, wpijając w ramię Floyd długie czerwone paznokcie. – I ty, Duane – dodała, z tą samą zaciekłością chwytając Necro. – Między nami dziewczynami, jedno powiedzmy sobie jasno. Jeszcze raz spróbujcie skierować mojego chłopaka przeciwko mnie, a nie skończy się na babskiej rozmowie. Będzie babska walka. Z pazurami.

– Miauc – odparła Necro, nie uciekając wzrokiem. Floyd słowem się nie odezwała. – Kapela trzyma się razem, Rid. Nie łapiesz tego, bo nie jesteś w kapeli. Tej granicy nie przekroczysz.

Samotna. Na krawężniku. Dotarło do niej.

Tyle tylko, że w tej akurat chwili Ridley Duchannes absolutnie nie obchodziło, co inni mają do powiedzenia.

Zareagowała natychmiast.

– Przyznaję, że nad Sampsonem nie mam władzy – stwierdziła. – Mogę jednak sprawić, że zabujacie się w każdym ciółku stąd do New Jersey, i nie myślcie, że się nie ośmielę. Sztuczka syreny.

– Tylko się nie zdziw, jeśli każdy z nich zacznie nagle przypominać twojego słodziutkiego chłoptasia. – Floyd uwolniła rękę.



– Sztuczka iluzjonistki. – Posłała jej złośliwy uśmiezek i ruszyła za Sampsonem.

*Słodziutkiego chłoptasia?*

*Już ja cię urządzę.*

Necro pokręciła głową.

– No, to przegięłaś. Nie zadziera się z iluzjonistką. Człowiek nie wie, od czego oberwie. Dosłownie.

– Weź się ugryź – szepnęła Ridley. – Nie boję się ciebie.

– Jedno ci powiem – odpowiedziała, również szeptem, Necro. – Nic nie łapiesz. – Nekromantka podeszła tak blisko, że Ridley niemal czuła w uchu jej oddech. – Jeżeli moje sny coś znaczą, to nie mnie powinnaś się bać.

Jej ostatnie słowo przeryło dzielące je powietrze.

– *Vindicabo.*

## ROZDZIAŁ 14

### *Appetite for Destruction*

Lennox Gates wierzgał i wrzeszczał. Z bełkotu, wylewającego się z jego ust, niczego nie dałoby się zrozumieć, był za to głośny i natarczywy.

Tak głośny, że go obudził.

Usiadł na kanapie, jeszcze otumaniony, potem znów na nią padł.

Lennox wciąż jeszcze miał na sobie ubranie, w którym nad ranem wrócił z klubu. Znowu nękały go koszmary, niewątpliwie prezent od przyjaciela z tamtego świata.

*Wścieki.*

Mściwe zjawy z zaświatów – czarne plamy mroźnego cienia były wszędzie. Połykały mu przyjaciół, rodzinę. Obracały wszystko we mgłę, strach i niepewność.

Roilo się od nich w jego klubie, w jego apartamencie, nawet w domu na wyspie. Nie mógł uciec, nie mógł nawet się ukryć. Nie było mu dane się od nich uwolnić, dopóki nie zawloką go do świata, z którego przybyły.

Lennox Gates odebrał to przesłanie. Groźba tego tykającego zegara aż nadto była wymowna i bez słów.

Zerknąwszy na zegarek, zaklął pod nosem. Był spóźniony, i to nie tylko na pierwsze z umówionych na ten dzień spotkań, ale i w odniesieniu do innych spraw, o które go proszono. Spraw, jakich raczej nie wpisywało się do kalendarza.

*Ciemnych sprawek. Mojej specjalności. Jak mogło do tego dojść?*

Termin go przecież gonił, a współnicy się niecierpliwili. Dobrze choć, że to był tylko koszmarny sen.

Wciąż jeszcze.

Lennox nagle poczuł, że jeżą mu się włosy na rękach. W pokoju zrobiło się zimno, tak zimno, że z każdym oddechem czuł, jak powietrze pali go w gardle.

– Czego chcesz? – Jego głos odbił się echem w pustym pokoju.

Cisza.

– Wiem, że tam jesteś. Możesz się ujawnić.

Cienie w pokoju skrzyły się konwulsyjnie, jakby to ściany walczyły o złapanie tchu.

Powietrze wokół niego się skłębilo.

*Teraz więc. Nadchodzi.*

Z podłogi zaczęła się z wolna podnosić czarna sylwetka, materializując się poprzez dywan, jakby wsysana wbrew woli przez świat śmiertelników. W rzeczywistości jednak, o czym Lennox wiedział, było inaczej. Ten duch łaknął wejścia w ten świat – zadając sobie wielki, herkulesowy trud.

*Wścieki – prawdziwe. Tutaj. W moim apartamencie, po raz pierwszy.*

Do głowy przyszła Lennoxowi jeszcze jedna myśl, bardziej lodowata od otaczającego go powietrza.

*On się zbliża.*

Ten apartament był najbardziej podporządkowanym mu miejscem, jakie Lennox znał, jeśli nie liczyć jego klubu. Poziom bezpieczeństwa tutaj nie gorszy był niż w gmachu Narodów Zjednoczonych, w centrum miasta. Wstępu nie mieli zarówno zabłąkani Obdarzeni, jak i goście z zaświatów. Lennox uznałby to za niemożliwe, gdyby nie miał do czynienia z najbardziej zawziętym truposzem ostatniego pięćsetlecia.

*Dopadnie mnie, gdziekolwiek się ruszę.*

*Nigdy się od niego nie uwolnię.*

Lennox podniósł głos.

– O to ci właśnie chodzi? Rozumiem, starcze. Ma być po twojemu, bo inaczej tam do ciebie dołączę? – Podniósł się, by zacząć chodzić po pokoju. – Twój hybrydowy przyjaciel pokaże się dzisiaj w klubie, a twojej syrenie Więź nakazuje iść za nim. Zadbalem o środki motywujące dla nich obojga. Miej trochę wiary.

Wiedział, że żąda niemożliwego, i podejrzewał, że jego wspólnik po tamtej stronie zanoszą się śmiechem. Śmieje się i już szykuje Lennoxowi Gatesowi miejsce w zaświatach, tuż obok siebie.

– Nie jestem ani głupcem, ani samobójcą. Ten pokaz naprawdę nie jest konieczny – powiedział.

*Ale jest w twoim stylu, dodał w myślach. Inaczej nie nazywałbyś*

*się Abraham Ravenwood. A mnie ominęłoby to uwięzanie.*

## ROZDZIAŁ 15

### *Rock of Ages*

Idąc obok Sampsona w dół jednej z ulic Brooklynu, Link nie mógł sobie przypomnieć, co go trapiło. Coś takiego było, ale mu umknęło. Tak właśnie działała na niego Rid. Kilka jej słów, i niemal zawsze zaczynał czuć się lepiej. Pomyślałby nawet, że go zauroczyła, gdyby nie fakt, iż obiecała, że z tym kończy.

*Co to więc była za magia?*

Dał sobie z tym spokój.

Szczerze mówiąc, właściwie nie obchodziło go to, co będzie się mówić po przesłuchaniu. Przypominało jazgot kurcząt, trajkoczących nad wysypaną im paszą. *Kurcząt, albo cheerleaderek. Komitetu rodzicielskiego Jackson High, użerającego się o to, której książki zakazać. Mojej mamy w drodze powrotnej z próby chóru, obładowanej świeżą porcją plotek.* Link niewiele się wówczas odzywał. Przynajmniej nie do jakichś trajkotek. Głowę zaprzętało mu przesłuchanie.

To określenie było z tych niesamowitych, jak *dogrywka, przedni rząd czy finały stanowe. Pizza z serowym brzegiem, faszerowany podwójnie czy duża porcja.* Ale to *przesłuchanie* było praojcem wszystkich wspaniałych określeń. Przynajmniej Link był tego absolutnie pewny.

Nigdy w czymś takim nie brał udziału.

Przesłuchania do kapel omijały Linka. Dbał o to, by były to jego kapele, bo wtedy musiały go wziąć. Taki był sekret jego sukcesu. Tyle że teraz niezbyt pomocny. Czuł przerażenie. Przesłuchania były tak dobre, że aż złe, tak ważne, że aż paraliżowały. Adrenalina tak wzbierała w nim i buzowała, jak wtedy, gdy w połowie procesu przemiany w inkuba spróbował podjąć maminego sosu mięsnego.

Jakby miało mu się zebrać na mdłości.

*Mam nadzieję, że nie porzygam się na scenie. Marilyn Manson się porzygał podczas występu. Czekaj. To chyba czad, no nie? Skoro Marilyn Manson tak zrobił?*

Link borykał się z tymi myślami aż do chwili, gdy razem z Sampsonem spotkali się z dziewczynami przy schodach, wiodących na stację metra.

*Nie myśl o przestuchaniu. Po cholere o tym rozmyślasz, durniu.*

– Ziemia do Linka. – Floyd mu się przyjrzała. – Źle się czujesz?

Link nie odpowiedział. *Nie przy niej. Nie przy tej dziewczynie.*

Spróbował skupić wzrok na żółtej policyjnej taśmie, odcinającej dostęp do schodów.

– Jeśli masz się porzygać, zrób to teraz – powiedziała Floyd. – Tyle ci powiem. Pamiętasz Marilynę Mansona? – Uśmiechnęła się. – To był diabelnie dobry paw.

Linkowi, mimo żółci w gardle, zebrało się na śmiech. Niewiele było takich dziewczyn jak Floyd. Nawet Ridley potrafiła to dostrzec i pewnie dlatego tak się zaczęła stroszyć, jak tylko tu trafili. Musiał przyznać, że nawet odpowiadał mu ten rodzaj zatroskania.

*Coś jak życie w kurniku, pomyślał. Zwłaszcza gdy z koguta takie ciacho jak tu obecny.*

Floyd rozejrzała się na boki i dała nura na schody. Jak tylko znalazła się za żółtą taśmą, zniknęła. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą była, zafalowało powietrze.

*Takich rzeczy się w kurnikach nie widuje.*

– To podróżowanie? Bo nic nie było słyhać. – Link zerknął na Necro.

Necro potrząsnęła głową przecząco.

– Nie. To drzwi. Wypatruj nieczynnych stacji metra. Nie są tak naprawdę nieczynne. Są nasze.

– Starego dobrego nowojorskiego metra? Jest także metrem Obdarzonych?

– Stacje tak. Przemieszczamy je rotacyjnie w ramach systemu śmiertelników, po wszystkich pięciu dzielnicach, za każdym razem więc jest inna stacja. To cały system. Ktoś wpadł na to, jak podczas ostatniej wielkiej burzy przyszło nam oglądać te wszystkie blokady komunikacji publicznej. Dopóki trzymamy się nieczynnych stacji, nikt nie widzi, jak wchodzimy i wychodzimy. I nikt nam nie przeszkadza.

Link przyjrzał się jej.

– I nikogo nie zastanawia, czemu tu tak wiele nieczynnych stacji?

Necro odpowiedziała uśmiechem.

– Niby kogo ma zastanawiać? Zawsze coś się psuje. To jest Nowy Jork. Chodźmy już. – Powiedziawszy to, zniknęła, jakby rzeczywiście coś wyjaśniła.

Link podrapał się w głowę. Ciężko było mu to sobie wyobrazić, zważywszy że w Gatlin każda przepalona lampa na ganku praktycznie stanowiła sensację. A przynajmniej wprawiała w ruch sieć komunikacyjną jego mamy.

– Postarajcie się nadążyć. – Sampson popatrzył na Ridley i Linka, jak na parę przedszkolaków i też, biorąc przykład z Necro, zniknął.

– Śmieszny facet – stwierdził Link.

– Niekoniecznie – zauważyła Rid.

Link wzruszył ramionami.

– Ciemnorodzeni wyglądają mi na sztywniaków.

– Myślisz? – spytała, chyba z niepokojem.

– Wiesz, jak to mówią. Z wielką mocą, wielkie nico. – Roześmiał się, Rid jednak tym nie zaraził. Nie dzisiaj.

*Wydaje się gorętsza niż Myrtle Beach w lipcu, i tak samo niespokojna,* pomyślał Link.

– Chodźmy. Ty chcesz... – Wskazał gestem żółtą taśmę. – Czy ja pierwszy?

– Poszli sobie. Moglibyśmy zwać – powiedziała Ridley.

Wyglądała na bardziej zdenerwowaną, niż mógł się spodziewać, zwłaszcza, że cała ta sprawa z Szamanami Diabła wyszła właśnie od niej.

– No, jasne. – Link znów się zaśmiał, ona nadal nie. *Rid nie żartuje. Robi się dziwnie.* – O co ci chodzi? Nie zawędrowaliśmy tak daleko, żeby wiać z podkulonym ogonem.

Ridley westchnęła.

– Nie żebym się niepokoiła. Powiedziałam, co powiedziałam. Przecież moglibyśmy. Zabrać się stąd.

– Już to powiedziałaś. – *Jednak coś cię niepokoi,* powiedział w myśli Link. – Ale czemu, Rid? Mówiłaś przecież, że w Udręce nie wydarzyło się nic wielkiego?

Ridley wzruszyła ramionami.

– To przesłuchanie. Lennox Gates. Klub Syrena. Sama nie wiem. Mam złe przeczucia co do całej tej sprawy. Może się myliłam. Może

nie powinnam była nas w to...

– Hola. Przyhamuj. O mnie chodzi. – Link wyjął pałeczki perkusisty, z tylnej kieszeni, w której tak lubił je trzymać. – To mój sprzęt. I moja sprawa. Jestem dobry, a jeśli nawet nie, to też moja rzecz. Nie możesz tak ciągać za mój łańcuch, Rid. Najpierw pakujesz mnie w całą tę historię z kapelą Obdarzonych, a gdy już w to wchodzę, chcesz, żeby się wycofać? Mowy nie ma.

Chyba nie dała się przekonać, ale przynajmniej nie poszła sobie. Link wiedział, że lepiej nie przeciągać struny.

Chwycił ją za rękę i zanim zdążyła coś więcej powiedzieć, pociągnął, za taśmę z żółtego plastiku.

– Geronimo, cukiereczku.

\*\*\*

Drzwi do metra musiały kryć w sobie potężny iluzjonistyczny czar, gdyż Ridley i Link, tuż po przekroczeniu żółtej taśmy znaleźli się zupełnie gdzie indziej. Byli wewnątrz czegoś, co wyglądało na tunel. I Link poczuł coś jeszcze – energię i prąd, moc przepływającą mu przez żyły do świata pod otaczającym go światem.

Mdłości już mu przeszły. Trafili nie do jakiegoś tam tunelu. Znaleźli się w tunelu Obdarzonych, w podziemiu, które niczym niewidoczny labirynt ogarniało cały świat, tuż pod krainą śmiertelników. I choć się tego spodziewał, to i tak zaskakiwało. Biło na głowę wszystko inne.

*Wszystko inne, nawet w czasach, gdy byłem pełnowymiarowym śmiertelnikiem.*

Link odetchnął głęboko i szeroko otworzył oczy. Raz jeszcze ścisnął dłoń Ridley.

– Wszystko w porządku, mała?

Skinęła głową.

– W porządku. To znaczy lepiej.

Pewnie, że czuła się lepiej. Wrócili do podziemia. Wierzyć się nie chce, ale były czasy, gdy na widok tych tuneli miał totalnego stracha. Tak samo jak Ethan. Przez jakiś czas nawet Liv, ilekroć musiała tu zejść, świrowała. Ale było to wtedy, gdy John Breed wydawał się jeszcze niepokornym motocyklistą, a zjawy i wścieki grasowały po tych tunelach jak szczury i węże.



Teraz jednak tunele Obdarzonych wydawały się Rid i Linkowi najprawdziwszą namiastką domu. Tunele były jedynym miejscem, gdzie mogli się chronić przed wzrokiem i opiniami śmiertelników z hrabstwa Gatlin – których nigdy im nie szczędzono. To podziemie tak bardzo było domem dla Macona, że całe miasto uznawało go za umarłego. To dowodziło, że do wszystkiego można przywyknąć.

– Pośpiesz się, koleś. – Floyd już się niecierpliwiła. Czekwała nieco dalej, wraz z Necro i Sampsonem, a gdy Rid oraz Link podążali ich śladem przez spowite przyćmionym światłem kamienne jaskinie, poczuli się jak w owych dawnych czasach. Migotliwe pochodnie niepewnym światłem wskazywały dalszą drogę i Link za każdym razem widział przed sobą tylko prosty odcinek tunelu, wiodącego w niezbadaną ciemność.

Dopóki coś niewielkiego nie wyślizgnęło się ku nim z mroku, i nie zamiauczało.

Link wbił wzrok w ciemność.

– Lucille, co ty, u diabła, tu robisz? Myślałem, że popędziłaś obejrzeć Statuę Wolności. Albo załapać się na przedstawienie na Broadwayu. Za późno już na *Koty*? – Uśmiechając się, puścił oko do Ridley.

Jęknęła.

– Mniejsza o to. Lucille, widoczków dla śmiertelników tutaj nie znajdziesz. Jedynie trochę debilnie starych skał i Obdarzonych.

Lucille jednak się tym nie przejęła. Siedziała w kręgu światła, subtelnie liżąc sobie łąpkę. Gdy Link spróbował ją podnieść, syknęła na niego.

– Wspaniale. Niech ci będzie. Jeśli ci nastukają, nie będę się Siostróm tłumaczył. Sama będziesz musiała sobie z tym poradzić.

– On gada z kotem. – Necro uniosła brew, zdziwiona.

– Widzę – westchnęła Ridley. – Lucille Ball. To jakby kuzynka jego najlepszego przyjaciela. – Link obie je zignorował, słodko zagadując Lucille. Wcześniej nie słyszał takich pogaduszek Ridley z kimś z tej kapeli i nie zamierzał psuć tej chwili.

– Żartujesz. – Necro przeniosła wzrok z Linka na Ridley. – Ona żartuje, prawda?

Link szedł dalej, a Lucille trzy metry za nim. Wiedział, że nawet tak daleko na Północy nie warto zadzierać z tą kotką Sióstr. Powinien

był pamiętać, że nie ma sytuacji, w której by sobie nie poradziła.

Była z nich wszystkich najmocniejsza.

I nagle Link dojrzał przed nimi światło w tunelu, tam gdzie korytarz przechodził w krzyżówkę. Na ścianie, w miejscu spotkania korytarzy, widniały, uwiecznione w postaci mozaiki, słowa PODZIEMIE OBDARZONYCH. Pod mozaiką wisiało coś na kształt ręcznie naszkicowanej mapy, w bardzo ozdobnej ramie.

– Wzgórze Syren. – Floyd pokazała jeden z punktów na tej mapie. – Tam właśnie idziemy. – Wskazała potem jeden z bardziej oddalonych tuneli. – Tamtędy.

Link zajrzał jej przez ramię.

– To tak się tam dostajecie? Nie od strony świata śmiertelników? Floyd wzruszyła ramionami.

– Istnieją jeszcze drzwi od zaplecza, boczne wejścia i tajne przejścia. Ale w zasadzie tak. Główne wejście jest tam, w dole.

– Tylko postarajcie się nadażyć – dodała Necro, kierując się ku temu najdalszemu tunelowi. Gdy przedzierała się przez mrok, szli jej śladem, aż dotarła do kamiennych schodów, wiodących ku drzwiom z pordzewiałego metalu. Gdy do niej dołączyli, właśnie otwierała to wejście – i naruszany jedynie echem spokój podziemi ustąpił miejsca czemuś zasługującemu jedynie na miano czystego chaosu.

Parada karnawałowa, pomyślał Link. *Gorąca noc nowoorleańska*. Po tym, jak wraz z Ethanem odwiedził upiorny sklepik bokora, nie raz posłużył się podziemiem, by wracać do Beztroskiego Miasta. *Nawet zapaszki tutaj podobne*.

Ledwie przeszli do groty, tonącej w półmroku, owładnął nimi zgiełk. Już za wejściem tłum był tak wielki, że nawet przerośniętemu ćwierćinkubowi, górującemu nad niemal wszystkimi innymi tutaj bardziej niż o głowę, trudno było ogarnąć wzrokiem więcej niż tylko najbliższe trzy metry tej ciżby.

– Widzisz drzwi? – wrzasnęła do niego Floyd. Mimo iż była wyższa od Necro o dobre pół metra, sama niewiele widziała.

– Trzeba chyba tamtędy. Nie zgubcie się. – Wbił się w tłum, torując drogę reszcie kompanii. – Tam są. – Ruchem głowy pokazawszy kierunek, jedną ręką chwycił za ramię Floyd, drugą poprowadził Rid. Necro uczepliła się Floyd, a Sampson zabezpieczył tyły.

We wzroku Ridley było tyle złości, że Link jednak czym prędzej puścił ramię Floyd.

– Patrzcie. – Floyd wskazała coś ręką. – Syreny.

– Syreny? – spytała drwiąco Ridley. – Do prawdziwych im daleko.

– Nie tak całkiem. Służą Noxowi do wabienia ludzi do klubu.

Nie były prawdziwymi syrenami, ale nie musiały być. Od tych kobiet biło tyle żaru, że śmiało mogłyby trafić na okładki magazynów motoryzacyjnych Linka. Krążyły po tej stacji metra, jednym sprzedając tuby jakiegoś jasnoczerwonego płynu, innym zaś coś przezroczystego i mocno spienionego. Floyd miała rację – gdy się je dłużej poobserwowało, można było zobaczyć, że spychają ludzi ku wejściu do klubu.

Link był jak urzeczony.

– Żołnierzu, baczność – upomniała go Rid. Stać go było tylko na kiwnięcie głową. Te syreny miały na sobie niewiele; spowite za to były w jakąś wariacką świecącą materię, przywodzącą na myśl chińskie lampiony albo raczej świecące pałeczki.

Link zwykle niewiele kumał, gdy szło o kluby dla Obdarzonych. Tym razem mu to nie przeszkadzało. Kumał jednak nadal niewiele. *Gdyby tak mama mogła mnie teraz zobaczyć. Szalu by dostała.* Potrząsnął głową.

– Przyszliśmy tu przecież prosto ze śniadania? – przypomniał głośno. – Jak to możliwe, że choć o noc trudno, nocne życie kwitnie? – Czegoś dziwniejszego jeszcze nie oglądał, a to naprawdę coś znaczyło, biorąc pod uwagę ostatnie jego lata.

– To dlatego – odkrzyknęła Floyd – że tu prawdopodobnie ta noc jeszcze trwa.

– Albo zaczęła się już następna – dodała Necro. – Lub jeszcze następna. Tutaj podziemie nigdy nie zasypia. A już na pewno nie wtedy, gdy Lennox Gates otwiera nowy klub.

– Wielki tłum, jak na nowy klub – stwierdziła Ridley.

– Jak ktoś jest gorący, pali się do takich rzeczy – wrzasnęła Necro.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – odwrzasnęła Ridley. Necro się skrzywiła i zniknęła w tłumie, a w ślad za nią Floyd.

– Daj spokój, Rid. Nie ma co zwlekać. – Teraz, gdy byli już pod

klubem, Link znów zaczynał robić się nerwowy.

– Tam chyba poszli. – Rid pokazała drogę. – Tamtędy.

Nad tą ciżbą, na murszejacej ścianie tunelu, widniało namalowane farbą w spreju, w stylu grafficiarskim, słowo SYRENA.

Tłum się rozstał i Link zdołał dojrzeć sznur z czarnego aksamitu, pod którym właśnie dumnie przemaszerowała Lucille Ball.

O ile Link zdołał się zorientować, Syrena nie była lokalem dla śmiertelników. Choć zawsze trafiało się pośród nich kilku takich, którzy jakoś znajdowali drogę do klubów Istot Ciemności, kryjących się w tunelach – podobnie jak niedawno temu on i Ethan. Z zasady jednak Obdarzeni i inkuby woleli trzymać się swoich. Ciemność Ciemności, a Światło Światła. Zwłaszcza gdy szukali tam tego, co pozwalało im odreagować, pili krew i gimnastykowali swoje moce.

Nie, Obdarzeni zdecydowanie nie chcieli tutaj śmiertelników, a śmiertelnicy nie zagrzaliby tutaj miejsca. Podziemia należały do Obdarzonych i kluby tutaj, na dole, rządziły się odmiennymi regułami. Umiar był bliski wyłącznie śmiertelnikom, podobnie jak szacunek dla życia śmiertelnych. Rid przypominała czasem Linkowi, że lepiej unikać losu czekającego muchę, siedzącą na ścianie w którymkolwiek z klubów podziemi, bo nadnaturalne istoty nie muszą nawet sięgać po packę.

Mało kto spośród śmiertelników poważyłby się na takie ryzyko.

Sama idea miejsca nieliczącego się z osądami śmiertelników, i to bardziej przynależnego Ciemności niż Światłu, większości śmiertelnych wydawała się przerażająca. W przypadku Linka cała koncepcja tego, co dobre, a co złe – czy też, jak zwykła ją określać pani Lincoln, co złe, a co jeszcze gorsze – zrodziła się z wykradania się ze szkółki niedzielnej (źle) pod szatnię dziewcząt (gorzej). Obecnie idea ta opierała się na odróżnianiu wchodzenia w układy z Istotami Ciemności (źle), poprzez picie ludzkiej krwi (gorzej) po coś w rodzaju na przykład przeszycia piersi stryjecznego prapradziadka najlepszej przyjaciółki ogrodowym sekatorem (najgorzej).

Tego wieczoru Link nawet nie oczekiwał, że Syrena mogłaby okazać się odstępstwem od tej reguły.

– Hej! – Ridley zwróciła się do bramkarza, stojącego w samym wejściu, tuż za aksamitnym sznurem. Był mniej więcej rozmiaru trzech futbolistów z Summerville, tych, którym forma nie pozwoliłaby się

sprawdzić w żadnym innym sporcie. – Musisz nas wpuścić. Jesteśmy z kapelą, nasi właśnie przeszli i...

Jeszcze nie dokończyła, a bramkarz już coś mruknął i podniósł dłoń. Wstał, odciągając czarny sznur, bo niemal w miejscu, gdzie się przed chwilą znajdował, zmaterializowała się grupa inkubów, raptownie kończąc tu podróż. Ukłonił się im z szacunkiem.

– Rezerwacja już czeka na panów.

Link, czując, że coś go ściska w krtani, odruchowo cofnął się w cień.

*Inkuby krwi. Tutaj. Cała paczka. Cuchnących tym, co zżarły. To równie okropne miejsce jak inny klub Obdarzonych, Wygnanie. Może nawet gorsze.*

Bramkarz znów patrzył na Ridley.

– Jak już mówiłam, jesteśmy z kapelą – powiedziała.

– I tamten kot – dodał Link.

– Spodziewają się nas. – Ridley uniosła ulotkę przekreśloną słowem Syrena.

– A czego to się spodziewają, blondyneczko? – Bramkarz łypnął na nią okiem. – Ja też się mogę spodziewać? – Jego łysy, spocony łeb był tak gęsto podziargany, że niemal się nie widziało płonących złoto, węzowych ślepi. Gdy się uśmiechał, co rusz z ust wypełzał mu rozdwojony język. Obie końcówki były zakolczykowane.

*Czadowo, pomyślał Link.*

Rozwidlone końce zwijały się i rozwijały, prawie po sam policzek Ridley, coraz to bliżej, a Link w końcu uznał, że to nie tyle język, co jakieś dziwaczne węże, zamieszkujące gębę tego gościa.

Złapał je i szarpnął najmocniej, jak potrafił.

– Spodziewają się, że okażesz tej damie trochę szacunku. A teraz się, Wężowe Oczko, odsuń.

Metr syczących węży wyleciał ze swego ciepłego schronienia, na ziemię, tuż przed bramkarzem. W chwilę później dołączyły tam do nich blisko dwa metry Linka, lądującego na zadku. *Hybrydowy inkub. Jasne. Supersiła. Należało się tego spodziewać. W końcu to przecież bramkarz.*

– I co, twardzielu. – Bramkarz nachylił się nad Linkiem. – Myślisz, że zrobiłeś coś wielkiego? Ty i twój kot? Przemyśl to jeszcze raz.

Link czuł, że półdupki wręcz go palą, odnosił też wrażenie, że złamała się pod nim jedna z pałeczek perkusisty.

– To nie trzyma klasy, Kulo Bilardowa.

Łysoń stał się czerwiejszy chyba nawet od swoich tatuazy.

– Nie? To teraz ja zrobię coś wielkiego. Dziurę w twojej głowie. Będzie wielka, bo się o to postaram.

– Mówisz o mojej dyńce, Roszpunku? O nią chodzi? – Link siadł prosto, ale tamten znów go usadził. – Odrobinę mi tego zazdrościsz?

*Jeśli uda mi się wstać, dam mu radę.*

Bramkarz naprężył mięśnie jak u konia.

*Może.*

– Chłopcy – Rid potrząsnęła włosami z różowymi pasemkami. – To zaczyna być nudne.

Link podciął bramkarza i obaj polecili w tłum, tłukąc się na całego.

Ridley przewróciła oczami. Chwilę później jej języka dotknął wiśniowy lizak, a aksamitny sznur poleciał na podłogę. Nadal była w tym dobra. Jak zwykle.

Ocierając krew z kącika obitych ust, Link zastanawiał się, czy odkąd zaczęli ze sobą chodzić, jego też podobnie traktowała – i czy by to zauważył.

– Stolik państwa już czeka – powiedział bramkarz, pomagając Linkowi wstać, gdy już sam się podniósł. Potem zaoferował Ridley ramię, jakby zapomniał o całej bijatyce. Pozwoliła mu się wprowadzić po stopniach wiodących do drzwi.

– Z pewnością – raczyła odpowiedzieć Rid. – Jutro masz nas od razu przepuścić.

– Będzie jak w banku – zapewnił bramkarz. – Pan Gates zapowiedział, że teraz często będziemy państwa widywać.

– Zapowiedział? – powtórzyła niepewnie Ridley. – Oczywiście, że tak.

Link chyba nawet tego nie słyszał. Nastroszył natomiast włosy, by znów wyglądały jak kolce, i przepchnął do bramkarza.

– Hej, Łysy Kołku. Następnym razem skopię ci dupę. Ja i mój kot. Co na to powiesz?

Bramkarz go zignorował. Link westchnął.

Sytuację, gdy dziewczyna zaingerowała w obronie chłopaka,

należało uznać za upokarzającą, jednakże Link, gdy już doszedł do ładu po kontakcie z brudną podłogą, nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Jeśli nawet cała ta historia z kapelą była jej pomysłem, to jego czekało przesłuchanie. Link nie potrafił poruszać się po świecie Obdarzonych tak swobodnie jak Ridley, ale nie oznaczało to, że jest tak żaloszny, by nie mógł sobie poradzić.

Bo przecież mógłby?

Miejsce w klubie inkubów należało mu się bardziej niż komukolwiek innemu. To on załatwił Abrahama Ravenwooda za pomocą ogrodowego sekatora. Nie było już sensu tego ukrywać.

Nadeszła pora, by Wesley Lincoln stanął na własnych nogach.

Ten właśnie wieczór miał to zapoczątkować. Nadnaturalna kariera rockowa była tuż-tuż i nadszedł czas, by po nią sięgnąć.

*Trzeba mi własnych wiśniowych lizaczków.*

I Link wszedł na schody, w ślad za Ridley i bramkarzem.

Lucille czekała na nich u ich szczytu, jak na parę zabłąkanych idiotów.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem – mruknął Link. – Nie widziałem, żebyś się rwała do pomocy.

Lucille, obrażona, odeszła milcząc.

– Kobiety. – Link pokręcił głową, zerkając na Rid.

– Nie zaczynaj... – Wzięła go za rękę, gdy rozsuwały się masywne drzwi, jak w halach magazynowych, i zaraz znaleźli się w klubie.

A przynajmniej znaleźli się w jakimś długim mrocznym westybulu, wiodącym do klubu. Tłum porwał ich niczym nurt rzeki. Link jedną ręką trzymał się Ridley, drugą sprawdził, czy pałeczki w kieszeni rzeczywiście się połamały.

Jedyne światło tutaj dochodziło od strony zarysu ozdobionego lustrami baru, ciągnącego się wzdłuż jednej z bocznych ścian. I chociaż było tu zbyt ciemno, by widzieć, dokąd się idzie, Link mógłby przysiąc, że coś w tych cieniach dojrzał. Tak jakby był obserwowany, choć nikogo nie widział.

*Dziwne, pomyślał. Chociaż nie dziwniejsze niż wszystko inne tutaj.*

Bo i nie było nic dziwniejszego, dopóki westybul nie otworzył się na pojedynczą salę – wysoką na trzy, może cztery piętra – gdzie

błyski światła dały mu po oczach, ale i pozwoliły znów coś widzieć.

Ledwie.

I to, co zobaczył, sprawiło, że wrósł w podłogę.

A jeszcze mocniej... to, kogo zobaczył...



## ROZDZIAŁ 16

### *For Those About to Rock*

*Co ona tu robi?* pomyślała Ridley. Taka była przynajmniej jej pierwsza myśl. Drugą było: *Ja ją zabiję*. A trzecią: *Moja matka mnie zabije*.

– Link! Ridley!

Link przeżył chyba nie mniejszy szok niż Ridley.

– Słodki jeżu...!

W Syrenie natrafili na Ryan Duchannes.

Ridley zastygła w bezruchu. Odezwał się zwierzęcy instynkt – atakować, uciekać lub zastygnąć w bezruchu. Oto w tym klubie spotkała młodszą siostrę. Ryan miała trzynaście lat i oczekiwano dla niej światłości, jasnej jak słońce. Klub w podziemiu, własność Istoty Ciemności, był ostatnim miejscem, gdzie człowiek by się jej spodziewał.

Co więcej, była umalowana i ubrana tak chaotycznie, że Ridley nawet nie próbowała tego zrozumieć – miała na sobie kraciaste szorty, kamizelkę w romby, wysokie po kolana buty na kaczuszkach i czapkę bejsbolówkę. Takie podejście Ryan do indywidualnego stylu.

Stała w tłumie, trzymając kota, wciśnięta między Istoty Ciemności i w scenerii tej postindustrialnej hali magazynowej tak bardzo nie na miejscu, jak mogłaby tu być śmiertelniczka z zastępu skautek. Ta siostra Ridley sama by tu nigdy nie trafiła. Ktoś inny maczał w tym palce.

*Ktoś potężny.*

*Ktoś, kto chce mi uświadomić swoją potęgę.*

Ucieczka nie wchodziła w grę. Nie mogła zostawić tu Ryan.

Walka też odpadała. Ridley nie do końca wiedziała, z czym przyszło się jej mierzyć, pewne pojęcie jednak miała.

Ten ruch powiedział jej więcej niż większość pozostałych. Drapieżnika potrafiła wyczuć na kilometr, a jeszcze lepiej to, gdy ktoś brał nad nią górę.

*Szach i mat, Lennoksie Gates.*

Przebywała w Nowym Jorku, na jego terenie. Przywlokła tu swojego chłopaka i włożyła do puli całą jego i swoją przyszłość. A teraz patrzyła na swoją młodszą siostrę.

Po raz pierwszy dotarło do Ridley, że wywikłanie się z tej kabały może się okazać trudniejsze, niż zakładała. Nie doceniła swego przeciwnika. A myślała, że po Sarafine i Abrahamie już nigdy sobie na to nie pozwoli.

Dłoń Ridley zamknęła się na przegubie Ryan, zanim tamta zdołała cokolwiek powiedzieć.

– Zabieraj się stąd.

– Dlaczego? – Ryan wyglądała na zaszokowaną. – Myślałam, że mnie zaprosiłeś? Na występ Linka.

– My cię nie zapraszaliśmy. – Ridley już ciągnęła Ryan ku drzwiom, co łatwe nie było, zwłaszcza że o mało nie przewróciła inkuba, niosącego dzbanek czegoś, co według niej raczej nie było wodą z sokiem wiśniowym. Zgromił ją wzrokiem, gdy się obok niego przepychała.

– Jak się tu dostałaś, Ryan? – Siostrzane przesłuchanie jeszcze się nie skończyło.

– Tunelami.

– A mama sądzi?

– Mama sądzi, że nocuję u Jackie Eaton. – Ryan spojrzała za plecy Ridley. – Siemka, Link.

– Siemasz, Ryan. Kozacko wyglądasz. – Link nachylił się, by wykonać ten swój niezdarny uścisk, którym zawsze witał młodszą siostrę Rid tak, by w miarę możliwości ograniczyć dotyk.

– Czemu tu jesteś, Ryan?

– Bo przysłałaś zaproszenie.

– Nie wysyłałam ci żadnego zaproszenia.

– Oczywiście, że wysłałaś. Mam je w torbie. – Ryan zsunęła z ramion zamszowy plecaczek i rozpięła go. Wręczyła Ridley gładką czarną kopertę, zapieczętowaną czerwonym woskiem.

Na wosku odcisnięto literę S, a raczej podobiznę węża ułożonego w kształt litery S.

– „Ridley Duchannes i Wesley Lincoln pragną cieszyć się Twoim towarzystwem podczas prywatnego koncertu inauguracyjnego Syreniego Śpiewu. Świętuj wraz z nami otwarcie klubu Syrena.

U.s.o.o. & Z.d.z.t.”. – Ridley podniosła wzrok. – Co u diabła? To jakiś żart?

– Z.d.z.t.? – Link chyba się pogubił.

– Zachować do zdalnej teleportacji. To list z podróżą. Ryan musiała jedynie zejść gdziekolwiek do tuneli, trzymając go w rękę, i zaraz się tu przeniosła.

Oczy Ryan wciąż jeszcze błyszczały.

– To było jak przejażdżka ferrari.

Ridley pokręciła głową.

– Niełatwy to czar, raczej z tych świadczących o statusie. Wiesz, wielka impreza, transport zapewniony. Sam sprawdź. – Podsunęła list Linkowi.

Podniósł ręce.

– Mowy nie ma. Nawet tego nie dotknę. Paskudnie dość mam podróżowania. – Wyglądał na nie mniej przygnębionego od niej.

Wiedziała, że nie powinni byli tu iść. *Ale kto wówczas, skoro nie my, zająłby się Ryan?*

Ryan spochmurniała.

– Jeśli nie ty mnie zaprosiłaś, Rid, to kto to zrobił?

– Ja to zrobiłem. – Można było odnieść wrażenie, że te słowa dobiegły z nieba, znad nich obu i zza jej pleców. Ridley jednak wiedziała swoje.

Nie z nieba – z balkonu. Ridley od razu rozpoznała ten głos, choć nie słyszała go od tygodni. Wciąż napawał ją dreszczem.

Tego, który choć wyglądał na gorącego chłopaka, działał na zimno.

Tego, któremu winna była równowartość nie jednego, ale dwóch zetonów.

Tego, który mógł zrujnować nie tylko jej relacje uczuciowe, ale i życie.

To z jego powodu tu dzisiaj byli, i z jego powodu przyjechała do Nowego Jorku.

Ridley w końcu spotkała przeciwnika na swoją miarę, znanego jako Lennox Gates. Ryan to było jego posunięcie. Wyzwanie do starcia oko w oko. Syrena kontra inna Istota Ciemności, cokolwiek diabelskiego kryło się pod tym pojęciem.

Czas zapomnieć o partyjce łgarstwa. Prawdziwa gra dopiero się

rozpoczęła.

Przesłuchanie mogło być sprawą Linka, ale w grze to ona brała udział.

Zacisnęła pięść, skąpaną nagle w zielonej poświacie pierścienia więzi.

*Zaczęło się.*

\*\*\*

W chwili gdy się odwróciła, by na niego spojrzeć, w klubie zapanowało milczenie.

Nie milczenie – kompletna i totalna cisza, bo nikogo więcej już tu nie było. Wszyscy ludzie zniknęli i wyglądało na to, że pozostało tylko ich dwoje. Ridley słyszała, jak bije jej serce.

Lennox Gates rzeczywiście tam był, stał przy poręczy górującej nad nią platformy. Wzrok miał tak intensywny, a oczy tak naznaczone złotymi cętkami, jak to zapamiętała. Coś w nich przywodziło na myśl Ogień Ciemności.

*Czysta moc.*

Ridley nie potrafiła dostrzec, co miał pod skórzaną kurtką, wyraźnie jednak było widać, że cokolwiek to jest, skrywa sprężystą, atletyczną sylwetkę. Złote włosy spadały na policzki i niemal skręcały się w loki, zwłaszcza bliżej szyi. *Wygląda jak uosobienie ambicji,* pomyślała.

*Wygląda jak zagrożenie.*

Ridley nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji, że zrobił na niej wrażenie swoją sztuką magiczną.

*Każdy by to potrafił – ale właściwie co? Opróżnić halę pełną napakowanych zaklęciami i potężnie chronionych Obdarzonych? Ot tak, rzucić zniekształcenie czasu?*

*Nikt tego by nie potrafił, może jedynie Lena. Ale i jej nie przyszłoby to łatwo.*

To Ridley musiała przyznać. Serce jej tak waliło, że zastanawiała się, czy mógłby to słyszeć, choć od tego zastanawiania waliło jeszcze mocniej.

*Rid, weź się w garść.*

Odezwała się pierwsza. *Nie pęknij pierwsza,* pomyślała. *Nastaw się na długą grę. Skup się na tym, w jaki sposób zniszczysz tego*

*osobnika.*

– Musisz być bardzo dumny z siebie, że czegoś takiego dokonałeś.

Ani na chwilę nie stracił z oczu jej twarzy.

– Niemal nigdy nie odczuwam dumy. Mówi się, że kroczy ona przed upadkiem, a ja upadać nie zamierzam.

– To zabawne, bo ja jakoś nie zamierzam brać sobie tego do serca. A co właściwie zrobiłeś pan z tymi sympatycznymi ludźmi w klubie, panie Gates?

Lekceważąco machnął ręką.

– Nadal tu są. Przeżywają noc swego życia. A przynajmniej tak sądzą.

*Przemądrzały palant.*

– Mówisz o mojej siostrze i moim chłopaku – oznajmiła Ridley. – Lepiej sprowadź ich z powrotem, bo pożałujesz, że się spotkaliśmy.

– Skąd wiesz, że już nie żałuję? – Teraz się uśmiechał.

– A co mnie to obchodzi? – Odpowiedziała też uśmiechem. – Jeśli stanowią dla ciebie jakiś problem, gwarantuję, że się po tysiącokrotnie pogorszy. Popytaj. Jakoś jestem z tego znana.

– Już się nie mogę doczekać. – Pstryknął palcami i momentalnie powrócił gwar, chaos oraz przenikająca ten klub, niepohamowana adrenalina. – Kto ci powiedział, że jesteś dla mnie problemem? Tęskniłem za tobą od naszego spotkania w Udręce.

\*\*\*

Ponownie strzelił palcami i ludzie po raz drugi zniknęli.

– Widzisz? Wszyscy są szczęśliwi jak skowronki. – Skinął ręką w jej stronę. – Ale to jest mój czas. Twój i mój czas. Co tam trzymasz w ręku?

Ridley opuściła wzrok na czarną kopertę, którą dała jej Ryan. Wystarczyła chwila, by hala wokół niej utonęła w jeszcze głębszej czerni.

## ROZDZIAŁ 17

### *Running with the Devil*

Ridley zakręciło się w głowie. Potem ciemność ustąpiła miejsca światłu. Lepiej jednak przez to nie było, gdyż zbyt wielki blask nie pozwalał jej nic zobaczyć. Powoli, w miarę jak pokój nabierał kształtów, docierało do niej, że patrzy w płomień świecy.

– Coś słodkiego? Wydajesz się odrobinę oszołomiona. – Przez światło przebił się głos Lennox.

Podniosła wzrok. Siedziała naprzeciw Lennox Gatesa przy czymś, co wydawało się odosobnionym dwuosobowym stolikiem. *Transport zapewniony*. Zapomniała, że trzyma to przeklęte zaproszenie.

Skrzywiła się. Już dwukrotnie pokazał swoją wyższość. To było bardziej niż krępujące. Po prostu wkurzające.

– Jak ci się udało posłużyć listem z podróżą wewnątrz klubu, skoro cała ekipa inkubów krwi zmuszona była zakończyć podróż na zewnątrz i jak każdy, wejść drzwiami?

– To ja związałem ten klub. Mogę tu przybywać i go opuszczać w taki sposób, w jaki zechcę. – Wyglądał na tak zadowolonego z siebie, że jeszcze bardziej zirytował tym Ridley.

– Tylko ty?

– Tylko ja i każdy, komu wręcę to zaproszenie. – Lennox znów się uśmiechnął. – Nektaru Bogów? – Podniósł karafkę, tak wysoką i wysmukłą, że wyglądała na szyję jakiejś nieszczęsnej, martwej gęsi. Ku powierzchni gęstego jak syrop napitku powędrowały złote bąbelki. Ridley pociągnęła nosem i wyczuła trzcinę cukrową, esencję słodczy w jej najczystszej postaci.

*Kocimiętka dla syren. Dobry jest.*

– Idź do diabła, Lennoksie Gatesie. – Tylko na tyle zdołała się zdobyć.

Skinął życzliwie głową.

– Proszę. Mów mi Nox. Poza tym jestem pewien, że tam pójde. Można to nazwać rodzinną tradycją. Najpierw jednak może uczcimy toastem nasze wspólne przedsięwzięcie?

Ridley odrzuciła czarną kopertę jak jakiś gorący węgielek.

– Nie. I koniec z tanimi sztuczkami. Proszę.

Zaczynała dostrzegać otoczenie. Ta sala niczym nie przypominała reszty klubu. Wszystko podporządkowane było kojącemu mrokowi – story z czarnego aksamitu, sprawiające wrażenie wiekowych, pod niskimi ścianami i łukowatym sklepieniem kryte czarną skórą boksy, wygięte na kształt muszli, a także masywny kominek z czarnego kamienia, który zdominował jeden z odległych krańców sali.

– Może więc głodna? Nawet syreny muszą jeść. – Wypolerowany metalowy krąg, stanowiący blat stolika, pokrył komplet trójkątnych podkładek z czarnej skóry. Na kryształowym talerzu przed Ridley stanęła srebrna czara. Gdy do niej zajrzała, była pusta.

– Może coś z Wielkiego Bazaru? Lubisz Stambuł?

Gdy Ridley ponownie zerknęła, czara pełna była słodkich plastrów miodu, ociekających złotym syropem o zapachu przypominającym dziki wiciokrzew. Nad leżącym na wierzchu leniwie pobrzękiwała spasiona pszczoła. Na kryształowym talerzu, tuż przy czarze, piętrzyły się trójkątne kawałki czegoś, co wyglądało na świeżą pistacjową bakławę i rachatlukum.

*Potrafi też materializować. Świetnie. Ma więc we krwi coś ze sztukmistrza.*

Sztukmistrzostwo. Zniekształcanie czasu. Podróżowanie. Jego moce zdawały się łączyć wszelkie typowe przymioty Obdarzonych. Jej dług wobec Lennox Gatesa budził coraz większy niepokój.

Postarała się nie panikować. Nakazała sercu bić wolniej.

*Nie ma się czego bać.*

*Po prostu kolejny kawał drania.*

*Widywałaś gorszych. Z gorszymi sobie radziłaś.*

Ridley wzięła się w garść i podniosła wzrok na Lennox Gatesa, kręcąc głową przecząco.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. Daruję sobie.

*To tutaj. Ciebie. To wszystko.*

– Może coś paryskiego? Małe *je ne sais quoi*<sup>1</sup> z La Maison Angelina? Dla *la petite Sirène*?

Talerz zapelniał się teraz truflami w ciemnej czekoladzie, gęsta, parująca czekolada pojawiła się też w delikatnej filiżance.

*Szpaner.*

Ridley podniosła się.

– Pokazałeś, o co ci chodzi. Zwabiłeś moją siostrę. Zmusiłeś mnie, bym wydała ci mojego chłopaka. To jasne, że zależy ci na pozbawieniu mnie przyszłości.

– I? – Nox wyglądał na tak zaciekawionego, jakby się tym wręcz bawił. Miała więc powód, by jeszcze bardziej go zniechęcić.

– A poza tym, w żadnym razie nie zamierzam sobie pozwolić na flirt z tobą.

– Na flirt ze mną? Myślisz więc, że o to chodzi?

Lennox zaczął się śmiać, po raz pierwszy. Wyglądał przez to prawie zwyczajnie, co wzbudziło w Ridley większy niepokój, niż mogła się spodziewać.

– Nie pochlebiaj sobie, Mała Syrenko. – Wlał do swojego szkła trochę tego pianistego napitku. – Usiądź.

Zrobiła to wbrew swojej ocenie sytuacji – a jeszcze bardziej zirykowało ją, że nie potrafi szczerze przyznać, czy to on ją do tego zmusił, czy też nie. *Nie dałby rady*, powiedziała sobie; nie widziała dziś ani jednej syreny, a przecież wiedziałyby, że ktoś taki jest w klubie.

*Wiedziałyby?*

Nie spotkała dotąd nikogo, zdolnego tak odwracać sytuację na jej niekorzyść. Nie miała pojęcia, jak to jest być do czegoś zmuszoną, im więcej jednak się nad tym zastanawiała, tym większego nabierała przekonania, że tak właśnie by to wyglądało.

– Za Syreni Śpiew! – Podniósł kieliszek. – Niech im się długo gra rocka.

Nie podniosła swojego.

– Co Syreniego? Masz na myśli Szamanów Diabła?

– Z uwagi na mój nowy klub zmieniłem nazwę kapeli.

Chwytniwa, prawda?

– Nie bardzo.

Nox, mimo to, stuknął swoim kieliszkiem w jej jeszcze nietknięty i się napił.

– W porządku. Pozwól, że powiem bez ogródek. Chodzi o interesy. Podczas tamtej rozgrywki pokonałaś moją perkusistkę, kompletnie pozbawiając go mocy. Nie miałem pojęcia, że perkusista, którego w zamian zaoferowałaś, jest twoim chłopakiem. Przyznaję,



sytuacja jest dla ciebie niezręczna.

– Czemu odnoszę wrażenie, że jednak mogłeś mieć pojęcie, iż mój chłopak jest perkusistą? – Rozejrzała się. – Oboje też wiemy, że winna ci jestem coś jeszcze. – W końcu spojrzała mu w oczy.

– No, tak. Winna mi jesteś przecież wykupienie dwóch żetonów? Jak wiesz, twój perkusista załatwia tylko jeden z nich. Ale się nie martw. Gdy będę chciał spełnienia drugiego, powiem ci to. – Lennox odgarnął złote kosmyki, przesłaniające mu oczy. – Żeton domu: do wykupienia, gdy zażadam.

Dreszcz przeszedł Ridley. Nie trzeba jej było przypominać. Co noc rozmyślała o tym, kładąc się spać. *Oto jak przegrałam o wiele więcej niż tylko grę.*

– Nie ma pośpiechu. Dowiesz się, czego chcę, kiedy tego zechcę. A zapewniam cię, że to zrobię. – Przyjrzał się jej. – To znaczy, zechcę.

Nie zareagowała.

– Pamięć mam wyjątkową. – Uśmiechnął się. – Zwłaszcza gdy chodzi o moje żetony.

Ridley struchlała. Po raz pierwszy nie miała nic w zanadru. Żadnej błyskotliwej riposty, żadnej kąśliwej obelgi – niczego, co mogłoby podważyć fakt, że postradała jedyną rzecz, jaką ceniła ponad wszystko.

Władzę.

Władzę, dającą jej wolność.

*Mnie i Linkowi.*

Lennox uniósł brew, ponownie podnosząc do ust swe żłobione szkło.

– A skoro o tym mowa, jak twój hybrydowy chłopak przyjął to, że przehandlowałaś jego przyszłość za swoją własną?

– To nie jest tak – zaprotestowała Ridley.

– A więc jak jest, *cukiereczku*?

Przywołania pieszczotliwego zwrotu, jakiego używał w stosunku do niej Link, nie potrafiła znieść.

– Linka z tego wyłącz.

– Wesleya Lincolna? Najgorszego studenta na pierwszym roku fikcyjnej szkoły Georgia College pod wezwaniem Odkupiciela? Wiesz, że tego zrobić nie mogę. – Lennox westchnął. – Muszę jednak powiedzieć, że cieszę się, iż go znam.

– Nie znasz. – Poczwała, jak wzbiera w niej nieznany dotąd chłód.  
– Nie znasz go. *Ani mnie, tak przy okazji. Inaczej byś sobie na tyle nie pozwalał.*

– Nie spuszcza z oka żadnej mojej inwestycji. Ta twoja do niedawna śmiertelna życiowa pomyłka będzie grać u mnie w kapeli, pracować w moim klubie i robić, czego sobie zażyczę, jak tylko zechcę. Jak wszyscy u mnie.

– Po moim trupie.

– Uważaj, co mówisz. Nie wiesz nawet, jak wielu ludzi ustawiłoby się w kolejkę, by ci to ułatwić. – Podniósł kieliszek. – Ja natomiast wiem. Moje gratulacje. Przyznam szczerze, że pojęcia nie mam, jak ci się udało przez taki krótki czas rozeźlić takie mnóstwo ludzi. Tak rozeźlić i tak zniecierpliwić. – Pokręcił głową. – Zdolna z ciebie dziewczyna.

Ridley już nie truchlała. Chwyła swojego drinka i chlusnęła Lennoxowi w twarz.

– Co to ma... – Aż się zakrztusił.

– Pieprzyć ciebie, Lennoksie Gatesie. Pieprzyć twoje rozrośnięte ego Obdarzonego i twój szpanerski klub Syrena, i twoją nieudaczną kapelę. Nie wiem, o co tu naprawdę chodzi, wiem za to, że nie ma to nic wspólnego z tym, co zaszło podczas tamtej partii kart.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Mała Syrenko.

– Mówię o twojej ustawionej grze i twoich wstrętnych żetonach. Mówię o tym, jak szpiegowałeś moją rodzinę i mojego chłopaka.

– Szpiegowałem was? – Gdy odstawiał kieliszek, jego ciemne oczy aż lśniły. – Wiesz, co widzę, gdy na ciebie patrzę, Mała Syrenko? Płomienie. Dym i ogień. Wyłącznie taką przyszłość. Nie wiem, co to wszystko oznacza, część jednak mogę ci wyłożyć.

– Nie krępuj się. *Świetnie. Do tego jeszcze jasnowidz.*

– Co ty na to, że twoja przyszłość pójdzie z dymem? – Już się nie uśmiechał.

– Wpieprz się w moje sprawy, to się poparzysz. – W oczach Ridley czaiła się śmierć.

– Wiesz, mógłbym na to odpowiedzieć na tak wiele sposobów. – Nox uniósł brew.

– Masz tu jeden. Przyczep się do moich przyjaciół, a przyjdę po ciebie. – Wstała. – A jeśli jeszcze kiedyś odezwiesz się do mojej

siostry, znaczy do którejkolwiek z moich sióstr, to lepiej spraw sobie większego wykidajkę. Bo będzie zadyma, Lennoksie.

Lennox podniósł ręce, z tą czarną kopertą – w geście poddania.

– Chyba powinienem być szczęśliwy, że nie wpisuję się w twoją przyszłość.

– Wierz mi. Nigdy nie było w niej dla ciebie miejsca.

– Trzeba zapamiętać. A to oddaj swojej siostrze. Jak tylko dotknie, znajdzie się w domu.

Ridley wyrwała mu ją z ręki. Odeszła, wkurzona, nawet się na niego nie oglądając, choć pojęcia nie miała, ani gdzie się tamci znajdują, ani dokąd ma iść.

– Schodami po twojej lewej. Nie sposób ich przegapić. – Od strony stolika za nią dobiegł śmiech. Wyglądało na to, że dobrze się bawił, i to wzbudziło w niej jeszcze większą wściekłość.

Prawie już doszła do drzwi, gdy usłyszała dźwięki, których z niczym nie dałoby się pomylić, muzykę, dobiegającą z dołu, z klubu. Pomruk basu. Wizg gitary prowadzącej. Perkusję. Boże, perkusję.

Znała tę melodię. Słuchała jej ostatniej nocy, gdy ćwiczył, myśląc, że zasnęła.

Słodkie eskalopki. To Słodkie eskalopki.

*Link gra to z kapelą.*

*Jak nazwał ich Lennox Gates? Syreni Śpiew?*

Niespodziewanie coś wyczuła. Lennox Gates stał tuż za nią. Odezwał się cicho i – tak trzeba to opisać – groźnie:

– Nie ja jestem największym problemem twojego chłopaka, Mała Syrenko. Zakładam jednak, że już to wiesz, wszak oboje jesteśmy Istotami Ciemności.

Ridley nie spieszyła się z odpowiedzią. I nie spojrzała na Lennoxa, gdy zapytała:

– Co wiem?

Lennox bawił się wyjętą z kieszeni książeczką zapalek.

– Że się na niego szykują. Że jest chodzącym trupem.

Szczęśliwego zakończenia nie będzie, nie dla idioty, który porwał się na Abrahama Ravenwooda. – Zbliżył się do niej o krok. – Jak już mówiłem, Obdarzeni mają dobrą pamięć. Inkuby jeszcze lepszą. Tobie jednak nie muszę tego przypominać, prawda?

Ridley czuła na karku jego oddech.

Mówił dalej.

– Rozejrzyj się. Co drugi z nich tu jest. To klub Istot Ciemności. Ja jestem Istotą Ciemności. Jak sądzisz, jaką mam klientelę?

– Zamknij się. – Nie była w stanie na niego spojrzeć. – Nie wiesz, co gadasz.

– Nie wiem? A jak sądzisz, czemu chcieliśmy, żeby tutaj pograł na tych swoich bębenkach? Właśnie tutaj? – Nox wzruszył ramionami. – Bo czemu nie? Mój interes to dawać ludziom, czego pragną. Tym się zajmuję. Jeżeli ktoś życzy sobie, żebym mu dostarczył hybrydowego inkuba, mam pytać, po co? – Serce Ridley waliło, ale Nox jeszcze nie skończył. – A jeśli zażyczy sobie jego przyjaciół? Co wtedy?

*Co wtedy?*

Ridley nie chciała nawet o tym myśleć. Ta rozmowa stawała się niebezpieczna, dla niej i dla Linka. Niebezpieczna i potencjalnie śmiertelna. Lennox Gates był w stanie odrzeć ją z jej mocy lub samemu je wykorzystać. Mógł zmienić jej życie w piekło albo położyć mu kres.

Nie mógł jednak – nie miał prawa – wtrącać się w sprawy jej Skurczaka.

*Dość tego.*

Ridley odwróciła się, powoli, z ogniem w oczach.

– Te dwa żetony. To sprawa między tobą a mną. Linka z tego wyłącz.

– Jakaś ty honorowa.

– Ja spłacę swoje długi, a ty będziesz trzymał gębę na kłódkę.

Nox znów wzruszył ramionami.

– Nie chcesz, to mu nie mów. I tak po niego przyjdą. – Rzucił jej zapalki. – Zawsze przychodzą.

Sam nie wiem (fr.), tutaj oznaczające „małe co nieco”: słodczyce z szacownej paryskiej cukierni, znanej od przeszło stulecia. [wróć]

## **ROZDZIAŁ 18**

### ***Metal Gods***

*Jej smak tak kusił, że zwać się powinna Lucy.*

*Przez przypraw parę pokochałem ją jak gitarę.*

*A gdy trafiła w sos, wiedziałem, to ona jest boss.*

*Kiedy wreszcie w bulce ją znajdę, wiem, że będę miał*

*Eskalopkową frajdę.*

*Słodkie eskalopki* były koronnym dziełem Linka jako tekściarza – przejmującą balladą, którą napisał na cześć kanapek, których nie było dane mu już jeść. Co w jego wydaniu niewiele, zdaniem Ridley, różniło się od śpiewania o złamanym sercu. Lub o paszteciku z mięsnego.

Miłość ma wiele twarzy.

Dziś jednak chodziło o coś więcej. Tę noc Ridley mogła już uznać za popsutą, a gdy zeszła na główny poziom klubu, miała wrażenie, że widzi wyłącznie inkuby, przesuwane ku niej w cieniu, oraz Istoty Ciemności, wpatrujące się w nią złotymi ślepiami.

Ridley i Link – i Ryan, o Boże, Ryan – powinni byli czym prędzej wydostać się z Syreny.

Ale Syreni Śpiew wciąż jeszcze grał, publika zaś słuchała. Wypadali dobrze – według Ridley, lepiej, niż można było się spodziewać. Tyle tylko, że to mogło występ przedłużyć. Gdy rozbrzmiał refren (*Obtoczcie mnie w okruchach. I tak nie będę za sucha*), tłum podjął śpiew.

*A to ci dopiero!*

Wypatrzwszy w tym tłumie Ryan – podskakującą i wrzeszczącą: *Obtoczcie mnie! W okruchach!* – Ridley ruszyła ku niej najprostszą drogą.

A gdy do niej doszła, Ryan tak była wpatrzona w Linka, jakby nigdy wcześniej go nie widziała. Jakby był teraz kimś z okładek magazynów dla nastolatek, a nie zwykłym gościem, któremu żal wyrzucić stare magazyny motoryzacyjne.

*Tylko nie ty.*

Niemal ciężko było na to patrzeć.

Link stał na środku sceny, to giął się nad mikrofonem, to odchyłał go z całym statywem, jakby w wolnym tańcu z nim. To było jego przesłuchanie. Pozwalali mu na wszystko, cokolwiek sobie zamarzył. Widać to było po sposobie, w jaki wszyscy na niego patrzyli.

*Link jako frontman? Szykują mu klęskę?*

Tak czy inaczej, Link raczej się tym nie przejmował. Wyglądało na to, że przeżywa najwspanialszą noc swego życia.

– *Wiesz, że cię kocham, bossie w sosie mój* – zanucił wyimaginowanej eskalopce. Mikrofon zatrzeszczał entuzjastycznie, a publika zaniósła się wrzaskiem.

*Z tego mikrofonu byłaby zapewne lepsza dziewczyna, niż ja kiedykolwiek będę,* pomyślała Ridley, nie bez poczucia winy.

Westchnęła.

W głębi sceny niebieski pseudoirokez Necro miotał się na wszystkie strony nad olbrzymim keyboardem, jakby dostał własnego rozumu. Sampson stał obok Linka, śpiewając z nim do mikrofonu – z tymi swoimi wytatuowanymi ramionami i hipnotyczną aparycją, które przywodziły jej na myśl ich pierwsze spotkanie w Udręce. Jego dłonie śmigały po strunach ultranowoczesnej gitary elektrycznej. Cały się wyginał na kształt mocno rozwartego U, czy raczej harfy. Za Sampsonem Floyd szyla na basie, prawie tak wielkim jak ona sama. Ridley nie miała pewności, czy i ta gitara stanowiła część jej ciała, czy też nie.

Na środku sceny czekał na Linka hipsterski zestaw perkusyjny w czerwonej szkocką kratę. Gdy tłum się rozwrzeszczał, Link rzucił mikrofon i podniósł pałeczki, by znów się wsunąć za gary. Perkusja od zawsze była tym instrumentem, który można mu było bezpiecznie

powierzyć. W najlepszym razie skutkowało to głośnym bębnieniem. W najgorszym – kończyło się też na głośnym bębnieniu. Było w tym coś krzepiącego.

Wrzask tłumu nabierał mocy.

– *Obtoczcie mnie! W okrucinach!*

Syrenia Pieśń rozkołysała tę budę.

Ridley miała już tego dość.

– Ryan...

Oczy młodszej siostry pojaśniały, gdy tylko zobaczyła Ridley na parkiecie obok siebie.

– Wreszcie jesteś, bossie w sosie mój.

– Nigdy więcej tak nie mów. – *Żadnego Syreniego Śpiewu.*

*Żadnego Meatstika. Żadnego tekściarstwa.*

– Przegapiłaś większość numerów. Link był tak...

– Mhm. Pozdrów ode mnie mamę. Całusy. – Ridley wcisnęła Ryan kopertę w dłoń i tamta zniknęła. Przez tę muzykę nawet się nie słyszało podróży.

Ridley odetchnęła z ulgą. Siostra była bezpieczna. Na razie.

*Twój ruch, Gates.*

Zamknęła oczy i stanęła pośród tego tłumu, wsłuchując się w muzykę. Coś tu było nie tak. Czuła to niemal na języku.

Skóra jej przez to cierpła.

Pokaż się. Ujawnij.

*Wyczuwam cię. Wiem, co robisz.*

Otworzyła oczy. Nie wiedziała, jakiej odpowiedzi się spodziewa, ale i tak żadnej nie było.

Nie pozostało jej nic innego, jak sprawdzić torebkę, gdzie czekał pieczołowicie opakowany, ostatni wiśniowy lizak.

W powietrzu wokół niej gęstniała bowiem moc przekonywania. Ridley była tego najzupełniej pewna, chociaż nie działało się to za jej sprawą.

I to rodziło kolejne pytanie...

Za czyją mianowicie?

\*\*\*

Za kulisami, pod gęstwą rusztowań, reflektorów, zapasowych wzmacniaczy i przedłużaczy Syreni Śpiew świętował. Strzelały korki, a strugi szampana – chociaż nie, sądząc z zapachu, taniego napoju

gazowanego z poroztrząsanych puszek – bryzgały na wszystkie strony.

*Rany! Myślałby kto, że Syreni Śpiew nigdy jeszcze nie zagrał żadnego hitu przed tak napakowaną salą rozwrzeszczanych fanów.*

Bo i nie zagrał.

– Chłopie. Narobiliśmy dymu. – Floyd kuksnęła pięścią Linka. – Jak Roger Waters.

– Jak przy wędzeniu bekonu. – Pięść Linka odpowiedziała jej tym samym.

– Jak z cygara – dodała Necro. Przez twarz przemknął jej jakiś cień, ale Floyd zaraz ich oboje ochlapała, podczas gdy Sampson się uchylił, i niedługo potem Necro, jak oni, pękała ze śmiechu. Gdy pięść Floyd zaczęła rzeczywiście dymić, Ridley pokręciła głową i odciągnęła Linka na bok.

*Ci iluzjoniści.*

Link otoczył Ridley ramieniem.

– Załatwiłaś mi najlepszy występ w całym moim życiu, mała. – Pocałował ją, cmoknął w usta, nawet nie przestając się uśmiechać. – Widziałaś, jak publika odjechała, gdy zagraliśmy. Pokochali nas.

– No, pokochali. A teraz musimy się stąd zabierać.

Link wycelował w Rid palec.

– Obtoczcie mnie! W okruchach!

– Słyszałam to – powiedziała. – Cały przepis. Byłam tam.

Chodźmy już.

Link spojrzął jej w twarz i ustąpił. Wyraźnie było widać, że ze świętowania dziś już nic nie będzie.

– No, co ty? Rany. Co znowu? Czemu masz taką krzywą minę?

– Idziemy, Link. – Ręce jej opadały. Do niego nic nie docierało. – Zastanowiło cię, czemu wszyscy śpiewają ten refren?

Wzruszył ramionami.

– Bo eskalopki są niesamowite. Tak samo jak Syreni Śpiew. Tak samo jak ja. – Nie przestawał się uśmiechać.

– Albo? – Ridley popatrzyła na niego. Czuła w piersi narastający niepokój.

– Co za albo? Do czego zmierzasz? Pokochali nas, bo ich rozwaliliśmy. Bo Floyd dała czadu, Necro zaszalała, a Sammy Boy ich rozjechał. Meatstik to przy nas siekanka. – Link zaczynał wyglądać na



urazonego.

*Ostrożnie*, upomniała sobie Ridley. Tyle że Ridley nigdy nikogo nie słuchała – nawet siebie samej. I o wiele za dużo czasu spędziła z Lennoxem Gatesem, by nie wiedzieć, o jak wysokie stawki gra.

Tu na ostrożność nie było czasu.

– Naprawdę, Link? – Ridley skrzyżowała ramiona na piersi. – Serio chcesz, żebym to teraz powiedziała?

– Tak, serio – odparł Link. Też skrzyżował ramiona.

– Ponieważ nie chciałabym ci psuć nastroju, ale wszyscy, którzy was oglądali, byli na haju. – Stało się. Powiedziała to.

– Co takiego?

– Syreni śpiew. Sok szczęścia. Moc przekonywania. Jak zwał, tak zwał. Zostali zauroczeni. Cały ten lokal. To nie twoja zasługa, tylko ich. – Wyzywająco potrząsnęła włosami, dla wzmocnienia tych słów.

– Nie to chciałaś powiedzieć. – Link aż zeszywniał. – Chciałaś powiedzieć, że nie moja zasługa, tylko twoja. – Ridley nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała go równie wściekłego. Zła była, że musi brnąć w to dalej, ale nie miała wyboru.

Pokręciła głową.

– Posłuchaj mnie dobrze. Oprócz bramkarza nikogo dzisiaj nie zauroczyłam. Powiedziałam ci, że tego nie zrobię, i nie zrobiłam. Ale skoro ktoś inny tak z tobą pogrywa, musimy się stąd wynosić.

Link przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– Słyszysz, jak to wariacko brzmi? Wkurzyło cię, że raz dobrze wypadłem?

Ridley chwyciła go za przeupocony rękaw.

– Nikt w Syrenie nie życzy ci dobrze. Nie możemy ufać Lennoxowi Gatesowi. Ta cała sprawa była ustawiona. Czemu to się nie może przebić przez twoją grubą czachę?

– Nie wiem, Rid. Może z uwagi na dziurę w miejscu, w którym powinienem mieć mózg?

– Link...

– Ale głowa do góry. Dla ciebie mam inną dziurę i postaram się, żeby była jeszcze większa. To ta między tobą a mną. – I Link odszedł, zanim zdążyła powiedzieć choć słowo.

Ridley osłupiała.

Zamknęła oczy i wyciągnęła ręce, używając swych mocy, by się

przekonać, jaki naprawdę jest ten klub pod powłoką tętniących basów; ponad grubą warstwą rozmów i szczęku szkieł; za brzęczącymi światłami i rykiem nagłośnienia.

*Co tu jest grane?*

Wyczuwała w powietrzu gęsty eliksir cukru, miedzianą woń krwi, Ogień. Kuchnię. Coś się gotowało, jak to w restauracji. Dym z cygara czy dwóch.

Swą własną słodką moc.

Generalnie był to zapach Udreki, Wygnania czy wszelkich innych klubów Obdarzonych, w których bywała.

Ridley wyczuwała moc, jednak nie różniącą się od jej własnej. Gęstą chmurą rozpraszała się w powietrzu wokół niej, jak to moc przekonywania. Nie można było tylko określić, kto za nią stoi. O ile Rid się orientowała, była jedyną syreną w tym klubie. I nie używała na nikim swej mocy.

*Czyżby mi odbiło? Czy tylko się pogubiłam?*

Niestety, jej chłopak zniknął właśnie w tłumie przed nią i nie miała czasu czekać na odpowiedź.

## ROZDZIAŁ 19

### *Something to Believe In*

Link!

Ridley przepychała się przez ciżbę w ślad za nim, usiłując nadążyć. Poszła za nim do schodów, na dół, do westybulu i za drzwi oznaczone słowem BROOKLYN. Chwilę później stanęła samotnie na pustej ulicy, smętną deszczową nocą, ale było już za późno.

Przepadł, a ona nie była hybrydowym inkubem. Nie dotrzymałaby kroku. W tych butach ledwie szła. I nie miała kurtki.

Nawet kotka Lucille Ball popatrzyła na nią litościwie, sucha, bo pod markizą tutejszego sklepu z alkoholem, bębniąc ogonem w pokrywę śmietnika.

Lucille zamiauczała współczująco.

*Co za bajzel.*

Nie tą drogą weszli i Ridley była najzupełniej pewna, że nie tędy powinni byli wyjść. Drzwi, które otworzyły się na tę ulicę, wydawały się należeć do chińskiej pralni automatycznej. Ogłoszenia w języku mandaryńskim w oknach obiecywały coś, co wyglądało na darmowy detergent do każdej porcji prania. Na istnienie klubu wskazywał tu chyba tylko neonowy znak kanji.

Znajomość kanji nieco zardzewiała, ten symbol jednak Ridley знаła. Znany był syrenom na całym świecie, popularny był też jako wzór tatuażu – obok całego mnóstwa bardziej magicznych, właściwych Istotom Ciemności. Poza tym wyglądał tak samo w zapisie chińskim, w japońskim kanji czy w starokoreańskim hanja. W najbardziej schematycznej postaci, sprowadzał się do maźnięć pędzelka, kreślących kwadratowy korpus z ogonkiem.

Ptak.

Symbol ten ulegał niekiedy pewnym zmianom. Czasem przypominał człowieka ze skrzydłami; to znów ptaka podnoszącego się z popiołów, niczym feniks; kiedy indziej żurawia, ptaka wyróżniającego się długim życiem i wielkim duchem.

Za każdym razem jednak był to ptak.

Był to też znak syreny, uznany też przez tak wyrafinowany i irytujący klub jak Syrena. Bo jeśli sięgnąć do źródła, tym właśnie były syreny – pięknymi ptakami, śpiewającymi o gniazdach uwitych z koszmarów. Skrzydlatymi stworami, którym nigdy nie było dane latać swobodnie. Zbyt często same to sobie sabotowały. Ich paznokcie to były szpony, i to tak ostre, że kaleczyły błyskawicznie, i nigdy nie było wiadomo, czy już się nie krwawi.

Nawet gdy – w połowie – była to ich własna krew.

Syreny były popieprzonymi tworamii Ciemności. Bez dwóch zdań.

Rid wycofała się spod drzwi, dalej od tego klubu, wybierając ulicę. Była na Brooklynie. Tyle wiedziała.

Na prawdziwym Brooklynie. Na Brooklynie śmiertelników.

Tam, gdzie się mieścił też klub Syrena.

Który był tym, czym był. To już nie ulegało wątpliwości. Ten znak, ta nazwa: Syrena – nawet nie próbował tego ukryć. To był jego mały żart dla wtajemniczonych.

*Lennox Gates ma kogoś, kto rzuca urok na cały klub. Ma na swoich usługach syrenę. Ridley zadygotała. Słyszała już o czymś takim. Ją samą Abraham Ravenwood więził niegdyś w klatce, aż przystała na spełnianie jego poleceń. Nie było to częste, nie było też czymś, do czego chciałyby wracać myślą. Uszczuplanie sił jakiejś nieszczęsnej syreny. Nakazywanie innemu załatwiania swoich brudnych sprawek.*

Wzdrygnęła się.

Tego, że w tym wszystkim – w klubie Syrena, w Syrenim Śpiewie – czuło się rękę jakiejś syreny, Ridley była pewna.

*Po co?*

*Co to ma wspólnego ze mną?*

*Czego Lennox Gates chce ode mnie? Od nas?*

*I gdzie, do diabła, jest mój chłopak?*

Ridley będzie musiała go znaleźć.

\*\*\*

Dziesięć przecznic dalej, gdy deszcz tłukł z dziesięć razy mocniej, Ridley znalazła Linka.

Gwoli ścisłości – to Lucille go znalazła. Rid zauważyła tylko

kotkę, stojącą na ulicy i rozżaloną. Oczywiście Lucille udało się uniknąć zmknięcia. Ta kotka miała dziewięćset żywotów, a w każdym z nich wiodło się jej lepiej niż jakiegokolwiek syrenie.

Lepiej też niż nieledwie śmiertelnikowi. Zwłaszcza temu konkretnemu.

Link siedział na porzuconej kanapie, w połowie stojącej na chodniku, w połowie zaś na jezdni. Rozmiękłe poduchy o barwie zielonych rzygowin nasiąkły wodą bardziej niż gąbki w akwarium, by użyć jednego z powiedzeń Linka, jemu jednak widać nie przeszkadzało, że siedząc na nich, jeszcze bardziej przemoknie. Nie tym razem.

Znała ten jego nastrój. Już nic go nie obchodziło.

Nawet wściekłość mu przeszła.

Posunęła się bowiem za daleko, chociaż jej zdaniem, granicę tę przekroczyła już tak dawno, że nie była w stanie sobie przypomnieć ani kiedy, ani dlaczego, ani w jaki sposób do tego doszło.

Ciężko było spamiętać wszystkie ścieżki, gdy namnożyło się ich tak wiele.

Usiadła obok Linka.

Nie spojrzał na nią. Pomimo deszczu, bijącego go po twarzy, wpatrywał się w przygnębiający park ze spękanymi chodnikami po drugiej stronie skrzyżowania.

– Ty nie wierzysz, że może mnie spotkać coś dobrego. Wcale.

– Nieprawda.

– Masz mnie za głupka. – W jego głosie czuło się rezygnację.

– Nie bądź... – *Głupi*. Zdażyła ugryźć się w język. – Wcale nie. I nie obchodzi mnie, co inni o tobie myślą.

Pokręcił głową.

– Widzisz? Znów zaczynasz. Czemu zakładasz, że to, co inni o mnie myślą, będzie niemiłe?

– Bo przeważnie zachowujesz się jak jakiś pokręcony idiota. – *I już*. Powiedziała to. Tak wyszło.

– Dzięki. Nie certol się. – Link odwrócił się do niej. – Powiedz mi jedno, Rid. Czy kiedy byliśmy w Syrenie, użyłaś tam, choć raz, swojej magii?

– Nie. Już ci to powiedziałam. To nie byłam ja. Ale przypuszczam...

Wszedł jej w słowo. Nie miał nastroju na słuchanie.

– Czy choćby na sekundę wpackowałaś sobie do ust jeden z tych twoich durnych lizaczków, żeby zrobić coś po swojemu?

– Nie. Odkąd weszliśmy, nie. – *Nawet specjalnie się pilnowałam, pomyślała z niechęcią. Ktoś to jednak chyba zrobił.*

Chyba mu ulżyło.

– To czemu chcesz mi obrzydzić najlepszy występ w moim życiu? Może nawet najwspanialszą noc mojego życia? Czemu mi na to nie pozwalasz? Czemu nie mam się tym tak cieszyć, jak na chwilę przedtem, nim przyszałaś i to wszystko mi odebrałaś?

Ridley nie potrafiła odpowiedzieć.

Nie wiedziała, czemu niszczyła wszystko, z czym igrała. Czemu raniła wszystkich, na których jej zależało. Traciła wszystko, co znalazła. Odrzucała to, czego pragnęła.

– Nie chcę, żeby coś ci się przytrafiło. Coś jeszcze – powiedziała ostrożnie. – I jeśli to nie ja ci tej nocy pomogłam, to...

Link uniósł rękę.

– Powiedz to sobie, Rid. Jesteś zazdrosna.

– Zazdrosna? Co takiego masz, o co ja mogłabym być zazdrosna? Chyba że mnie. – Nie zamierzała wypominać mu rockmenki Floyd, bo w głębi ducha wiedziała, że nie o nią tu chodzi. W grę wchodziło coś dużo większego.

– Zazdrościsz mi mojego marzenia – oznajmił Link.

– To niedorzeczne. – odparła drwiąco Ridley. – Ja o ciebie dbam.

– Nie, wcale nie. Zazdrościsz mi, bo sama nie masz marzeń. –

Link zeszywniał, jakby wystraszyło go, że to powiedział. Jakby szykował się do uniku przed czymś, czym ona w niego ciśnie.

Czymś, co chciałaby w niego cisnąć, była ta kanapa. Jednak nie cisnęła. Zamiast tego użyła słów, i to nawet nie nadnaturalnych. *Lena byłaby ze mnie dumna.*

– To było wredne.

– Ale prawdziwe. – Ze smutkiem potrząsnął głową. – Mówię, co widzę, Rid.

– Link... – Nabrała tchu.

– Gdy zdarza mi się coś dobrego, reagujesz tak, jakby to był przypadek, jakaś magia czy inny kawał. Jakbyś nie mogła uwierzyć, że sam na to zapracowałem.

– Link... – spróbowała ponownie.  
Podniósł rękę.  
– Chcę być kimś, coś w życiu zrobić. Ty boisz się mi na to pozwolić, choć nie wiem dlaczego. – Patrzył prosto przed siebie, na zimną, moką ulicę. *Patrzy gdziekolwiek, byle nie na mnie*, pomyślała Ridley. Dzięki temu wiedziała, że mówił poważnie.  
Osłupiała.  
– Co ty mówisz?  
– Mówię, żebyś znalazła sobie własne marzenie.  
Te słowa skojarzyły się jej z deszczem. Szare, zimne i dołujące.  
– Mam marzenia. Przekonasz się. I wtedy odkryjesz, jak wielki z ciebie idiota. – Ridley stała teraz w deszczu. – Ja to poczułam. Tam, w klubie. Ktoś posługiwał się mocą przekonywania. Ktoś też nas obserwował.  
– Pewnie. Mówi się na nich publiczność.  
Rid najeżyła się.  
– A co, według ciebie, miała znaczyć ta historia z Ryan?  
Wzruszył ramionami.  
– Dzieciaki od zawsze wykradają się na koncerty.  
Starła się nad sobą panować. Usiłowała zachować spokój. Musiała sprawić, żeby zrozumiał, choćby miała zwalić na niego wszystkie czary i zaklęcia, znane światu Obdarzonych.  
I to w zasadzie zrobiła.  
– Link. Nie jesteśmy tu bezpieczni. Nie chodzi o to, czy jestem zazdrosna, czy mi odbiło. Nie chodzi o to, że chcę być w centrum zainteresowania. Wiem, jak się objawia moc przekonywania, bo sama też ją posiadam. – Przyjrzała mu się, niemal zachęcając, by spróbował jej przerwać.  
Nie przerwał.  
– Na pewnych sprawach bowiem znam się lepiej niż początkujący hybrydowy inkub. I możesz mi wierzyć, tu chodzi o jedną z takich spraw, czy tego chcesz, czy nie. I przykro mi, jeśli ma to oznaczać, że jako kapela jesteście ciency. Żal mi, że nie będzie z ciebie żaden Sting. Żal mi, że tak naprawdę nie chodziło im o twoją grę na perkusji. Nie żałuję jednak, że mówię ci prawdę.  
*Poszło.*  
To musiało zostać powiedziane i w końcu się na to zdobyła.

Marzyła tylko o tym, żeby nie musiała teraz czuć się tak okropnie. Słowa, wydobywające się z jej własnych ust, były niemal tak straszne jak wyraz twarzy Linka.

– Czemu miałbym ci teraz wierzyć? – zapytał.

Chętnie by go walnęła.

– Czemu w ogóle miałbyś mi wierzyć? – Otarła twarz z deszczu.  
– Posłuchaj. Bo robię, co mogę. Ideałem nie jestem, ale staram się pomóc.

– Też mi pomoc. – Nadal tego nie kupował. Nie wiedziała, co jeszcze mu powiedzieć.

– Ktoś zastawia na ciebie pułapkę i chce ci bardzo zaszkodzić. Może nam obojgu. Taki to ma sens. Możesz mi wierzyć. Znam się na tym jak nikt.

*Powiedz mu. Powtórz, co ci powiedział Lennox Gates. Powiedz mu, że czyha na niego Abraham Ravenwood. Że nigdy nie będzie bezpieczny.*

*Że ty sama go w to wszystko wpakowałaś.*

Nie potrafiła. Nie chciała, by żył w takim świecie. To nie było miejsce dla zwykłych ludzi. Będzie musiała wziąć to na siebie.

Będzie musiała sama się z tym uporać za nich oboje.

Link słowem się nie odezwał.

Ridley czuła, że wszystko się w niej rozhuštało. Czuła, że się rozpada na kawałeczki, które lądują na ulicy jak ta stara kanapa, na której wciąż siedział Link.

– Prawda jest taka, że nie potrafię już uwierzyć w żadne twoje słowo – powiedział. – I tylko takiej prawdy mogę od ciebie oczekiwać, nie, Rid?

Wiedziała, że za chwilę mogłaby zalać się łzami, i nie zamierzała do tego dopuścić. Była przecież Ridley Duchannes. Nikt nie zdołałby jej do tego doprowadzić. Nikt, poza durnym ćwierćinkubem z samego środka niczego.

W głębi siebie wiedziała jednak też coś jeszcze.

*On ma rację.*

Wzięła głęboki oddech.

– Nie do końca byłam z tobą szczerą. Tamtej nocy w Udręce coś się wydarzyło. Nie ograłam w łgarstwo żadnej Istoty Ciemności. To mnie ograł Sampson. Bo nie wiedziałam, że to Ciemnorodzony i że nie



da się go... – Rid wzruszyła ramionami.

– Oszukać?

– Coś w tym guście.

– A więc przegrałaś do Sammy’ego Boya ostatnią koszulę? – Link, mimo iż zły, nawet się uśmiechnął. – Musiał umieć zachować pokerową twarz.

– Nie przegrałam do niego koszuli. To nie tak. On grał w imieniu domu.

– Jakiego domu? – zapytał powoli Link.

– W imieniu domu. Udręki.

– Chodzi więc o Lennox Gatesa? – Nie patrzył na nią.

Ridley potwierdziła.

– Co takiego przegrałaś, Rid? – W ton Linka wkradła się ponura nuta.

Odchrząknęła.

– Dwa żetony. – Nie miała ochoty wyjawiać mu reszty, ale wiedziała, że musi. Za wielkie to już było dla jednej osoby.

– Jeden wiązał się z perkusistą. Dlatego, że perkusista Szamanów Diabła przegrał w tej grze swój talent. To ja go oszukałam. – Wolą nie patrzeć na Linka.

– Perkusista?

Rid przytaknęła. Czuła, że oczy ma coraz bardziej mokre.

– I musiałaś dać mnie w zamian? Przegrałaś mnie w karty? W jakąś chorą grę Obdarzonych?

– To nie tak było.

– No to jak było, Rid? Sprzedałaś mnie, a potem cały czas w tej sprawie okłamywałaś?

– Okropnie się z tym czuję, Skurczaku. Musisz mi uwierzyć. I myślałam, że dobrze na tym wyjdiesz. Myślałam, że to szansa, byś zagrał w prawdziwej kapeli, choćby i z Obdarzonymi.

– Co dalej, Ridley?

Rid zamilkła.

– Ten drugi żeton. Powiedziałaś, że były dwa. Co jeszcze jesteś mu winna? – Link nawet nie wymówił imienia tamtego, Czuła, że na odpowiedź czeka z takim samym lękiem, jaki budziło w niej to pytanie.

– To był żeton domu – powiedziała.

– A to niby co znaczy?

– Kiedy grasz o DPM, oznacza to, że dom określa wygraną. –  
Wzruszyła ramionami. – Mogliby sobie ode mnie zażyczyć, co tylko  
zechcą, a ja musiałabym to zrobić. – Nabrała tchu. – To znaczy, będę  
musiała zrobić.

– Co tylko zechcą. – To nie było pytanie, nie musiała więc  
odpowiedzieć.

Przez deszcz przyglądał się ulicy.

– Jak długo?

– Rok.

– A co, jeśli tego nie zrobisz?

– Nie mam wyboru. Jestem związana. Takie były wymogi tej gry.  
Nie mogę ich zmienić. Gdybym mogła, zmieniłabym, możesz mi  
wierzyć.

– A co, jeśli ja nie chcę być jego perkusistą? – zapytał Link.

*Jego. Noxa.* To niewypowiedziane imię ciążyło nad całą ich rozmową.

– Co, jeśli powiem nie?

– Nie wiem, co by się ze mną stało. Sądzę, że bym się o tym  
przekonała. Tak czy inaczej. – Wzdrygnęła się.

Siedzieli w milczeniu, a deszcz padał.

– To jest ta prawda, Link. Cała. Żadnych więcej kłamstw. Nie  
między nami.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu. Strząsnął ją.

Deszcz wciąż padał.

*Coś takiego się więc czuje? Gdy wyzna się komuś prawdę? Choć  
raz? Choćby jednej tylko osobie?*

*Widzisz, co się dzieje? Widzisz, jak ty na tym wyszłaś?*

Gdy Link wreszcie na nią spojrział, Rid wiedziała, co powie, choć  
jeszcze nawet nie otworzył ust.

– Nie potrafię, Rid. Dłużej tak nie potrafię.

To już nie była walka. To było coś innego.

Coś gorszego.

– Wiem. – Podniosła wzrok ku ociekającemu deszczem niebu. –  
Nie mam pretensji.

Odchodząc tą brooklińską ulicą, Ridley uświadomiła sobie nagle,  
że absolutnie nie ma pojęcia, ani co teraz robi, ani dokąd zmierza.

Jedynie to, że musiała sobie pójść.

*Z powodu wyznania prawdy? Nic ono nie dało. Prawda*

kosztowała zbyt wiele. I nie była tego warta.

W tej chwili wydawała się równie przygnębiająca, i równie ciężka jak kłamstwo. Ridley była ciekawa, czy zwykli ludzie o tym wiedzą.

## ROZDZIAŁ 20

### *Divine Wings of Tragedy*

Nawet przez podwójną szybę, pomalowaną na czarno cegłę i odsłonięte dźwigary, w gabinecie Noxa słysząc było łomotanie i skowyt dobiegającej z Syreny muzyki house.

Didżej szalał, mieszając kanony muzyki Obdarzonych i śmiertelników; wsłuchując się w jego remiksy, można było nabrać przekonania, że Madonna to w istocie syrena.

*Nie jest nią, ale mogłaby być.*

Nox spoglądał przez sięgające od podłogi po sufit okno swego osobistego biura, patrząc w dół, na pustą scenę. Tu był jego sztab, jego centrum dowodzenia. Tutaj czuł się swobodniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Główny poziom klubu groził zbyt wieloma potencjalnie niebezpiecznymi spotkaniami.

*Zbyt wielu Ravenwoodów trzeba by się wystrzegać. Za wiele inkubów w jednym miejscu. Nie mówiąc już o Ciemnorodzonych.*

Obecnie rzadko nawet ważył się zaglądać do swojego apartamentu, nie po tym, jak zaczęły pojawiać się tam wścieki.

Nox rozluźnił cienki krawat w stylu retro.

Na jego oczach techniczni wytoczyli za kulisy zestaw perkusyjny. Stało się. Trybiki poszły w ruch, jakby był inżynierem, nie przedsiębiorcą. Tę noc Nox powinien był postrzegać jako zwycięstwo, rozkosz z gatunku tych rzadkich. Coś, czego nie czuł od tamtej pamiętnej rozgrywki w Udręce. Kiedy to zaczął się obracać pierwszy trybik...

*Nigdy się nie nauczq. Z domem się nie wygra.*

Powrócił myślą do pewnej blondynki z różowymi pasemkami i skłonnością do popadania w kłopoty.

Prezentowała sobą więcej, niż sobie wyobrażał. Ciekaw był, czy go zapamięta. Nie wiedział, czy jej chce, czy też nie. Minęło bardzo dużo czasu.

*Nie przywiązuj się. Już prawie osiągnąłeś swoje. Oddając hybrydę i syrenę, mógłbyś ostatecznie uwolnić się od Abrahama*

*Ravenwooda.*

Na samą myśl poczuł się chory, należało więc pomyśleć o czymś innym.

O czymkolwiek.

O klubie. O tłumach. O kapeli.

*Tak wiele potężnych problemów.*

Udręczona nekromantka. Iluzjonistka skrywająca sekret. Inkub skazany na śmierć. Ciemnorodzony pozostający w ukryciu. Syrena z przeszłością.

Postawił na syrenę.

Wszystkich ich zakasowała – już choćby samą postawą – i zrobiłaby to ponownie. Nikt nie byłby w stanie jej okiełznać. Poza siostrą. Siostra wydawała się wyjątkiem od tej reguły.

Jak, w jego przypadku, jego siostra.

To było naprawdę interesujące. Rodzina jako koncepcja. Jeśli funkcjonowała – co w świecie Obdarzonych nieczęsto się zdarzało – ta więc nie miała sobie równych we wszechświecie.

*A te dwie taka więź łączy,* pomyślał. Syrenę i cudotwórczego, o ile dobrze odczytał moce młodszej z dziewcząt. Niemal żał było patrzeć. Nox dobrze wiedział, jaki użytek zrobiliby z takiej informacji niektórzy z jego współników w interesach. I z możliwości nacisku, jakie by im dała.

*Zwłaszcza Ravenwoodowie.*

Zarówno jako jego współnicy, jak i w roli klientów, Ravenwoodowie byli tymi najgorszymi. Niektóre rodziny już tak mają. Nie sposób od czterech stuleci władać jednym z najpotężniejszych rodów w świecie Obdarzonych, nie wykształciwszy w sobie pewnego chłodu, zobojętnienia na cierpienie. Czy to śmiertelników, czy Obdarzonych.

Cała sprawa zakrawała na powód do wstydu. Ta Mała Syrenka wpadła mu w oko. Okropną stratą byłoby dopuścić, by coś się jej przytrafiło.

*Jaki mam wybór?*

Z inkubem sprawa była całkiem inna. Nox nie znosił niczego, co miałoby najodleglejszy choćby związek ze śmiertelnością, tamten zaś wręcz nią cuchnął. Nie ze swej winy; tak został wychowany.

To jednak nie mogło powstrzymać Noxa od rozważania, jak tę

sprawę rozegrać. Znalazł się w potrzasku, ot, jeszcze jeden z pionków Abrahama Ravenwooda.

Zerknął na stojące na jego biurku pudełko cygar.

*Nie, od tego trzeba trzymać się z dala.*

Nie było powodu, by dać się wciągnąć w walkę, nie będącą jego walką.

Nox odsunął się od okna i przeszedł do biurka. Usiadł w fotelu i odchylił się, odwracając oczy od kominka, oświetlającego centralną część jego biura w podziemiach.

Pękate fotele przed paleniskiem, jak zwykle, stały puste. Nox nigdy nie siadywał tak blisko ognia. Nie lubił ognia. Nie lubił rzeczy, które widywał, gdy weń zaglądał: rzeczy strasznych, rzeczy cudownych, obrazów, które dręczyły go we śnie.

To był jego dar i jego przekleństwo, jak mawiały stare klechdy. Mógł widzieć w nim cały otaczający go świat, wszystko i wszystkich. Jak miało się to skończyć, kiedy i dlaczego. Jaki kres czekał każdego z nich, również kiedy i z jakiej przyczyny.

O ile nie miało to związku z nim samym.

Lennox Gates obdarzony został wzrokiem i dotknięty ślepotą – lub odwrotnie, zależy, jak na to patrzeć.

Ślepotą mogła uchodzić za dar. Swój wzrok odbierał zawsze jako przekleństwo.

*Która moc jednak nie niesie z sobą bólu?* Tak zwykła mawiać mu matka, gdy był małym chłopcem. Przekonał się potem, ile w tym prawdy.

Dotychczas nic jej nie podważyło.

Ogień zaprosił go do siebie.

Nox próbował się jeszcze przed tym obronić, ale było za późno. Płomienie już nad nim zapanowały. Wzrok powędrował ku błękitnemu korzeniowi tego ognia.

Błękit zaraz rozszczepił się na szereg świetlistych pasm, to splatających się, to znów rozdzielających, aż wreszcie linie przeszły w kształty, a światło w obrazy.

I niemal zawładnął Noxem odór palonego ciała.

Do tego jeszcze krzyk. Dziewczyny.

*Tamtej dziewczyny. Syreny.*

Noxowi trudno było znieść ten krzyk. Zdawał się nieustającym

łkaniem – jawną oznaką konania.

Przyprawił go o dreszcze.

Nox, mimo że ją słyszał, zobaczyć wciąż jeszcze nie mógł.

Pchnął i kłęby dymu się rozstąpiły, jakby przez nie przechodził.

Bo tak właśnie się stało, w pewnym sensie.

I oto była, otoczona przez ogień i zablokowana płonąca belką. Prawdopodobnie jedną z rozszcepionych podpór stropu, który się właśnie zawalił.

Krzyk przeszedł w wyraźnie rozpoznawalne słowa, w słowa znajome.

W słowa z przeszłości.

*Z woli Bogów*

*Z woli Bogów*

*Widzę wszystko, co się dzieje*

*na tej znanej już ziemi.*

*Wiem, że widzisz to, Noksie.*

*Wiem, że widzisz mnie właśnie teraz.*

*Powiedziałeś mi, że mógłbyś,*

*pamiętasz?*

*Nie siedź już tam.*

*Zrób coś.*

*Pomóż mi.*

*Uratuj mnie!*

Choć dym gryzł go w oczy, starał się nie spuszczać z niej wzroku, mimo iż wiedział, że nie potrwa to długo. Pokój wokół niej się walił.

Wkrótce ona...

Wkrótce krzyk ustanie.

Skończy się też ta wizja.

Umarli nie zostawiali po sobie opowieści.

Przynajmniej nie wtedy, gdy widział ich Nox.

*Ogień*, pomyślał.

*Pochłonie ją ogień.*

Widział ciąg obrazów, przemykających jeden po drugim.

Drewniane schody. Płomienie, sięgające w niebiosy. Niebo.

Potem drewno wokół niego zaczęło trzaskać, łkanie przycichło, a Nox, z nagłą zgrozą, uświadomił sobie, że wie dokładnie, gdzie ją to spotka.

\*\*\*

Nox uświadomił sobie, że stoi przy kominku, z ręką opartą na jego obudowie. *Dziwne*. Zwykle podczas wizji pozostawał w bezruchu. Bał się nawet wprowadzać w ten stan Necro. Nie wyobrażał sobie, jak można tracić kontrolę nad własnym ciałem.

Opuszczanie ciała – praktycznie rzecz biorąc – równało się zachęcie, by skorzystał z niego ktoś inny.

Czegoś takiego Nox by nie zniósł, ani przez moment.

Przeniósł wzrok z kraty w miejsce, gdzie rzeźbione obramowanie przechodziło w ozdobny herb, widniejący nad samym środkiem



paleniska.

Przesunął palcami po tarczy herbowej swego rodu. Ptak i wąż, lecące ku sobie. Tę samą tarczę ujrzał w ostatnim ułamku wizji, wyrzeźbioną w płonącym wówczas drewnie.

W tym samym drewnie, którego teraz dotykał. Ten wzór powtarzał się przynajmniej raz w każdej z izb tego domu, na wszystkich boazeriach klubu Syrena.

*Możliwe, że syrena zginie tutaj w klubie, pomyślał poruszony.*

*Ale czym poruszony? Poczuciem winy? Skruchy? Ciekawością?*

*Ona zginie. W ogniu.*

Ostatnia myśl go przeraziła: *Przeze mnie.*

Taki scenariusz był najbardziej prawdopodobny.

Nox nie do końca był go pewien; nie był w stanie ujrzeć własnej przyszłości. Jeśli jednak miała zginąć w tym właśnie miejscu, to zapewne z jego ręki.

Oto jak toczyło się Koło Losu. W żaden sposób nie mógł go powstrzymać...

Pierwszy raz w całym swoim życiu Lennox Gates przyłapał się na rozważaniu, czy się nie pomylił.

A może – czy rzeczywiście chciałby się mylić.

## ROZDZIAŁ 21

### *Expendable Youth*

Następnego dnia Lennox znów wpatrywał się w Necro, siedzącą po przeciwnej stronie torów metra. Raz jeszcze jej potrzebował. W tych tunelach panowały ziąb i wilgoć, a mimo to siedziała tam w postrzępionym białym T-shircie i podartych džinsach. Nagie ramiona opasane były węzowymi splotami tatuażu, przedstawiającego drut kolczasty. Buty z demobilu, wiązane łańcuchem, przypominały o jej wewnętrznym nekromancie.

*Dobrze. Chcę, żeby była twarda.*

Nox nie lekcewał gróźb z zaświatów, a właśnie z nimi miał tu do czynienia. Nawet martwe inkuby miały przyjaciół w nieciekawych miejscach. Ostatnio jeszcze bardziej wzmocnił środki bezpieczeństwa. Upewnił się, że Necro nikt nie śledził. Zapieczętował ten przystanek metra, odcinając dostęp nawet Obdarzonym. Przyciągnął połamaną ławkę, żeby miała na czym usiąść.

Potem wyciągnął nekromantkę z jej ciepłego łóżka i przyprowadził tutaj.

Nie poczuł się przez to lepiej, ale nie miał wyboru. Kim był, żeby się wtrącać w takie sprawy, jak zemsta albo los?

*Przeznaczenie. Porządek rzeczy istnieje, nawet teraz.*

Gdy zwrócił się do ciebie zmarły, należało go posłuchać. Coś, co często zaczynało się sygnałem z tamtej strony, szybko przechodziło w przeczucie, a potem w majaki. Gdy zaczęły się nocne koszmary, mogłoby być tylko gorzej. Po ostatniej nocy wiedział, że nadeszła pora, by porozmawiać z Abrahamem. Zaświaty łączyły z tym światem tysiące przeróżnych, potężnych powiązań. Nox nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie wezwania, nie można było też obwinać go o to, że podjąć je musiała Necro. Nie dysponował inną nekromantką. Ta zresztą wykazała się niespotykanym talentem, gdy szło o komunikowanie się akurat z Ravenwoodami. Nie wspominając o jej gotowości do tych kontaktów, o ile nie będzie się to wiązać ze stałą obecnością Ravenwoodów w jej świadomości.

Nox nie wiedział czemu, ale polegał na niej.  
Świece dymiły. Na wpół stopione, do postaci kilkucentymetrowych pieńków białego wosku. Głowa Necro odchyliła się w tył, odsłaniając jej bladą szyję.

Tak to już było, że nekromanci największą wartość stanowili, gdy byli najbardziej bezbronni. Najprostsze połączenie powstawało we śnie.

Czas mu się kończył. Ilość rozmów, których Necro nie zapamięta, była ograniczona. Poza tym pudełko cygar Royal Barbados na jego biurku w Syrenie prawie świeciło pustkami.

Jego matka dbała, by zawsze było pełne, ilekroć gościł u nich Abraham, i zapewne właśnie z tej przyczyny te cygara stanowiły teraz tak potężne kanały. Nox pamiętał jeszcze Abrahama, rozpartego na skrzypiącej sofie na werandzie domu, który jego rodzina miała na tej wyspie – gdy niczym groźba wisiała nad jego rodzicami ciemna chmura dymu, nieodłącznie towarzysząca Abrahamowi, odkąd go znał.

Był jedynym przyjacielem rodziny, który najczęściej wpadał do nich, by dawać dowód wszystkiego, tylko nie przyjaźni. Co było zresztą zrozumiałe, gdyż Abraham Ravenwood zanadto bywał zajęty innymi sprawami.

Role szantażysty, na przykład. Albo złodzieja. Albo strażnika więziennego. Czasem nawet kata.

*Cały czas rozkoszując się tymi wstrętnymi cygarami.*

Nox przyjrzał się złotemu papierowi, w który było zawinięte cygaro, i dotknął małej korony, wytłoczonej na jego skraju. Zagubionej w nieswojej epoce.

*Gdyby tak moja matka mnie posłuchała. Gdyby tak ojciec mi uwierzył. Gdyby tak Abraham nie pociągał za sznurki kierujące całym światem Istot Ciemności.*

*I to nawet z zaświatów.*

Oby ten interes wkrótce dobiegł końca, jakiegokolwiek. Należało ruszyć do przodu. Życ przeszłością można tylko do pewnych granic, bo inaczej postrada się zmysły.

*Zwłaszcza gdy owa przeszłość jest aż tak toksyczna.*

Nie było sensu tego odwlekać. Nox zapalił cygaro i odwrócił wzrok.

*Niech się już zacznie to spotkanie z gwiazdą.*

I niemal natychmiast oczy Necro się otworzyły.

– Chłopcze – ryknęły jej zwiotczałe usta.

– Tu jestem. – Nox skinął głową, ze swej strony toru. – Zgodnie z obietnicą, złożoną, gdy zeszłej nocy nasłałeś na mój apartament bandę wścieków. Sygnał odebrany, starcze.

– Mówisz zuchwale, nadal jednak tylko rozczarowujesz – mówiąc to, Necro tak przewróciła swymi złotymi oczami, że pozostała tam jedynie lśniąca biel, nieodmiennie kojarząca się Noxowi z wnętrzem ostrygi.

– Ciągłe słyszę od pana tę samą śpiewkę, panie Ravenwood. – Nox strząsnął popiół z cygara. Dym gryzł w nozdrza. – Trupią śpiewkę.

– Skończyłem ze śpiewaniem. Tak jak skończyłem z czekaniem, aż stoczysz moje wojny.

– Dobrze. Toczenie ich już zaczęło mnie męczyć. W odróżnieniu od niektórych z nas, mam przed sobą kawał życia.

– Powiedziałem, że skończyłem z czekaniem. Nie powiedziałem, że skończyłem z tobą.

– Myślałem...

– Nie myślisz o niczym innym, jak tylko o sobie i swoich idiotycznych klubach. Jesteś zakałą rasy Obdarzonych, Lennoksie Gatesie. Jeśli się dobrze przyjrzeć, byłeś nią od najmłodszych lat. – Necro posłała mu zły uśmiech.

– Jeśli tak to wygląda, to czemu właśnie ze mną rozmawiasz? – warknął Nox. – Gdzie się podziewają twoje ukochane wnuki? Chętnie bowiem im bym zostawił twoje paskudne sprawy.

Necro pokręciła głową, wymachując swoim dziko błękitnym pseudoirokezem.

– Nie twoja sprawa. Już nie. Twoja użyteczność dobiegła kresu.

Nox, odwróciwszy wzrok, zdmuchnął z cygara popiół, trzymając je jak najdalej od twarzy.

– Wymień jedną osobę, która nadal przychodzi na twój grób, Abrahamie. Chociaż jedną, Abrahamie. – Odczekał chwilę i się uśmiechnął. – Tak właśnie myślałem.

A jednak padło słowo, nagle i niespodziewanie, ciśnięte w niego znikąd. Jak cegła w nieoczekujące niczego złego okno.

– Silas.

Necro, wymawiając je, odsłoniła w uśmiechu zęby.

Na dźwięk tego imienia ciało Noxa przeszedł chłód. Miał coś

powiedzieć – zapewne gorzkiego, na miarę goryczy, którą odczuł – ale się powstrzymał.

*Ostrożnie. Z Silasa Ravenwooda nie ma co żartować. Wyhamuj.*

Nox chrząknął i zaczął z innej nuty.

– Silas Ravenwood to bardzo zajęty człowiek. I o ile słyszałem, o wiele więcej w nim Ciemności, niż w jego synu, Maconie. Wdał się w swego dziadka, nieprawdaż? – Serce mu waliło. Należało kończyć tę rozmowę, i to szybko.

– Silas zawsze napawał mnie dumą.

– Taki kryminalista? Chodzą słuchy, że nazbyt jest zajęty tworzeniem największego w podziemiu syndykatu inkubów krwi, by odwiedzać jakieś groby. Jeśli znalazł dla ciebie czas, czemu to nie on załatwia twoje sprawy, tylko ja?

Odpowiedź pełna była niespiesznie przeciąganych samogłosek.

– Nie każdy ma na swych usługach nekromantę, chłopcze. Stąd, gdzie przebywam, łatwiej mi więc dotrzeć do ciebie, niż do większości innych. Zawsze się trzymasz zbyt blisko tej strony kurtyny, zupełnie jakbyś już się miał za umarłego. – Śmiech starca odbił się echem w tunelu. – O Silasa się nie martw. On też odegra w tym wszystkim swoją rolę. W odróżnieniu od ciebie, będzie do niej gotów, gdy przyjdzie pora. Po prawdzie, zawita do Syreny, by cię ode mnie pozdrowić.

Na tę myśl trzewia Noxa skrzyły się w węzeł. Postarał się utrzymać typowy dla siebie ton, choć nagle jakoś trudno mu było przypomnieć sobie jego brzmienie.

– Już się nie mogę doczekać.

– Jeśli niedostatecznie jasno się wyraziłem, chłopcze, to to była groźba.

– Tak ją odebrałem.

– Wiesz, co musisz zrobić. Dopilnuj tego, bo zrobi to Silas.

– Kolejna groźba? – spytał Nox.

– Twój wybór. Twoja trumna.

– Biorę cię za słowo, nieboszczyku. Chociaż na razie jeszcze swojej trumny nie posiadam.

– Będiesz miał, jeśli nie dostarczysz mi ludzi, którzy mnie tu wyprawili – warknęła Necro. – Zwłaszcza syreny i tego hybrydowego inkuba.

– Już to powiedziałeś. – Nox musiał grać na zwłokę. Długo już

mu się to udawało. Potrzebował tylko trochę czasu na rozpracowanie końcówki tej gry. Pozorowanie interesów z Abrahamem Ravenwoodem to jedna sprawa. Inną sprawą byłoby przelewanie krwi w jego imieniu.

– To nie była prośba – burknęła Necro.

Nox nabrał tchu.

– Nie dramatyzuj. Kiedy to nie zrobiłem wszystkiego, o co prosiłeś? – Naprawdę zrobił, choć z bólem się do tego przyznawał. Nie było łatwo, ale nawet sam zasugerował tu i tam kilka rzeczy.

Dostarczył zarówno syrenę, jak i inkuba. Przynajmniej do klubu, na razie. Przekonywanie w jego wydaniu było może mniej oczywiste od tego z użyciem lizaków, za to nieskończenie mocniejsze. Tego, że ją podszedł, nie zauważyła nawet najpotężniejsza Istota Naturalna w tym tysiącleciu.

– Gdybyś zrobił wszystko, o co prosiłem, kopałbyś teraz groby. – Necro-Abraham niezbyt się przejął tym zapewnieniem.

– Rzecz się toczy. Plany się urzeczywistniają. Dostarczę ci ich oboje, jeśli dasz mi dość czasu. – To, że Nox jeszcze nie zdecydował, co robi, nie oznaczało, że zrobić by tego nie mógł. Był synem swojej matki. Wierzył w wielość opcji.

– Czemu więc jeszcze żyją?

Pytanie było zasadne. Nox głowił się, jak na nie odpowiedzieć. Grą na zwłokę jedynie kupi sobie trochę czasu. W końcu jednak czas ten dla wszystkich się skończy i polecą głowy.

Jego oraz tamtych.

Popatrzył na drugą stronę toru.

– Chciwy z pana staruch, panie Ravenwood. Chciwy i niecierpliwy.

– Mówisz do umarłego, Lennoksie. A wiesz, jaki problem trapi umarłych? Nie mamy nic do stracenia.

– Czasami – odparł Nox – dotyczy to również żywych.

Necro wyciągnęła z kieszeni sprężynowiec i, wiedzioną wolą Abrahama Ravenwooda, potwora, który w nią wszedł, przyłożyła go sobie do szyi.

Mocno napała ostrzem na skórę, aż Nox nabrał pewności, że się zrani.

– Czy aby na pewno, Lennoksie? – zachrypiał w jej ustach głos Abrahama.

Nox znieruchomiał.

Czubek ostrza zwiększył nacisk.

– Skontaktowałem się teraz z Silasem. Istnieją i inni nekromanci. Tej już nie potrzebuję. Za to ty chyba darzysz ją sympatią.

*Nie reaguj. Nie pozwól mu zobaczyć, że cię to ruszyło.*

Pod naporem noża skóra zaczęła się rozstępować. Po bladej szyi spłynęła cienka strużka krwi.

*Jeśli on się przekona, że ci na niej zależy, ona umrze. Nie możesz jej tego zrobić.*

Nox westchnął.

– Jeśli dzięki temu będę mniej czasu tracił na rozmowy z tobą, sam jej gardło poderżnę. Oczywiście.

– Oczywiście. – Necro odsunęła nóż od szyi i z upiornym uśmiechem wyciągnęła w stronę Noxa. – Nie krępuj się – warknęła.

Nox dłuższą stał bez ruchu. Potem cisnął cygaro na tory.

Im dłużej by to przeciągał, tym większe niebezpieczeństwo groziłoby jego nekromantce. Był bezradny; mógł jedynie odejść.

Nie było to uczucie z gatunku tych, które Nox Gates lubił.

Odchodząc, słyszał jedynie gorzki śmiech, echem odbijający się w tunelu za jego plecami.

## ROZDZIAŁ 22

### *Damaged Soul*

Jak leci, Rid? – zatrzeszczał głos Leny z głośniczka nowego telefonu komórkowego Ridley. Wojowniczy Nerd Nick okazał się dobrym przyjacielem, dowiódł tego zasięg, którym teraz dysponowała.

Poza tym raczej nie było się z czego cieszyć. Ridley miała za sobą długi dzień pracy, który wprawdzie nie przybliżył jej do znalezienia jej własnego marzenia, ale przynajmniej uzmysłowił, że nie będzie się ono wiązało z włosami śmiertelniczek.

Ridley westchnęła.

– Świetnie. Doskonale. Jakby sny się ziściły, kuzyneczko.

*Poniedziałek wtorek środa czwartek piątek. Przez tyle dni nic, tylko praca. Czemu musi być ich tak wiele z rzędu?*

Bolały ją nogi. Na rękach wystąpiła jakaś swędząca wysypka, zapewne po zetknięciu ze wstrętną grzybicą skóry którejś głowy. W metrze ułamał się obcas w jednym z jej czarnych butów do kostki od Louboutina. Rozmowa z kuzynką mogła to tylko pogorszyć.

– Czy Nowy Jork jest niezwykły? – spytała Lena.

– Przeważnie. – Ridley nie chciała dać Lenie poznać, że pociąga nosem. Na chwilę odsunęła telefon od twarzy, potem znów przytknęła do ucha.

Zauważyła Lucille Ball, siedzącą w drzwiach kuchni i taksującą ją wzrokiem. Wykrzywiła się do kotki, ta jednak nawet nie raczyła się ruszyć.

– Widziałaś już te wszystkie widoki? – W głosie Leny czuło się podekscytowanie. Wzmogło ono w Ridley poczucie winy, bo może jednak powinna była odpowiedzieć na któryś z pięćdziesięciu esemesów, wysłanych przez kuzynkę.

– Jasne. Dlatego nazywają je widokami, L. Po prostu się je widzi.

– Tematu zachwycających widoków, jakie przyszło jej oglądać, nie rozwinęła. *Takich jak brudne tunele metra, stara jadalnia.*

*Przetłuszczony włosy tutejszych dam, cuchnące śmietniki na ulicach.*

– A co ze sceną klubową? Urok otwiera ci drogę do bajecznych



restauracji i niesamowitych butików?

– Znasz mnie. Właściwie kończą mi się już lizaki.

– Tak ci zazdroszczę. A ja nic, tylko studiuje i studiuje – pożaliła się Lena. – Chociaż dostałam się na warsztaty pisarskie. To właściwie seminarium z poezji, a profesor jest naprawdę świetny. Nie sądziłam...

Bla, bla, bla.

Rozmowa utonęła w dziwnym kolażu obrazów, których Ridley nie potrafiła – i szczerze mówiąc, nie miała ochoty – przyswoić.

Czerwone kubki i szkolne bluzy dresowe, pizza głęboką nocą i łazienki w akademiku. Mecze piłkarskie. Stołówka. *Stworzenie Adama*, *Guernica* i *Nocne marki* Hoppera, i jeszcze żywot Buddy.

*Naprawdę wspomniała o wspólnych łazienkach? Takich, gdzie pod prysznic wchodzi się w butach?*

Rozmowa skończyła się, gdy Lena musiała pójść na coś, co nazwała grupą badawczą, porozmawiać o jakichś sylabusach czy czymś takim.

O czym mogłaby jej opowiedzieć Ridley?

Nijak nie zdołałaby wyjaśnić kabały, w jaką się wpackowała, ani nastroju, w jakim była.

Jak ktoś tak bardzo po stronie Światła jak Lena, miałby zrozumieć oszukiwanie w kartach i takie przegranie choćby jednego żetonu, nie mówiąc już o dwóch? Jak Lena mogłaby uwierzyć, że ktoś zawładnął Linkiem i jego durną kapelą, wykorzystując ich w sobie tylko znanym celu? Co najgorsze, czy jej kuzynka zdołałaby znieść, rozwiązać czy choćby zrozumieć problem przyćmiewający wszystkie inne?

*Z nim i jego durnym klubem. Z jego groźbami i kłamstwami.*

Sama Ridley nawet w myślach niechętnie wspominała jego imię.

W telefonie znów zatrzeszczało.

– Rid, słuchasz?

– Tak, oczywiście. Jestem tu. Po prostu jestem zmęczona.

– Niepokoję się o ciebie. Ostatnio, ilekroć o tobie myślę, mój pierścień przechodzi w krwistą czerwień. Jakby ogień. Czasem nawet parzy mnie w palec.

*Czerwień? Pierścień Ridley zawsze robił się zielony.*

– To na pewno nic takiego. – Ridley opuściła wzrok. Teraz Lucille Ball siedziała u jej stóp, wpatrując się w nią tymi ogromnymi

kocimi oczami, jakby chciała spytać: *Czerwony? Naprawdę?*

Lucille Ball nie była z niej zadowolona.

– Spytałam Ethana, a on powiedział, że Link nigdy nie ma czasu, żeby pogadać – powiedziała Lena.

– No, wiesz. Gwiazdy rocka.

Lucille łupnęła ogonem. *Powiedz jej.*

– Gdyby coś było nie tak, powiedziałaś mi, prawda?

Ogon Lucille znów łupnął. *Poinformuj swoją kuzynkę.*

Ridley zignorowała kotkę.

– Oczywiście.

– Gdyby cokolwiek choć trochę odbiegało od normy? – upewniła się Lena.

– Świetnie się czuję. Tu w ogóle jest świetnie. Szczerze. Nigdy nie czułam się szczęśliwsza. I bardziej zwyczajna.

Lucille zamiauczała i wymaszerowała z kuchni.

W chwili gdy się rozłączały, Ridley miała za sobą tyle kłamstw, że ledwie pamiętała, jak się naprawdę nazywa. Wiedziała, że w jej nowojorskim życiu nie ma nic pospolitego i, co istotniejsze, nic wskazującego na sukces. Okłamała przez telefon swoją kuzynkę i okłamywała siebie. Nie była do tego stworzona. Nie była tu sobą.

Link miał rację. To nie było miejsce dla niej. Może rzeczywiście z nimi był już koniec.

Może to ostatnie zerwanie było na poważnie.

Nie miała okazji go zapytać, ponieważ jej unikał, cały czas spędzając z Floyd w sali prób.

Idąc spać, czuła, że zbiera się jej na płacz. Płakała zasypiając. I nawet przez sen.

\*\*\*

– *Mówiłam, żebyś nie wkładała tej staroci. Wyglądasz jak kulka sierści, zwymiotowana przez jakiegoś kota.*

*Ridley pociągnęła kuzynkę za rękaw, rozciągając włóczkowy sweter. Wiedziała, że jest wredna. Nawet czuła się wredna, ale było jej to obojętne.*

*Kuzynka równie dobrze mogłaby łazić z wielką tarczą strzelniczą na środku czoła.*

– *Zamknij się, Rid.* – *Wyglądało na to, że Lena najchętniej wcisnęłaby się do swej szafki.*

– Ten sweter prosi się o kopa. – Ridley nie odpuszczała.  
Lena stała teraz przy szafkach, bo Lena zawsze stała przy szafkach. Tak jakby się bała wypłynąć na szerokie gimnazjalne wody.  
Ridley natomiast nigdy nie miała problemu z wchodzeniem w nowe środowiska. Problem stanowiło to, że wraz z nią wchodziły w nie kłopoty.

– Odrobiłaś chociaż geografię? – spytała Lena, wzdychając.  
– Czym się zajmujesz? – odpowiedziała westchnieniem Ridley, z ręką na biodrze. Miała na sobie ulubiony zestaw ciuchów: kilt, który skróciła babcinymi nożycami, T-shirt z wyrwaną lamówką pod szyją i stare czarne buty, znalezione dwie szkoły temu w czyjejsz szafce.

Jej pierwsze obcasy. Dobrze się na nich czuła. Wysoka, jakby mogła patrzeć na wszystkich na tym świecie z perspektywy, która najbardziej jej odpowiadała.

Lena podała jej arkusz papieru, zapisany ołówkiem.

– Masz.

– O, tak na wszelki wypadek, odrabiasz za mnie lekcje?

– Ktoś musi.

Ridley uniosła dłonie, odmawiając przyjęcia kartki.

– L., czy przyszło ci kiedyś do głowy, że to, co dzieje się w tej żalösnej szkölce śmiertelników, nie ma żadnego znaczenia?

– Przestań. – Lena była zażenowana.

– Żaden z tych małych głupich bachorów... – Ridley podniosła głos.

– To nie są bachory. Nie wszystkie. – Lena rozejrzała się niespokojnie.

– Ani z ich głupich nauczycieli.

– Ja lubię moich nauczycieli.

– Ani ich głupia historia. Ich głupie prawa. Ich głupia nauka.

– Rid.

– Nie mają znaczenia. Nie dla nas, Obdarzonych. Nie tam, dokąd zmierzamy. Nie w życiu, jakie będziemy wieść.

– Dla mnie mają znaczenie.

Ridley zatrzasnęła kuzynce szafkę. Lena potrafiła czasem doprowadzić ją do szału. Była dla śmiertelników workiem treningowym. Wybłagała to, że puścili ją do szkoły dla śmiertelników – i usilnie starała się przez cały czas wszystkich tam zadowolić. I była w

*tym po prostu fatalna.*

*Lepiej nie próbować.*

*Lepiej nie oczekiwać, że będą zapraszać nas na swoje przyjęcia urodzinowe i na wyprawy do centrów handlowych.*

*Lepiej wiedzieć, że po nauczycielach nie ma się czego spodziewać.*

*Lepiej się niczym nie przejmować.*

*Zatrzasnąwszy drzwiczki szafki, Ridley zaraz tego jednak pożałowała – nie tylko z uwagi na wyraz twarzy kuzynki, ale i z powodu tłumu, jaki tym przyciągnęła.*

*Zapomniała o pierwszej zasadzie uczęszczania do szkoły dla śmiertelników: siedzieć cicho.*

*Ze wszystkich reguł, których Ridley nienawidziła, z tą jedną miała największy problem. Kto chciałby siedzieć cicho, mając w sobie coś, co pozwalało szybować wysoko?*

*Jedynie Lena.*

*Otoczona teraz czeredą dziewczyn o tak chudych nogach, tak prostowłosych i o tak paskudnych charakterkach, że przy nich nawet ich matki wyglądały na sympatyczne.*

*– Cudny sweter, Lena. Skąd go masz? – zamruczała ta najbliższej niej, Caitlyn Wheatley. Skubnęła zielonkawo-szary rękaw. A Lena po prostu stała, pozwalając jej na to. Zawsze na wszystko im pozwalała i głównie dlatego jej to wszystko robiły.*

*– Nie wiem – wymamrotała Lena.*

*– Może twoja mama zrobiła ci go na drutach w więzieniu? – To już nie Caitlyn. To była Sandra Marsh, która nigdy nie stroniła od dobrego lania, o ile to nie ona padała jego ofiarą.*

*Lena nic nie odpowiedziała.*

*Ridley westchnęła.*

*– Może twoja stara babunia zrobiła ci go na drutach w domu starców? Bo czy nie tam z nią mieszkasz? – Caitlyn przysunęła się jeszcze bliżej. Reszta korytarza zaczęła przyglądać się temu z zainteresowaniem. Scena była znajoma. Wiedziały, że zaraz zacznie się najlepsze.*

*Lena usiłowała odejść. Grupa pościgowa dziewczynek poszła jej śladem.*

*Caitlyn podniosła głos:*

– Wyglądasz jak kocie wymiociny, wiesz o tym? Jak wielka kulka starej sierści, którą mój kot wyrzygał na dywan.

To było to.

Ridley zatrzasnęła swoją własną szafkę i Caitlyn zatrzymała się w pół kroku

– Tylko ja tutaj mam prawo powiedzieć, co wygląda jak kocie wymiociny, i mówię, że twoja twarz.

Korytarz wybuchnął śmiechem.

– Nie rób tego – poprosiła Lena, patrząc na kuzynkę.

Ridley, wzruszywszy ramionami, wyjęła z torby i kawałek gumy balonowej i go rozpakowała.

– A chcecie wiedzieć, czemu tak mówię? – kontynuowała. – Ponieważ byłam przy tym, Caitlyn, gdy twój kot zwymiotował, i byłam tam też, gdy to zjadłaś.

Jeszcze więcej śmiechu.

Ridley wrzuciła sobie do ust różową kosteczkę gumy.

– Zamknij się – powiedziała Caitlyn. – Kłamczucho.

– Właśnie – dorzuciła Sandra. – Zmyśliłaś to, i na dodatek niesmacznie.

– Zmyśliłam? – spytała Ridley. Przeniósła wzrok z Caitlyn na Sandrę. – Caitlyn, powiedz Sandrze prawdę. – Zaczęła żuć.

– O co ci chodzi, świrusko? – Caitlyn spojrzała na nią ze złością.

– Powiedz Sandrze, co wczoraj zrobiłaś w domu. I to przy mnie – zachęciła ją Rid. Żuła coraz mocniej.

– Rid – powiedziała błagalnie Lena. To było to samo ostrzeżenie, którego udzielała jej za każdym razem i które Rid nieodmiennie ignorowała.

– Opowiedz im wszystkim. – Ridley uśmiechnęła się, prezentując okrągły różowy balonik.

Twarcz Caitlyn przybrała jakiś dziwny wyraz. Spojrzała na Sandrę tak, jakby sama się miała zaraz pochorować. Potem popatrzyła na te wszystkie twarze w korytarzu gimnazjum Alberta Einsteina.

– Zjadłam kocie wymioty. – Te słowa nie chciały Caitlyn przejść przez gardło. Sandra spojrzała na nią z niesmakiem.

– Ona tak żartuje – powiedziała Lena. Nikt jej nie słuchał.

– I? – spytała Rid, tonem zachęty.

– Zjadłam kocie wymioty i mi smakowały – wymamrotała Caitlyn

*z rozpaczą w oczach.*

*– I? – powtórzyła Ridley.*

*– I jutro znów to zrobię. – Po twarzy Caitlyn popłynęły łzy.*

*Śmiech całkowicie ją zagłuszył.*

*Lena uciekła z tego budynku, a potem za bramę szkoły.*

*Rid dogoniła ją dopiero trzy przecznice dalej.*

*W chwili, gdy chwyciła Lenę za ramię i zmusiła, by się zatrzymała, kuzynka już nie płakała. Twarz miała czerwona, a w oczach błyski.*

*– Dlaczego to zrobiłaś?*

*– Ponieważ – Ridley zdecydowała się na kłamstwo – potrafię. –*

*Nie był to jedyny powód. Za to taki, którego Lena się po niej spodziewała.*

*Teraz już trzymała kuzynkę za oba ramiona.*

*– Ja to potrafię, a one nie potrafią. Zawsze tak będzie. Nigdy się nie staniesz jedną z nich. Ja też nie. Nigdy nie będą dla żadnej z nas dostatecznie dobre lub dostatecznie złe.*

*– Dlaczego zawsze tak się to kończy? – Lena wyglądała na nie mniej udręczoną od Caitlyn Wheatley, choć z innych przyczyn.*

*– A ma to jakieś znaczenie? Nie zmienisz tego. Trzymaj się z dala od śmiertelniczek. Wyzwalają w nas coś bardzo, bardzo złego.*

*A przynajmniej we mnie, pomyślała Ridley.*

*Złego do szpiku kości.*

*Złego do szpiku kości, choć jeszcze nie zostałam naznaczona.*

*Choć już nigdy nie wróciły do tej szkoły, Ridley się tym nie przejęła. Już się w niej nauczyła wszystkiego, co powinna wiedzieć.*

*\*\*\**

Ridley obudziła się, po raz pierwszy od lat myśląc o Caitlyn Wheatley. Zastanawiała się nawet, co też się z nią potem działo. Może poprosi Wojowniczego Nerda Nicka, żeby to zbadał. Na razie jednak miała problemy gorsze od Caitlyn Wheatley. Coś złego wyzwalali w niej znacznie bardziej irytujący śmiertelnicy.

Chociaż ten, o którym myślała, nie do końca był śmiertelnikiem, jeszcze nie tak dawno temu ochoczo by przyznał, że dla niej zjadłby kocie wymiociny.

Tak jak przyznała to Caitlyn Wheatley, zmuszona przez Ridley w

obronie Leny. A po Caitlyn Wheatley wielu innych ludzi.

Ridley znów się położyła.

To ona będzie musiała to zrobić. Zawsze to jej przypadało.

*To musiałam być ja.*

*Byłam Ciemnością, żeby Lena mogła być Światłem.*

Chodziło o to, kim były, ale kryło się w tym też coś więcej. O to, czego oczekiwał po nich ich świat. A potem – czego one same po sobie oczekiwały.

*Czy zawsze się to tak toczy? Czy tak już musi być?*

Rid wyparła z pamięci to pytanie. Nie miało znaczenia. Nie byłaby w stanie zmienić biegu rzeczy. Powinna była pamiętać o podstawowej zasadzie życia pośród śmiertelników: *Siedź cicho lub trzymaj się z dala.*

Inaczej zawsze spalą cię na stosie.

## ROZDZIAŁ 23

### *Comfortably Numb*

Syreni Śpiew był na dobrej drodze do rozbijania budy.

Ridley nie miała ochoty wracać do Syreny. Link tak jej unikał, jakby była gorsza od Emily Asher, ale Rid nie wysłałaby go do klubu Lennox Gatesa osamotnionego i bez ochrony.

Dlatego stała się najwierniejszą grupie Syreniego Śpiewu, nie odstupującą ich na krok.

Najwierniejszą i najmocniej znienawidzoną.

*Nie tak sobie wyobrażałam moje zwyczajne życie*, pomyślała Ridley.

– Nie mam aż takiej gorączki – powiedziała Necro. Oparła głowę o szorstki mur podziemia. Twarz miała bladą, a gdy zamknęła oczy, wydała się Ridley bardziej osłabiona, niż kiedykolwiek przedtem.

Floyd kątem oka zerknęła na Necro.

– Jesteśmy spóźnieni. Chcesz wrócić?

– Mogę ją odprowadzić – powiedziała szybko Rid, trochę nieswojo czując się w luźnej srebrnej sukience w stylu lat sześćdziesiątych. Z Necro właściwie ostatnio nie rozmawiały i gryzło to Ridley bardziej, niż chciałyby przyznać. Poza tym Sampson i Link już czekali w Syrenie. Floyd jeszcze by zdążyła.

Necro pokręciła głową.

– Mowy nie ma, żebym się nie pojawiła na własnym koncercie.

– Co to takiego? – Ridley sięgnęła w kierunku kołnierza skórzanej kurtki Necro. Nie zdążyła nawet dotknąć, bo Necro odtrąciła jej rękę.

– Strefa prywatna, syreno. – Spiorunowała ją wzrokiem.

– Czekał, krew ci leci. – Rid odchyliła włosy Necro. Krew splamiła już biały podkoszulek pod czarną kurtką Necro i wprost nie mogła pojąć, że wcześniej jej nie zauważyły.

Necro dotknęła szyi i na jej palcach pojawiła się bardzo ciemna czerwień. Tak przynajmniej oceniła ten kolor Ridley, choć był znacznie ciemniejszy od typowej ciemnej czerwieni.



– To nic takiego.

– To nie jest nic takiego. Zraniłaś się. Co się stało? – Floyd się zaniepokoiła.

– Nic się nie stało. – Necro patrzyła prosto przed siebie, marząc chyba o tym, by jej przyjaciółki zniknęły.

Żadna z nich, a zwłaszcza Floyd, zniknąć jednak nie zamierzała.

– Nec?

– Pojęcia nie mam, jasne? Poszłam spać. Obudziłam się. Na szyi miałam krew. – Necro wyciągnęła z kieszeni brudną czarną apaszkę w białe czaszki. Owiązała nią szyję.

– Gdzie? – Floyd spochmurniała.

– Na szyi, geniuszko. – Necro była nie tylko ranna, ale i zgryźliwa.

– Daj spokój, Nec. Gdzie się obudziłaś? – Floyd była wyraźnie zaniepokojona.

– Chyba obudziła się w swoim łóżku, nie? – wtrąciła Rid. – Co to w ogóle za pytanie?

Floyd uniosła brew.

– Necro lunatykuje.

– Co takiego?

Necro wzruszyła ramionami.

– Budzę się czasem w dziwnych miejscach. Myślę, że ma to coś wspólnego z byciem... wiecie. Z byciem mną.

Żaden z nekromantów nie chciał wymawiać tego słowa, jakby śmierć była zaraźliwa. Nawet Necro zwykle nie przywoływała go w całości.

Mówiła dalej:

– Mam koszmarne sny, budzę się, czuję się jak totalny śmieć i znajduję drogę do domu. Czasami cuchnę dymem. Ale nigdy dotychczas się nie poraniłam.

Ridley potrząsnęła głową.

– Nie jest dobrze.

– Bez jaj – powiedziała Floyd. Też jej przeszła ochota na żarty.

– To nic takiego – oświadczyła Necro, chwiejnie idąc w głąb tunelu. – Powaga, ludzie.

To było kłamstwo. Ridley sama tyle w życiu nakłamała, że od razu rozpoznawała kłamstwo. Ciekawa była, co naprawdę się

wydarzyło. Jeśli Necro była trochę podobna do niej, nigdy tego nie zdradzi.

Wyciągnęła rękę, by pomóc jej iść, ale Necro nie skorzystała. Ridley nie przypuszczała, że aż tak są do siebie podobne.

\*\*\*

Jeszcze nawet nie było czwartej. Do rozpoczęcia występu mieli kupę czasu, ale i Link, i Sampson już się kręcili po scenie. Gdy tylko Ridley przeszła przez drzwi – tym razem bramkarz nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń – muzyka podkraśniała się do niej. Muzyka i to, co ze sobą niosła, co oznaczała.

Tego, z kim będzie musiała się zmierzyć – czy raczej to, co powinna mu powiedzieć. Że żałuje. Że się martwiła. Że zależy jej na nim. Na nich.

Nie żeby zamierzała to powiedzieć.

*Nie tak, żeby wszyscy słyszeli.*

Stała, przyglądając się im z tyłu głównej hali, niedostępnej dla publiczności jeszcze przez trzy godziny, tak jak każdego popołudnia. Scena majaczyła na odległym końcu tej ogromnej przestrzeni, pod włączonymi reflektorami i przy uruchomionym nagłośnieniu, jakby koncert miał się zaraz zacząć – choć plany były inne. Mieli jeszcze czas na rozgrzewkę.

Chociaż nie był im potrzebny. Miniony tydzień dostatecznie wszystko rozgrzał. Tak to przynajmniej wyglądało dla wszystkich spoza Syreny. Kolejki ustawiały się długie, tłumy szalały, a Ridley nadal nie miała pojęcia, czemu ani z jakiej przyczyny.

Właściwie pojęcie miała, ale nie poparte faktami.

Nie spowodowała tego muzyka. Gust muzyczny Linka przeszedł ze złego w jeszcze gorszy, jakby zaraził nim całą kapekę. Akurat teraz, gdy Ridley tam stała, szlifował nowy kawałek, a gdy już rozróżniła słowa, okazały się tak fatalne, że tego pożałowała.

*Moje Skrzydelko Kurczęce / Do śpiewu me kieszki zachęcasz.*

*Zachęcasz do wszystkiego / Naprawdę szalonego.*

*Skąpane w rzadkim cieście / Me serce już cię pieści.*

*Chcę ciebie jak najwięcej / Skrzydełko me Kurczące.*

Pociągnął ten numer, dośpiewując *Coleslaw / Wejdz w paszczę mą* oraz *Pikle sma-żone / hołubcie moją śle-dzionę*. Jeszcze trochę, a wyczerpie zasób grup produktów żywnościowych i będzie musiał poszukać sobie nowej muzy. Na to przynajmniej wyglądało. Ridley jakoś miała pewność, że nie ona nią będzie.

Westchnęła, opierając się o drzwi, i nadal obserwowała swojego nie-do-końca-chłopaka, szalejącego na scenie. Po dłuższej chwili dołączyły Necro i Floyd i wkrótce cała kapela wyśpiewywała całe kosze piknikowe nonsensów, uznanych przez Linka za warte ich czasu.

Jeszcze godzinę później, z niewidocznych i nieznanymi przyczyn, zażerała się nimi publika. Wesley Lincoln, do niedawna Meatstik, a przedtem Holy Rollers i Who Shot Lincoln, jako Syreni Śpiew robił furorę. Najgorętsze nowe gwiazdki na podziemnej niezależnej scenie klubowej Obdarzonych.

Wesley Lincoln, ćwierćinkub i najgorszy perkusista pięciu gmin górnego i dolnego świata. *On i jego coleslaw, jego sma-żone kurczaki i słodkie eskalopki.*

Ridley pokręciła głową. Będzie musiała wysłać fotkę Ethanowi i Lenie. Nie uwierzyliby. Lena od razu uznała to za żarty, gdy tylko Ridley powiedziała jej o tym przez telefon. Tyle jeśli chodziło o wypatrywanie czegoś odbiegającego od normy. Sukces Syreniego Śpiewu powinien stanowić pierwszy trop.

– Mogę cię o coś spytać? – Głos ją zaskoczył, ale rozpoznała jego właściciela, jeszcze zanim się odwróciła, by na niego spojrzeć.

– Odmowa by cię powstrzymała? – Ridley spojrzała na Noxa.

Wzruszył ramionami. *Raczej nie.*

– Czemu z nim jesteś? Czy to warto? – Nox stał teraz obok niej, obserwował kapelę.

– O co ci chodzi? – Ridley przesunęła się bliżej sceny, w miarę możliwości ignorując Noxa. Uznała, że to, jak postępuje czy też nie

postępuje, to nie jego sprawa.

– Nie o eskalopki – zakpił sobie Nox. – Tyle ci obiecałem.

Link wygłupiał się na scenie, grając na niewidzialnej gitarze. Przynajmniej takie Ridley odniosła wrażenie, że chodzi tu o gitarę. Po jej domniemanych kształtach można by wnosić, że była niewidzialnym akordeonem lub nawet ręcznym odkurzaczem.

Ridley starała się ukryć zirytowanie, ale Nox tylko się zaśmiał.

– Przyjrzyj mu się. Ogromnie umięśniony durnowaty inkub o ograniczeniach umysłowych śmiertelnika.

Zmierzyła go złym wzrokiem.

– Przepraszam, ale czy mówisz o moim chłopaku? – *O moim prawie-byłym-chłopaku. Tego jednak Lennox Gates nie powinien wiedzieć.*

– O kim? Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. – Nox popatrzył nad nią znad swojego kieliszka, rozbawiony. – Tym właśnie dla ciebie jest? Poważnie?

– Znasz angielski?

Roześmiał się.

– Angielski tak, kretyńskiego nie. – Machnął ręką w stronę sceny. – A skoro o tym mowa, niektóre z jego tekstów trudno mi zrozumieć.

Uniosła brew.

– To zabawne, bo ilekroć otworzysz usta, słyszę wyłącznie kretyński.

– Ty i on? Żadna z was para. A jeśli wydaje ci się, że tak, Mała Syrenko, to gorzej z tobą, niż myślałem. Czy może powinienem powiedzieć: Małe Skrzydełko Kurczące?

– Mógłbyś, ale wtedy zrobiłabym tak. – Ridley trzasnęła go w twarz, najmocniej jak potrafiła.

Nox się skrzywił, rozcierając szczękę.

– Dobra. W porządku. Rozejm.

Zignorowała go.

– Wiesz, czemu się tak na mnie rozzłościłaś? Czemu cię zabolalo? Bo jesteśmy tego samego pokroju, ty i ja. – Opuścił rękę. Widziała, że wręcz przyciąga jego wzrok. Odwróciła głowę.

– Nie pochlebiaj pan sobie.

– Jak dwie połówki jednego jabłka. Jak dwie krople wody. Jak dwoje Obdarzonych z tej samej Księgi Ciemności. – Nox mrugnął do

niej. Ridley miała ochotę walnąć go jeszcze mocniej.

– Tak bardzo się mylisz.

– Czyżby? A myślałem, że dobrze się nam układa.

Poniosło ją.

– Dobrze? Jakim cudem? Nie ma w tobie niczego, co można by polubić, we mnie też prawie nie. Prawdę mówiąc, gorszych ludzi chyba nie znałam. – Tak siebie ostatnio oceniała i nawet jej ulżyło, że mogła to wreszcie powiedzieć głośno.

*Ponieważ taka jest prawda, pomyślała. I nic jej nie zmieni. Choćbym podejmowała nie wiem ile prac i nie wiem jak mocno się starała. Choćbym potwornie chciała się zmienić.*

*Choćbym pragnęła być jak najzwyczajniejsza.*

Nox ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Najgorsi. Dokładnie tak. Może zaczęliśmy ze złej strony i powinniśmy na nasz swoisty, pokręcony sposób zostać przyjaciółmi. Jak, nie wiem, Link Floyd?

Zamierzyła się, by znów go uderzyć, ale tym razem przechwyił jej rękę.

Wzruszył ramionami.

– Jesteśmy, kim jesteśmy. Ja jestem Rollsem, on zaś... Jak go nazwał? Rzęchem?

– Możliwe – powiedziała Ridley, cofając rękę. – Gdybym jednak chciała rollsa, nie sądzisz, panie Gates, że po prostu zauroczyłabym szofera? – Przyjrzała się swym srebrzystym paznokciom.

Puścił to mimo ucha.

– Ten klub to moja własność, a to oznacza, że twój chłoptaş także.

Ridley fachowo skręciła w palcach jedno ze swych różowych pasemek.

– A gdybym chciała klubu, panie Gates, to czy po prostu nie zauroczyłabym jego właściciela?

– Kto powiedział, że tego nie zrobiłaś? – Uśmiechnął się. – A skoro już o tym wspomniałaś, kto powiedział, że on nie zauroczył ciebie?

Przewróciła oczami.

– Pomarzyć można. – Teraz dłoń Ridley dotykała jej malutkiej, srebrnej kopertówki, od niechcienia bawiąc się zameczkiem, od

niechcenia wsuwając palce do wnętrza.

– A chciałabyś? – zniżył głos, teraz mroczny i chrapliwy.

Roześmiała się. W tej grze pojawił się nowy wątek, jeszcze jej więc nie przegrała. W rozgrywaniu takich wątków Ridley była mistrzynią.

– Po co te usilne starania, panie Gates? Jestem zaszczycona, ale oboje przecież wiemy, że to nie o mnie tu chodzi.

– Jesteś syreną. Myślałem, że zawsze chodzi o ciebie.

– Nie, proszę. Co się zmieniło od naszej ostatniej rozmowy? Czemu po prostu nie powiesz mi, czego ode mnie chcesz? – Ridley nachyliła się ku niemu. – Chodzi o presję nie do wytrzymania? Oprychy nachodzą? Założmy, że nie jestem tu jedyną osobą, która jest komuś coś tam winna.

Jeszcze bardziej się przybliżyła.

– Może i ty jesteś komuś winien wykupienie kilku żetonów?

– Nie wiesz nawet, co mówisz. – Nox się zdenerwował. –

Postaraj się więc zamknąć ten temat.

*Bingo*, pomyślała.

Z nieznacznie triumfalnym uśmiechem, sięgnęła do klapy jego marynarki, by ją wygładzić.

– Chętnie, panie Gates. I jeszcze słówko na pożegnanie: cokolwiek to jest, nie pomogę w tej sprawie, nie odzyskam tego ani nie dopadnę. Jeśli w jakiś sposób wiąże się to z mięśniakiem o ograniczeniach umysłowych śmiertelnika, stojącym tam na scenie, proszę o tym zapomnieć.

Jego twarz na moment zapłonęła gniewem.

– Jak na syrenę, nie jesteś zbyt urzekająca.

– A ty dla nikogo nie jesteś słodką eskalopką – odparła, poklepując go po policzku. – Biedactwo.

Przykrył jej dłoń swoją, nachylając się ku niej tak, by na krótko przycisnąć ustami jej wargi. Odebrało jej dech, a on, korzystając z okazji, ugryzł ją w dolną wargę. Oboje poraził przyływ czystej energii. Ridley odsunęła się, łapiąc oddech.

Potem to ona go pocałowała, napierając na niego tak, jakby się miała przewrócić. Nie mogła temu zaradzić. Jego pocałunek był jak zaklęcie, wiążące tylko ją jedną. Palily ją wargi.

*Chciałabym go spoliczkować, ale chcę go całować. I chcę, żeby*

*on mnie całował.*

Gdy tylko to pomyślała, Nox odsunął się od niej, badawczo patrząc jej w oczy.

– Mmm-mmm – zamruczał. – Tak jak myślałem. Wystarczy twej słodczy dla nas obojga. – Potem przepchnął się przez tłum i zniknął.

Nie.

Ridley wycofała się, oniemiała, i uciekła pod samą scenę, wciąż przyciskając do warg dłoń, jakby chciała zedrzeć z nich ten pocałunek.

Niedobrze, że nie mogła.

Niedobrze, że przestała nad sobą panować i odpowiedziała pocałunkiem.

Niedobrze, że stało się to akurat wtedy, gdy Linkub, lider Syreniego Śpiewu, podniósł wzrok znad swej perkusji, stojącej na środku sceny.

Każdemu facetowi na widok jego dziewczyny – choćby nawet takiej, z którą zerwał – całującej się z innym, coś w głowie trzaśnie, głośno i wyraźnie. Czy byłby to śmiertelnik, czy też inkub.

Ridley niemal usłyszała ten trzask, a z wyrazu twarzy Linka wyczytała, że wszystko już jest jasne. Przynajmniej dla niego.

Z Linkiem był już koniec.

Oczy Ridley się zamgliły, bo musiała poskromić łzy. Zobaczyła to w twarzy Linka, choć nawet na nią nie patrzył.

Choć nie zamienili teraz nawet słowa.

Nie musieli nic mówić.

Dłoń Linka jarzyła się czerwienią. Ten pierścień. Jak w ostrzeżeniu Leny. Ridley tego koloru jeszcze dotychczas nie widziała.

Nie śpiewał, ale tłukł w bębny, jakby zamierzał je rozwalić.

I zrobił to.

– Co u... – Floyd odskoczyła, ledwie rozprysły się szczątki membran, kawałki metalu, pałeczek i talerze.

Sampson puścił statyw mikrofonu.

Link podniósł bęben basowy i zrzucił go ze sceny. Muzyka umilkła. Kopnął keyboard, przewracając go na podłogę. Jakby się oglądało na przyspieszonym podglądzie wyczyny Hulka<sup>1</sup>.

Już skończył.

Sceną zawładnęła ciemność.

Wydawało się jednak, że to Necro najmocniej ją odczuła. Gdy

bęben rąbnął w podłogę, ona też upadła, zmieniając się w bezładną kupkę członków, krytych czarną skórą.

Link, dysząc ciężko, opuścił wzrok na błękitnowłosą kompankę z kapeli.

– Nic ci nie jest? – zapytał chrapliwie.

Gdy Ridley wspięła się na scenę, Necro była nieprzytomna. Rid przykucnęła i zerknęła na szyję dziewczyny. Rana się jąrzyła, ociekała ciemną cieczą.

Czarną krwią.

Bohater komiksów wytwórni Marvel. Monstrum o wielkiej sile i niepohamowanej agresji. [\[wróć\]](#)



## ROZDZIAŁ 24

### *Wish You Were Here*

Już w chwilę później Link ściągnął przepocony T-shirt i owinał nim szyję Necro. Floyd przycisnęła ten opatrunek, ale krew się przezeń przesaczyła.

– To nie jest zwykła rana – oznajmiła Ridley z wahaniem. – Aż tak bardzo by nie krwawiła.

– Myślisz, że tego nie wiem? – warknął Link.

– Pomocy – powiedziała Floyd, z twarzą całkiem pobladłą. – Niech ktoś nam pomoże.

– Link... – zaczęła Ridley.

Spojrzał na nią. Ręce miał czarne od krwi.

– Nie. Nie teraz.

– Co mam zrobić? – spytała.

Floyd wstała.

– Iść sobie.

– Chcę pomóc! – Ridley aż się zatrzęsała.

Floyd spojrzała tak, jakby chciała ją uderzyć.

– Nikogo nie obchodzi, czego chcesz.

– Ja nie...

Floyd podniosła głos.

– Choć raz się wreszcie zamkniesz? Nie o ciebie tutaj chodzi.

– Po prostu odejdz – powiedział Link. – Proszę, Rid.

Potem podniósł Necro tak ostrożnie, jakby była jedną z wiewióreczek Sióstr, i zniósł ze sceny.

\*\*\*

*Naprawdę jestem najgorsza na świecie. Gorsza nawet od śmiertelników. Gorsza niż sam Lennox Gates.*

Ridley doszła do takiego wniosku, jeszcze zanim taksówka zajechała na miejsce.

Link powiedział, że ma sobie iść, poszła więc, nie mając nic, poza tym, co na grzbiecie, i garścią lizaków. Zauroczyła pierwszą

taksówkę, na jaką natrafiła, i poleciła kierowcy, by ją zawiózł do najsympatyczniejszego hotelu w centrum Nowego Jorku.

Raz w życiu, Ridley chciała przyjść z pomocą. To, że nie miała poczucia, iż opuszcza wszystkich mieszkańców mieszkania 2D, też było dla niej czymś nowym. I rozdzierał ją ból, że coś złego dzieje się z Necro, zwłaszcza że czegoś takiego jeszcze nie widziała.

A Necro była jedyną od jej przybycia do Nowego Jorku osobą, która okazała jej coś z sympatii.

Ridley czuła się okropnie. Czuła się odpowiedzialna. Martwiła się. Czuła niepokój.

Wszystkie te uczucia były dla Ridley bardzo nietypowe.

Jednakże Link nie życzył sobie jej obecności, a Floyd i Sampsonowi zależało przede wszystkim na przeniesieniu Necro do mieszkania. Nie mogła więc zrobić dla nich nic lepszego, jak tylko odejść i pozwolić im podjąć próbę uratowania Necro.

Narozrabiała już wtedy w Udreće, a od tamtej pory jedynie wszystko pogorszyła.

Nadszedł więc czas, by sobie pójść, tym bardziej, że tego chciał też Link.

Zostawiła więc za sobą Syrenę, Marilyn's Diner, mieszkanie 2D i Brookliński Blowout. Zostawiła chorą nekromantkę, iluzjonistkę wpatrzoną w jej byłego, wielce podejrzanego Ciemnorodzonego i ćwierćinkuba o złamanym sercu, którego zdradziła.

Ridley nie miała pojęcia, dokąd jedzie, wiedziała za to, co zostawia. Wszystko.

Gdy wyjrzała przez okno, nie było tam nic znajomego. Miasto zmieniało się na jej oczach – budynki stawały się wyższe, okienne skrzynki na kwiaty miały swoje systemy nawadniania, jaśniejsze były światła uliczne. To już nie był Bushwick. Jeżeli człowieka nie stać było na czynsz, Nowy Jork jawił się najcięższym na tym świecie miejscem do życia. Z drugiej strony, jeśli stać go było nie tylko na czynsz, ale i na zafundowanie go tysiącowi innych ludzi, to miasto okazywało się najwspanialszym we wszechświecie. Takie było tam, dokąd Ridley zmierzała. Przedtem nie mogła sobie na to pozwolić, ale skoro jedynym powodem, dla którego nie używała swych mocy, był Link, który już jej nie chciał, nic jej nie hamowało.

Samej Ridley nie zależało, by być kimś zwyczajnym.

A zresztą tu, w tej okolicy, nikt nie był do końca zwyczajny. Tylko to miała w głowie, gdy wchodziła do holu hotelu Les Avenues, na rogu Siedemdziesiątej Siódmej i Madison, w samym sercu manhattańskiej dzielnicy Upper East Side, równie odległej od Bushwick, jak Gatlin.

Może i odleglejszej, pomyślała, gdy przystanąła, wpatrzona w posadzkę z czarnych i białych marmurowych płytek, zastawioną tu i ówdzie dwuosobowymi siedziskami, tak nowoczesnymi, że trzeba było być gimnastykiem, by się z nich nie sturlać.

Na jednym z nich siedział, czytając gazetę, mężczyzna w kapeluszu typu fedora. Gdy przewracał strony, zauważyła na jego palcu błyszczący sygnet.

Podniósł wzrok.

Odwróciła głowę i coś ścisnęło ją w gardle.

*O co chodzi?*

Było w nim coś znajomego, ale zniknął, nim zdążyła skojarzyć czemu. Pozostała po nim jedynie gazeta, złożona na siedzeniu.

*Dziwne.*

Oparłszy się o ladę recepcyjną, Ridley uświadomiła sobie, jak bardzo jest wyczerpana. Wyczerpana i przytłoczona. *Marzę tylko o tym, by walnąć się na łóżko.* Na szczęście, ledwie o tym pomyślała, pojawiła się recepcjonistka.

– Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

Choć była to jedynie recepcjonistka, wyglądała bardziej światowo, niż czuła się teraz Ridley. Ridley nie mogła nie zwrócić uwagi na wysoką jakość jej blowoutu. *Lśniące końcówki. Dobra odzywka. Nic z tej taniochy, której my używamy.*

– Tak. Mam tu rezerwację. Ridley Duchannes. – Posłużyła się swym najlepszym uśmiechem typu *choćbyś niewiele rozumiała, czyż nie możesz z samego sposobu, w jaki wymawiam moje nazwisko, wywnioskować, jak wiele ono znaczy.* Był nowym patentem, udoskonalonym już po przybyciu do Nowego Jorku. Lepiej działał, wsparty ruchem brwi, Ridley jednak była teraz zbyt zmęczona, by angażować jeszcze inne partie twarzy.

Recepcjonistka użyła własnego uśmiechu, z gatunku tych niemiłych.

– Dokonała jej pani niedawno? Nie widnieje pani w naszym

komputerze. – Nieznacznym uniesieniem brwi przekazała Ridley: *Nie myśl, że mnie obchodzi, kim jesteś.*

– To dziwne – stwierdziła Ridley. *Wcale nie dziwne, bo przecież nie mam rezerwacji.*

Machnięciem ręki wskazała komputer.

– Nie może pani zrobić z tym jakiegoś czegoś, żeby to naprawić?  
– *Akurat teraz przydałby się tu Wojowniczy Nerd Nick.* Tęsknie popatrzyła na telefon.

– Jakie coś mi pani sugeruje, Madame? – Recepcjonistka uniesione miała już obie brwi.

To nie miało sensu.

Ridley westchnęła, odwijając lizak o smaku wiśni. Nie miała ochoty tego robić.

*No cóż.*

Bez większego przekonania, podjęła ostatnią próbę.

– Wiem, Słodka Pysiu, że macie dla mnie pokój. Zamailowaliście do mnie, pisząc, że mój weekend tu jest zaklepany.

– To nie Las Vegas, Madame. Z zasady nic nikomu nie zaklepujemy. – Tym razem recepcjonistka pozwoliła sobie na zlustrowanie kreacji Ridley.

To nie był komplement.

Ridley wsunęła lizak do ust, ponownie westchnąwszy. Ledwie to zrobiła, złote punkciki w jej oczach przybrały na sile tak, że wydawały się rozświetlone bijącym przez nie blaskiem. Czuła moc wzbierającą w jej ciele i na wszystkie strony wypływającą z niego, dopóki holu nie spowiła lekka złota mgiełka.

– Czemu nie spojrzysz pani raz jeszcze?

Kobieta przewinęła listę na ekranie komputera.

– Przykro mi. Brzmi... znajomo. Ale w komputerze pani nie mam.

Teraz Ridley uniosła brew.

*Interesujące. Twarda z niej sztuka.*

– Mówiłam o weekendzie? – zaczęła znów Ridley. – Bo jak teraz o tym myślę, to w liście była mowa tylko o tym, że macie dla mnie pokój i że będę mogła się w nim zatrzymać tak długo, jak będę chciała. Bez opłat. Chyba było też coś o moich fanach. Że chcielibyście, żeby wiedzieli, że to was wybrałam.

To były fundamentalne zasady przekonywania. Błefuj. Nigdy się nie cofaj. Uwierz w to, co sprzedajesz. Im więcej zażadasz, tym prawdopodobniejsze będzie, że dostaniesz to, czego zażądałaś.

Ale nie tym razem.

– Nie mam w komputerze takiej adnotacji. Reprezentuje pani przemysł rozrywkowy?

– Można tak powiedzieć.

– Mogłabym prosić o pani kartę kredytową? Mogę zarezerwować pani standardowy pokój z widokiem na budowę przy Siedemdziesiątej Siódmej. Jest nieco mniejszy niż...

– Powiedziałam, *pokój*? Miałam na myśli apartament. – *Podbijaj stawkę, syreno.*

– Chwilowo nie dysponujemy odpowiednim apartamentem....

– Usłyszała pani *apartament*? Ja powiedziałam *penthouse*. – *Uwierz w to. Zaslugujesz na ten penthouse. Po prostu niemożliwe, że mogłabyś nie dostać tego penthouse'u.* Ridley zdjęła okulary słoneczne, wpatrując się w tę kobietę całą mocą syrenich oczu.

– Ona jest ze mną, Penelope.

Ridley prychnęła z wściekłością, gdy, odwróciwszy się, zobaczyła za sobą Noxa, z czarną skórzaną kurtką przerzuconą przez ramię.

*Nie on. Proszę. Nie teraz.*

– Bardzo przepraszam, panie Gates – Recepcjonistka całkiem się pogubiła.

– Proszę, mów mi Nox. – Oparłszy się o ladę, puścił do niej oko.

– Wszyscy tu jesteśmy tak sobie bliscy.

– Oczywiście, panie Gates.

– Możesz ją umieścić w pokojach mojej siostry. Na trochę wyjechała. – Spojrzał na Ridley. – Trzymamy tu kilka apartamentów. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

Ridley nie odpowiedziała.

– Dobrze, proszę pana. – Recepcjonistka odwróciła wzrok.

Nox uśmiechem dodał jej otuchy.

– Federico zapewne zapomniał przekazać, że wcześniej dzwoniłem, zapowiadając przyjazd panny Duchannes.

– Ogromnie przepraszam. Panie Gates. Hm, Nox.

Ridley obserwowała, jak lodowate serce recepcjonistki topnieje.

Dobry był.

I nie potrzebował do tego cukru. Nie było też widać lizaka. O ile Ridley mogła stwierdzić, nic po nim nie było widać. A jednak dysponował wszelkimi mocami syreny.

*Zawsze był w stanie to robić? Użył ich na mnie? Czy to dlatego go pocałowałam?* Ta myśl wydała się Ridley zbyt niepokojąca, by bardziej ją zgłębiać.

Dowód jednak był niezbity. Jakiegoś rodzaju moc posiadał.

Cokolwiek Lennox Gates sprzedawał, ta kobieta tego pragnęła.

Ridley nienawidziła go bardziej, niż kiedykolwiek przedtem.

– Śledzisz mnie? – syknęła. Uniósł palec. *Nie teraz.*

Gestem wskazał rząd wind. Gdy oddalali się od recepcji, krew w Ridley buzowała tak głośno, że nie słyszała stukotu swoich obcasów na czarno-białych marmurach.

– Co ta kobieta w sobie ma? Czułam się taka... taka... jak śmiertelniczka.

Wzdrygnęła się.

– Witaj w Nowym Jorku.

– Wiesz, ilekroć to słyszę, odnoszę wrażenie, że życzą mi czegoś przeciwnego. – Nie wiedziała, czemu z nim rozmawia. Nie powinna. Nie był tego wart.

– Nie ja. Ja mówię to, co myślę, słowo w słowo.

*Łgarz.* Ridley popatrzyła na Noxa.

– Moc przekonywania nie zdołała poruszyć nawet włoska na głowie tej kobiety.

– Powinnaś zapewne przyjąć, że Les Avenues to miejsce odporne na twoje moce.

– Odporne? Czyli nic tutaj nie znaczę? – Ta myśl mogła zbić z nóg.

– Tak mówi każdy, kto zawędrował w te strony. – Nox pośmiał się trochę z własnego żartu. Potem się poddał. – Ona należy do Ciemnorodzonych.

– Co takiego?

– Trzy górne piętra tego budynku? Sami Obdarzeni, wszyscy potężni i raczej nie spod znaku Światła. – Wzruszył ramionami. – W takim razie parter, personel? Ciemnorodzeni. W najwyższym stopniu uodpornieni na wszelkiego rodzaju moce. Ostatnie słowo w dziedzinie

ochrony Obdarzonych. – Wzruszył ramionami. – To działa.

– Ale ty masz nad nią władzę.

– Oczywiście. Dysponuję mocą najstarszą ze wszystkich: obrzydliwym mnóstwem pieniędzy. Mój ojciec miał dar jasnowidzenia i nie mógł się oprzeć giełdzie śmiertelników. – Nox wcisnął guzik windy i wyjął kartę klucz. – Weź ten pokój. Moja siostra nigdy tu nie bywa.

Ridley spochmurniała.

– Weź go. Potraktuj jak dar pojednania. Przepraszam za to, co było w klubie. Nie powinienem był tego robić.

*Za pocałunek. To słowo nawet nie przechodzi mu przez gardło.*

– A myślałam, że mówisz to, co myślisz.

– Owszem. – Spojrzał w wyłożony lustrami sufit. – Wtedy też tak było. Sam nie wiem, czemu to zrobiłem. – Zabrzmiało to szczerze, ale oduczyła się już osądzać Noxa Gatesa po pozorach.

Byli w tej windzie sami. Ridley przypatrywała się guzikom. Tam właśnie było najbezpieczniej zawiesić wzrok – dopóki winda nie zatrzymała się z impetem.

Nox obserwował jej twarz, gdy drzwi windy się otwierały. Przytrzymał je.

– Zaczynam myśleć, że coś w tobie wyzwala we mnie to, co najgorsze. – Te słowa były boleśnie znajome. Potrząsnął głową. – A może to najlepsze. Ostatnio trudno to rozróżnić.

Ridley wyszła z windy na korytarz za tymi drzwiami.

– Nie chcesz widzieć we mnie dobrej dziewczyny, skoro to mówisz.

Nie chciała, by zabrzmiało to jak komplement, i wiedziała, że on tego tak nie odbierze.

– Ogień – powiedział, gdy przechodziła obok niego.

– Słucham? – Zatrzymała się.

W jego głosie wyczuła napięcie.

– Gdy cię całowałem, poczułem smak ognia. Nie wiem, co to oznacza. Pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć. – Był zdenerwowany.

*Dziwnie zdenerwowany, pomyślała.*

– Przepraszam, chyba gadam od rzeczy. – Odwrócił wzrok.

– Wcale nie. – Ridley wzruszyła ramionami. – Wszyscy chłopcy tak mówią.

I już bez słowa poszła w głąb korytarza, zanim rozdzieliły ich zasuwające się drzwi windy.

\*\*\*

Na odległym końcu korytarza czekały na nią polakierowane na czarno drzwi. Już przesuwając kartę nad zamkiem, Ridley domyśliła się, że to, co znajdzie za tymi drzwiami, w niczym nie będzie przypominać mieszkania 2D.

Miała rację. Lennox Gates i jego siostra najwyraźniej żyli sobie jak Księżniczka i Księżę Uroczy.

*A raczej Ochoczy, pomyślała.*

Przynajmniej gdy gościli w Les Avenues.

Drzwi wejściowe otwarły się szeroko na rozległy przedpokój. I tu, tak jak w holu, podłoga wyłożona była białym i czarnym marmurem, jednakże przechodziła w salon z panoramicznym widokiem na miasto. Sięgające od podłogi po sufit okna przyprawiły o zawrót głowy. We wszystkich powierzchniach w tym pokoju odbijało się światło: od szaf z polerowanego bambusu i wielkich kulistych żyrandoli zwieszających się z sufitu po wykończone srebrem ranty białej marmurowej płyty, służącej tu za stolik do kawy. Stolik ten, ozdobiony obfitością białych orchidei, otaczały niskie sofy, kryte czarną skórą. Pozostałą część blatu zajmowały talerze kandyzowanych owoców i czekoladek.

Zrzuciła buty i położyła się na sofie, wyławiając z jednego z talerzy kandyzowanego konika morskiego. W dzieciństwie przepadała za kandyzowanymi konikami.

Dziwne.

*Skąd mógłby o tym wiedzieć? Czyżby się mnie spodziewał? Sama przecież nie wiedziałam, dokąd jadę.*

Sięgnęła po kremowy arkusik, złożony wpół, na talerzu ze słodyczami. *Jeśli czegoś będzie Ci trzeba, R., uderz w dzwonek. Wanna powinna być już prawie pełna. Ubrania są w szafie.*

*Zadufany wiedźmisynek.*

Ten liścik potwierdził coś, co podejrzewała. To, że Lennox Gates oczekiwał jej przyjazdu, oznaczało, że dysponował mocą przewyższającą zdolności przeciętnego jasnowidza. Odczytywanie przyszłości było darem rzadkim i podlegającym ograniczeniom. Reece



była w stanie widzieć jedynie twarze, a stała się totalnie nie do zniesienia. Nox już przedtem igrał z Ridley co do jej przyszłości, tyle że raczej jak jakiś półgłówek.

Gdyby Nox obok innych swych zdolności dysponował też mocą jasnowidzenia, Ridley musiałaby przyznać, że należał do najpotężniejszych Istot Ciemności, z jakimi zdarzyło się jej kiedykolwiek zetknąć. Przekonała się, że mógł manipulować materią, że dysponował pewną władzą nad światem materialnym. Jeśli nie liczyć iluzjonistów, jak Larkin czy Floyd – pozornie tylko mających taką władzę – jedyną znaną Ridley osobą, rzeczywiście zdolną dokonać czegoś takiego, była Lena. Jeszcze Sarafine, tyle że o niej można już było zapomnieć.

Tak przynajmniej twierdził Ethan od swego powrotu z zaświatów.

Przyjrzała się trzymanemu w dłoni arkusikowi. Ten liścik nie pozostawiał wyboru. Ridley musiała przyjąć, że w Lennoksie Gatesie kryje się więcej niż tylko upodobanie do gry i nocnych klubów. Było tego zbyt wiele – moc przekonywania, materializacja i zniekształcanie czasu – zbyt wiele jak na jednego Obdarzonego, i nie miała pojęcia, jak i dzięki czemu osiągnął taką potęgę.

Ale było to coś.

Coś, co czyniło go potencjalnie niebezpiecznym albo potencjalnie użytecznym.

To dawało do myślenia.

Ridley wyciągnęła się na poduszkach. Czowała się okropnie z powodu Linka i martwiła się o Necro.

Nic dziwnego, że ją wywalili.

Dotarł do niej szum wody z sąsiedniego pomieszczenia. Kąpiel. Wstała, czując pod stopami miękkie puch grubego białego dywanu. Kąpiel mogła pomóc jej odzyskać spokój. Rozjaśnić myśli. Zdecydować o dalszych działaniach.

*Odrobina piany nie zawadzi.*

Przechodząc przez sypialnię, starała się nie dostrzegać olbrzymiego łoża. Zwróciła uwagę jedynie na okrągły świetlik, wycięty w stropie i dachu tuż nad nim. Wyobraziła sobie, jak leży tam, wpatrzona w gwiazdy.

Księżniczka miała na co popatrzeć.

Ridley znalazła drzwi łazienki i dla bezpieczeństwa się w niej

zamknęła, podczas gdy wielka wanna wypełniała się wodą o aromacie róży i lawendy. Dokładnie tak, jak obiecał Lennox Gates.

Dopiero wtedy pozwoliła sobie na płacz.

Oszukując siebie, że to przez mydło gryzące ją w oczy.

\*\*\*

Trzy grube białe ręczniki później, Ridley poczuła się jak odrodzona. Otulona puszystym szlafrokiem, wycierała do sucha swoje długie włosy. Gdy rozczesywała splątane loki, patrząc na siebie w lustrze, jednocześnie się strofowała.

*Weź się w garść. Pozbieraj się, syreno. Tak, jak to robisz. Przystań zachowywać się tak, jakby ci na nich zależało. Przystań odgrywać wujka Macona.*

*Jakbyś nie mogła zaakceptować tego, kim jesteś, tego jak dalece jesteś z Ciemności. Jakbyś miała wybór. Jakbyś miała dom.*

*Jakby w noc twojego naznaczenia nie zatrzaśnięto ci przed nosem wszystkich drzwi.*

*Odpuść sobie.*

Ridley odłożyła szczotkę i wstała, zanim twarz w lustrze podsunęła jej coś przeciwnego.

Apartament roztoczył przed nią uroki komfortowego spokoju. Dreptała boso przez kolejne pomieszczenia, wędrując do salonu, by go zbadać. Za przedpokojem apartament dzielił się na salon, łazienkę, i sypialnię z ogromną garderobą. Salon zdobiła ściana okien, a dalszy jego kraniec zdominował marmurowy kominek.

Ledwie przed nim stanęła, ogień sam zapłonął, z trzaskiem zbudził się do życia.

*Wdzięczny ruch, książę.*

Nad kominkiem Ridley zauważyła oprawiony w ramy fragment pergaminu, stary i pożółkły. Był to urywek z Odysei Homera, znany wszystkim syrenom: *Pieśń syren*. Znała te słowa niemal na pamięć. Wuj Macon miał w swojej bibliotece podobną stronicę. Były one tyleż rzadkie, co ważne.

Syrenie relikwie, o ile można tak powiedzieć. Niesamowicie było znaleźć tu coś takiego.

*Zbliż się, chlubno Achiwów, Odysie z Itaki!*

*Zbliż do lądu! Posłuchaj, jak śpiewamy cudnie!*

*Nikt tu jeszcze na czarnym nie przemknął się sudnie,*

*Żeby się nie zatrzymał na dźwięk naszych pieni;*

*Owszem, wszyscy śpiewaniem tym rozweseleni,*

*Oświeceni mądrością płyną sobie dalej.*

*Wiemy, co niegdyś Grecy, Trojanie doznali*

*Nieszczęść, z bogów naprawy, na Ilionu polach,*

*Wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach<sup>1</sup>*

Ridley wpatrywała się w te słowa, wspominając, czym niegdyś dla niej były. Szesnastolatce trudno było zaakceptować przynależność do Ciemności; świadomość, że było to jej przeznaczone, jakoś to ułatwiała. Przed nią ten los dzieliły całe pokolenia syren, tak jak pokoleniom żeglarzy pisane było roztrzaskać się na skałach.

*Czemu mnie miałoby to być oszczędzone?*

Delikatnie dotknęła pergaminu. Świat był miejscem okrutnym, ale przynajmniej podległym pewnemu porządkowi. Ridley rozumiała więc, kim i czym się stała.

Rozumiała to przeznaczenie.

Szła wzdłuż ściany, przyglądając się obrazom, fotografiom i

innym pamiątkom rodu Gatesów – aż natrafiła na fotografię z dzieciństwa Noxa, przedstawiającą go wraz z malutką siostrą na kolanach u jakiejś kobiety.

    Za nimi stał ciemnooki mężczyzna. Wyglądał znajomo.

    I chociaż była to tylko fotografia, mogła wyczuć odbijającą się w tym pokoju echem moc, której nie sposób było pomylić z inną.

    Moc przekonywania.

    Tutaj.

    Teraz.

    Syreni Śpiew. Klub Syrena. Wszystko to, co tam odczuwała. To wszystko nagle nabrało sensu.

    Kobieta z fotografii była syreną. Ta kobieta była też najprawdopodobniej matką Noxa.

    W żyłach Lennox Gatesa płynęła krew syreny.

    Fragment z Odysei Homera. Przełożył Lucjan Siemieński, 1873.

[\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 25

### *Knockin' on Heaven's Door*

Link nie miał czasu odebrać telefonu. Szczerze mówiąc, nie miał czasu myśleć o Ridley. Nie miał czasu na nic, poza wychodzeniem z siebie.

W wielkim stylu.

Na miarę hybrydowego inkuba.

Najbardziej w świecie Link nie znosił dziewczęcego płaczu. Nie znosił ani gdy płakały, ani wtedy, gdy się na człowieka wściekały, ani też gdy robiły tylko te swoje wielkie oczy, tak rozlatane, że bardziej na miejscu byłyby w kojcu pełnym szczeniąt.

To jednak było jeszcze gorsze.

Necro nie robiła nic z tych rzeczy. Jedynie leżała – bez ruchu. Nie za bardzo wyglądało nawet na to, że oddycha. Link pomyślał, że nie tak bardzo różniła się od zmarłych, z którymi podobno rozmawiała.

Skórę miała tak bladą, że niemal zielonkawą. Pod oczyma pojawiły się cienie. Rana na szyi, gdy się jej przyjrzeć, zdawała się powiększać.

Wyglądało to paskudnie.

Wszyscy troje kolejno próbowali opatrzyć jej szyję. Efekty tego prezentowały się dość marnie, ale nie o to chodziło. Czegokolwiek użyli, czerń zawsze przez to przenikała.

Nawet Lucille Ball siedziała w nogach łóżka, wpatrzona w Necro.

– Nie jest dobrze – stwierdziła Floyd. – Powinno już przestać lecieć.

– Sądysz, że Necro dostała w tętnicę czy coś? – spytał Link. – W szyi są tętnice?

– Nie wiem. – Floyd popatrzyła na niego. – Myślisz, że może się wykrwawić?

– Nie. – Link pokręcił głową. – Żeby umrzeć, trzeba stracić jedną trzecią całego zasobu krwi. Ale trzeba jej trochę chirurgii.

– Co? – Floyd wytrzeszczyła wzrok. Nie zabrzmiało to jej jako

coś w jego stylu, ale prawdopodobnie dlatego, że nie widziała go podczas *Tygodnia z rekinami*<sup>1</sup>.

– Zszyć ją. – Wzruszył ramionami. – Widziałem to na Discovery.

– Poczekaj. Już biegnę po igłę z nitką. – Floyd ponosiły nerwy.

– Żeby poskutkowało, muszą być sterylne – pouczył ją. – Macie tu gdzieś, ludzie, Całodobowy Super Ekstra Oddział Ratunkowy? – Link nie był pewien, jaką nazwę mogłaby nosić nowojorska wersja takiej placówki.

– Chcesz, żeby ją zabrać na jakieś pogotowie Obdarzonych czy coś w ten deseń? Bo wiesz co? Nie ma czegoś takiego. – Floyd była bliska rozpacz.

– Ona prawdopodobnie umrze – powiedział Sampson z drugiego końca pokoju.

– Facet, zamknij się – niemal krzyknął Link.

– Proszę. – Floyd potrząsnęła głową.

– Zmierzymy się z faktami. – Sampson przeszedł przez pokój. – Nie wiem, ile czasu nekromantka może pozostawać w takim stanie, zanim jego skutki się utrwala. Niedługo. Zbyt wiele czasu spędza na kontaktach z zaświatami. Do przejścia na tamtą stronę komuś takiemu jak ona wystarczy ledwie drobne pchnięcie...

– Tak sądzisz? – warknął Link i nachylił się nad łóżkiem. – Hej, Necro. Obudź się, babo. Ten występ był zabójczy. Musisz się obudzić, żebyśmy mogli go obgadać. – Potrząsnął ją za ramię. Był tak zdenerwowany, że nie potrafił myśleć z sensem.

*Co w tej sytuacji zrobiłby Ethan? Co zrobiłby Ethan, widząc, że wszystko na tym świecie, co mogło się sprzysiąc przeciw niemu, już się sprzysięgło? I czemu palec pod tym durnym pierścionkiem pali mnie wariacko?*

Czegokolwiek jednak próbowali, mówili bądź robili – Necro nie reagowała. W połowie przykryta kocami, wydawała się blada i malutka. Floyd siedziała przy niej na podłodze.

– Esperanza – powiedziała.

– Co? – Link przyjrzał się jej, zdezorientowany.

– Necro to nie jest jej prawdziwe imię. Brzmi ono: Esperanza.

Link przyjrzał się nieprzytomnej punkówie.

– Pewna jesteś?

Floyd smutno się uśmiechnęła.

– Nienawidzi go i skopie ci tyłek, jeśli tak się do niej zwrócisz.  
Czasem jednak wydaje mi się właśnie Esperanza.  
– Pewnie od dawna się przyjaźnicie, co? – Linkowi nagle zrobiło się prawie tak samo okropnie żal Floyd, jak Necro.  
Floyd wzruszyła ramionami.  
– Raczej tak. Jest w porządku. Jak na Necro.  
– Kto ci to zrobił, Esperanzo? – Link nachylił się nad twarzą tamtej – Esperanza? Obudź się i skop mi tyłek.  
Nic nie skutkowało. Krew wciąż sączyła się z jej szyi, cały bandaż zabarwiając czernią i zielenią.  
Link się poddał.  
– Jak do tego doszło? Widzielibyśmy, gdyby wdała się w bójkę.  
– Nie w nocy, gdy lunatykowała. – Floyd była zrozpaczona.  
– A ja nie śpiam, pamiętasz? – przypomniał Link. – Powinienem być widzieć, jak wychodzi i wraca.  
– Nie, jeśli ktoś nie chciał, żebyś ją widział. – Sampson podniósł wzrok, opierając się o drzwi. – Nie, jeśli użyto odpowiedniego czaru.  
I nagle był już przy nich.  
– Nie, jeśli stał za tym odpowiedni Obdarzony.  
\*\*\*  
– Co do...?

Ridley niezdarnie szukała budzika na stoliczku przy łóżku, ledwie sobie uświadamiając, że rolę tę pełni srebrna rzeźba, przedstawiająca słonia, a zegarek stoi na jego grzbiecie. Usiadła na środku wielkiego łóża siostry Noxa, kompletnie zdezorientowana. W świetliku nad nią niebo było pomarańczowo-różowe. Słońce prawie już zaszło.

Potem przypomniała sobie, skąd się tu wzięła.

Ridley przekręciła się i zakryła głowę poduszką. Wszystko do niej wróciło i poczuła się wyczerpana. Padła przecież na łóżko, śniąc o statkach, syrenach i sekatorach. O Odyseuszu, Abrahamie Ravenwoodzie, Linku i Necro. Wciąż jeszcze miała na sobie szlafrok, tylko wilgotny ręcznik spadł z włosów i wplątał się w pościel.

Necro.

Ridley podniosła swój telefon. Żadnych połączeń.

Necro mogło się już polepszyć albo pogorszyć. Tak czy inaczej

ani Floyd, ani Link nie palili się do odebrania telefonu. Nie, skoro na drugim końcu linii była Ridley.

Mimo wszystko.

Z westchnieniem wcisnęła klawisz połączenia.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Nic.

Dzwonek u drzwi, którego dźwięk dobiegł z drugiego pokoju, zaskoczył ją.

Ridley spłoszyła się. Jeszcze nie wymyśliła, co powie Lennoxowi Gatesowi, gdy go znów zobaczy. Nic na temat fotografii, syreny czy też Odysei. Gdy otworzyła drzwi, nie jego jednak zobaczyła.

– Och – powiedziała, dziwnie zawiedziona. – To ty.

Ciemnorodzona recepcjonistka trzymała srebrną tackę, ważąc na niej jedną wizytówkę. Ridley wizytówkę zabrała, a recepcjonistce zatrzasnęła drzwi przed nosem.

*Kolacja o ósmej?* Trzy słowa. Tyle tylko było napisane na tej wizytówce, wykaligrafowane na kształt spirali.

*Serio? Wydaje mu się, że może pstryknąć palcami, a ja podskoczę? Mowy nie ma. Dla nikogo nie będę podskakiwać.*

Ridley przyjrzała się sobie w tym szlafroku, a w brzuchu zaburczało.

*Pomyślę o tym.*

*Dziewczyzna musi jeść. Nawet syrena.*

*I muszę z nim pomówić.*

*Gdybym zdołała go skłonić, by się przede mną otworzył...*

*Mogłabym się dowiedzieć, co syrena z fotografii ma wspólnego z klubem Syrena i z Noxem – oraz z Linkiem i ze mną.*

Im dłużej o tym myślała, tym większego nabierała przekonania, że tak właśnie powinna postąpić. Ale po kolei.

Na początek fakt, że to co miała na sobie, zasadniczo należało uznać za szlachetniejszą postać ręcznika.

Co Nox napisał o ubraniach? Ridley przeszukała apartament i w końcu znalazła garderobę, przepastną bambusową szafę, wbudowaną w ścianę sypialni. Gdy napała na drzwi, złożyły się, ale szafa była pusta.

– Wspaniale.

Tyle, jeśli chodziło o magię Obdarzonych. Najwyraźniej państwo Uroczy powinni mniej czasu spędzać w sali tronowej, troszkę więcej za



to w Bloomingdale'u.

Sięgnęła po jeden smętnie wyglądający, pusty wieszak i ściągnęła go ze srebrnego pręta, ciągnącego się przez całą długość szafy.

Gdy podniosła go wyżej, zobaczyła, że jednak nie był taki pusty.

Na wieszaku wisiała teraz sukienka.

Nie była jaka sukienka, lecz sukienka z czarnej skóry, od Gucciego, istna żyłeta – ta sama, którą Ridley latem podziwiała w witrynie mediolańskiego sklepu.

To było coś więcej niż sukienka.

Właśnie dokonał się wybór broni.

*Syreniej zbroi bojowej.*

Rzuciła sukienkę na łóżko i znów wsadziła rękę do szafy, by tym razem wyjąć parę niebotycznych, a przynajmniej sięgających uda, kozaków ze skóry cielejącej. Prada.

Sięgnęła po torebkę – kopertówkę z miękkiego zamszu, w tonacji metalicznej szarości. Chanel.

Kolczyki? Tiffany.

Bransoletka? Cartier.

Naszyjnik? Harry Winston.

*Diamenty to rzeczywiście najlepsi przyjaciele syreny.*

Mogłaby to ciągnąć przez całą noc, ale do przyodziania miała tylko jedno ciało, a już dochodziła ósma.

Postanowiwszy, że wróci wcześniej i po kolacji pobawi się w przymierzanie tego, co ta szafa z siebie wykrztusi, po raz pierwszy przyznała, że naprawdę chce się zmierzyć z tą sprawą.

Zejdzie na dół, na spotkanie z Lennoxem Gatesem.

Była zdeterminowana, by za wszelką cenę odkryć, co kryła w sobie owa fotografia na ścianie.

Gdy już wcisnęła się w sukienkę, zdolną zatrzymać ruch uliczny, gotowa była na coś więcej niż tylko kolacja.

Gotowa była stawić czoło Noxowi Gatesowi.

\*\*\*

Czekał na Ridley w holu, wyglądając nie tyle jak właściciel klubu w podziemiu, ale raczej jak właściciel świata.

*Światów, pomyślała Ridley. Zarówno Obdarzonych, jak i śmiertelników.*

Gdy tylko ją zobaczył, wstał z jednego z rzeźbionych krzesel, wypchanych końskim włosiem, zapinając środkowy guzik marynarki szytej na miarę. Jego długie włosy spadały na wykrochmalony kołnierzyk równie dobrze skrojonej płóciennej koszuli i widać było, że w tym stroju czuje się równie swobodnie, co w swojej starej skórze w Syrenie.

*Podziemia i klasa wyższa. Kolejny trop do tajemnicy Lennox Gatesa.*

– Niezły ciuch – stwierdziła Ridley z uśmiechem. – Czekaj, gramy dziś w polo z twoim kamerdynerem? Mój lokaj mnie nie uprzedził. – Mówiła tonem zaskakująco swobodnym, zważywszy na okoliczności.

*Dziwne.*

W niczym jej nie pomagało, że Nox tak dobrze wyglądał, a już szczególnie tego wieczoru. Nie mogła tego nie zauważyć. W Gatlin niewiele widywało się tak ubranych ludzi. Jeżeli w ogóle. Nie była w stanie sobie wyobrazić Linka w takim gajerku. *Tak właśnie by to nazwał. Gajerkim.*

– Polo, ależ tak, oczywiście. W mojej wiejskiej posiadłości. Możemy wziąć mój jacht – zaparkowałem za rogiem. – Nox zmierzył ją wzrokiem od stóp po głowę. – Chociaż nie mam pewności, czy jesteś odpowiednio ubrana na coś tak niewinnego jak żeglowanie.

Powiedział prawdę. Sądząc z wyglądu, Ridley tego wieczoru była bardzo niegrzeczną dziewczynką, nawet jak na syrenę. Sposób, w jaki jej skórzana sukienka podkreślała pewne partie, skrywając inne, należało uznać za zbrodnię. *To się nazywa szafa Obdarzonych, pomyślała. I dobrze, bo trzeba skłonić Istotę Ciemności do mówienia.*

Zatrzepotała rzęsami.

– Cóż za ironia. Na drugie imię mam Niewinność.

Nox pomógł Ridley wsiąść do jego limuzyny, czarnego lincolna. Gdy zamknęły się za nią drzwiczki, usadowiła się, z pewnym poczuciem winy, jakby była księżniczką, wybierającą się na jakiś bal. Pomimo zbroi bojowej.

*Jak zepsuta księżniczka, mająca rozwalić niecny bal, ale mimo wszystko.*

Książęta to zawsze książęta, obojętne, czy mowa o śmiertelnikach, czy o Istotach Ciemności i współczesnych syrenach. I

czy się kryje coś w zanadrzu, czy też nie.

*U jednych szklane pantofelki, u mnie cieleca skóra na szpilkach.*

Nigdy dotąd nie zostawiła buta z powodu faceta. Zakładała jednak, że na wszystko w życiu może przyjść pora.

*Stop, upomniała siebie.*

*To jest wojna.*

*Nox Gates to wróg.*

*A buty zatrzymam.*

\*\*\*

Kolacja była kameralna, na tyle kameralna, na ile mogło sobie pozwolić dwoje ludzi w rozległym, wielomilionowym mieście.

Na tym akurat dachu – z ogrodem i okazałą kamienną budowlą – byli jak najintymniej sami.

Sami z kuchmistrem, skrzypkiem i obsługą kelnerską, ale jednak.

Siedzieli przy okrągłym stoliku, zasłanym białą serwet i kwiatów. *Gardenii*, powiedziała w myślach Ridley. Ich zapach był równie słodki, jak to miasto szare. Zamiast gwiazd mieli miejskie światła. Zamiast gór – wieżowce.

– Spróbuj, to Metropolitan Cosmopolitan – powiedział Nox, nalewając jej z wysokiej kryształowej karafki do kieliszka o brzegu z cukrową obwódką jakiś różowy napitek. Zdaniem Ridley, pachnący kwiatami z dalekich wysp.

– W pewnym sensie specjalność domu – dodał.

– Wielkiego domu – stwierdziła Ridley, sącząc tego drinka.

Cukier dał jej potężnego kopa. Czując, że serce jej wali, odstawiła kieliszek.

Tego wieczoru potrzebowała jasnego umysłu.

Nox wzruszył ramionami.

– Wielkiego? Można tak powiedzieć. Nazywają go też Metropolitan.

– Muzeum? – O nim nawet Ridley słyszała, choć z zasady unikała muzeów, jak i innych miejsc, gdzie ludzie nie jej się przyglądali.

Przytaknął.

Rid podniosła kieliszek i zaraz go odstawiła. *Denerwuję się?*

*Jestem zdenerwowana? Tak się to objawia?*

Odchrząknęła.

– Gdzie się podziali ludzie? – Od bocznego wejścia przeszli prosto do windy dla personelu i aż do chwili, gdy znaleźli się na dachu, Ridley nie widziała żywej duszy, najwyżej jakiegoś pracownika ochrony.

Nox się napił.

– Powiedzmy, że dałem im wolne.

Widok zapierał dech w piersiach. W zmierzchającym świetle widać jeszcze było wyrastające w betonowej dżungli zielone korony drzew. Ridley rozumiała już, czemu syreny od zawsze ciągnęły do tego miasta.

– Tu jest pięknie – powiedziała, czując się malutka. To wrażenie było czymś całkiem nowym, szybko się jednak z nim uporała. Tak wiele miała ostatnio nowych wrażeń.

Wzruszył ramionami.

– To piękne miasto. Nie wiem, czemu tyle czasu spędzam w podziemiach, podczas gdy tu na górze jest tak niewiarygodnie.

– Uwielbiasz Syrenę. – Uśmiechnęła się do niego, nadając rozmowie pożądany kierunek.

– Uwielbiam.

– Za co? – Postarała się, by zabrzmiało to swobodnie.

Uważnie studiował ów widok, jakby w obawie przed jego zniknięciem, gdy odwróci wzrok.

– Uwielbiam wszystkie moje kluby.

– Za to, że należą do Ciemności? – Popatrzyła na niego. *Tak jak syrenę z fotografii? Tę, na cześć której nazwałeś klub.*

Tego jednak nie powiedziała głośno. Jeszcze nie.

Człowiek taki jak Nox Gates nie mógł być głupcem. Nie utworzyłby się tak szybko. Nie przed syreną, którą ledwie znał – i na pewno nie w kwestii swoich powiązań z inną syreną.

Nox wciąż przypatrywał się miastu.

– Nie. Za to, że są dla mnie domem. Czymś, czego nigdy nie miałem.

Ridley uśmiechnęła się, niemal nieświadomie.

– Podobnie jak wszystkie inne Istoty Ciemności na tym świecie.

– Czujesz, że to mógłby być twój dom? Nowy Jork? – Znów

patrzył na miasto. – Tyle w nim piękna.

Ridley skrzywiła się.

– Nie tam, gdzie mieszkamy. Ani tam, gdzie pracuję. W metrze też nie. Sprawdźmy: tak, w takich właśnie rejonach się obracam. –

Zaśmiała się.

On nie.

– Są też inne. Pozwól, że ci pokażę.

*To jest to*, pomyślała.

– Co mi pokażesz?

– Nowy Jork, tak jak powinna go widzieć syrena.

*Właśnie.*

– Syrena? Co mógłbyś o tym wiedzieć?

Nie odpowiedział.

Ridley wzruszyła ramionami.

– Wiesz, chyba na jakiś czas naoglądałam się Nowego Jorku. –  
*Bez pośpiechu. Niech sam na to zapracuje.*

– Niczego jeszcze nie widziałaś. – Dotknął jej ręki. Cofnęła ją, spłoszona wpływem dotyku jego skóry na jej własną. *Ostrożnie.*

Uśmiechnął się.

– Jeden dzień. Tylko jeden. Będę grzeczny, obiecuję. A potem, jeśli będziesz chciała, odwiozę cię do twoich przyjaciół i zażadam, by ci wybaczyli.

– Myślisz, że ich obchodzi twoje zdanie? – Na myśl o tym, co mogło się dzieć w ich mieszkaniu, spochmurniała.

*Myślisz, że to moi przyjaciele?* Odstawiła kieliszek.

– Oczywiście, że obchodzi ich moje zdanie. Jak każdego. – Znów uśmiech.

– Nie pochlebiaj sobie – powiedziała Ridley. – Jeśli nawet, to ze strachu przed tobą.

– Już powiedziałem. – Machnął ręką. – Liczą się z moim zdaniem. Czy to naprawdę ważne, dlaczego?

– Ważne – stwierdziła Ridley, uświadamiając sobie, że mówi to z przekonaniem. – Choć długo trwało, nim to pojęłam.

Nox uniósł brew.

– Co ty nie powiesz.

Rid nie spuszczała wzroku z konturów miasta przed nią.

– Miło jest, gdy ludzie przejmują się twoim zdaniem i śmieją się

z twoich żartów. I gdy dostrzegają, kiedy coś mówisz, a kiedy nie. –  
Posłała mu smętny uśmiech. – A przynajmniej, miło było.

*Nie rozpraszaaj się, zgromiła siebie.*

– Tylko jeden dzień? – Nox znów nalegał. – Pozwól, że pokażę.

– Jeden dzień to szmat czasu – powiedziała Rid z wahaniem. –  
Nowy Jork okiem syreny?

Potwierdził.

– To wszystko? – Tylko jeden dzień? Tyle trzeba, żeby rozwikłać  
tajemnicę znaną jako Lennox Gates? Czyż nie tego potrzebowała?

Pomyślała o nieodebranych połączeniach, którymi kończyły się  
jej próby dodzwonienia się do ich mieszkania. Necro była ranna. Może  
potrzebowali Ridley? Może mogłaby im w czymś pomóc?

*Nie wygląda na to, by chcieli mojego powrotu. Nie wygląda na  
to, by zechcieli mnie przyjąć. Nawet nie odbierają telefonu. A ja  
przynajmniej mogłabym spowodować, że ten tutaj się otworzy w kwestii  
syreny z fotografii.*

– Jeden dzień, obiecuję. – Nox, żartobliwie kładąc rękę na sercu.

– I nie próbuj mnie zrobić lub skłonić, żebym została dłużej. –  
Ridley przyjrzała mu się, krzyżując ręce na piersi. Raz już weszła w  
układ z nim i przegrała. Nie zamierzała powtórzyć tego błędu. –  
Żadnych reguł domu? Żadnych sztuczek?

– Żadnego szachrowania, w ogóle.

*Wojna, upomniała siebie. Odpowiedzi. Syrena z fotografii. Tylko  
po to to robisz.*

Uśmiechnął się tak, że poczuła, iż mogłaby mu zaufać.

To zaś, że złapała się na ten jego uśmiech, utwierdziło ją w  
przekonaniu, że ufać mu nie należy.

\*\*\*

Wchodząc tego wieczoru do ogromnego kolistego łóża, Ridley  
spojrzała na telefon. Nadal żadnych połączeń. Nawet Lena dziś nie  
dzwoniła.

*Żadnych połączeń... i żadnych przyjaciół.*

*Nic.*

Necro, Floyd i Sampson nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

Nie tylko oni, Link też nie.

Musiało do tego dojść. To była tylko kwestia czasu. Ridley

wiedziała o tym od zawsze.

Nie da się walczyć z przeznaczeniem. Nie, kiedy przeznaczenie to tylko kolejne drzwi, które zatrząskują ci się przed nosem, czy na to zasługujesz, czy nie.

Nie, kiedy przeznaczenie to tylko samotne przesiadywanie na krawężniku, bez względu na to, czy chcesz wejść do domu, czy nie.

Ridley, przygnębiona, zawięła się w kołdrę.

*Ale nie tylko o mnie chodzi. Necro może być w naprawdę ciężkim stanie. Czarna krew. To zły znak.*

Trzeba było próbować.

Nawet jeśli nikomu na tym nie zależało, a nawet gdyby sobie tego nie życzyli.

Tym razem Ridley nie przerywała połączeń. Potem dzwoniła ponownie. I ponownie. Liczyła gwiazdy nad głową, dopóki dzwonki nie umilkły, a prostokątne urządzonek, zwane telefonem komórkowym, nie padło z braku mocy.

A potem spała i śniła o ulicach bez krawężników i spękanych kamiennych chodnikach – oraz o uśmiechniętych matkach i wiecznie otwartych drzwiach.

Tygodniowy blok programowy, poświęcony wyłącznie rekinom. Jeden z przebojów edukacyjnego kanału Discovery, emitowany od 1988 r. [[wróć](#)]

## **ROZDZIAŁ 26**

### ***Back in Black***

Źle to wygląda. Coraz gorzej. Myślicie, że rzucono na nią jakiś zły urok, czy coś? – Link rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w leżącą na łóżku Necro. Wyglądał na przerażonego.

Jeszcze bardziej na taką wyglądała krążąca wokół niego Lucille Ball.

Floyd podniosła się, żeby obejrzeć tę ranę. Pokiwała głową.

– Wygląda gorzej niż wczoraj.

– Większa. Bardziej czarna – przyznał Sampson. – Stawiałbym na urok. – Przyjrzał się dokładniej ranie. – Przypuszczam, że ostrze, którym tego dokonano, było zauroczone. I że to nie przez tę ranę choruje. Z powodu czaru. Wystarczyło draśnięcie.

Wzruszył ramionami. Floyd i Link popatrzyli po sobie.

– Ma rację – stwierdził Link. – Nec mogła nie zwrócić uwagi na byle skaleczenie. Podrzynanie jej gardła raczej by zauważyła, a tak to przecież na początku wyglądało.

– Tak czy inaczej, nie zdołamy jej pomóc, póki się nie dowiemy, co jej jest – powiedziała Floyd.

– Jeśli jest pod wpływem uroku, to jak zdołamy to rozpracować? – Link zerknął na Sampsona. Nie lubił gościa i go nie rozumiał. Był on jednak z nimi w kapeli, a to w rozumieniu Linka oznaczało, że był jednym z nich.

Czy nie tak to działało?

– Masz jakieś pomysły, Sammy? – zwrócił się do Ciemnorodzonego. – Jak masz, gadaj. Bo ja nic nie mam.

Wzrok Sampsona przeskoczył z Necro na Linka.

– Ja się nie mieszam w sprawy Obdarzonych.

Link osłupiał.

– Ależ to twoja przyjaciółka.

Sampson gapił się w przestrzeń.

– Właściwie nie.

Link pokręcił głową.



– Człowieku, co ci odbiło?  
Sampson wzruszył ramionami.  
– Tak już mają Ciemorodzeni. Nie zaliczamy się do Obdarzonych.  
– No, to macie przesrane. – Link nie starał się ukryć, co o tym myśli.  
– Mów, co chcesz, ale wiem, że mam w tobie przyjaciela – odezwała się Floyd. – Wiem, że jesteś też przyjacielem Necro. Zbyt długo jesteśmy razem i w zbyt wielu klubach...  
– W dwóch. Kluby były dwa – sprostował Sampson. Trwając w uporze, założył ręce na piersi.  
– Mniejsza o to. Ona dla ciebie by to zrobiła, ja również. – Spojrzała na Linka. – Tak samo Link.  
Link popatrzył na nią.  
– Zgadza się. Jestem tu dla was, facet. I zrobiłbym niemal wszystko, gdybyś to ty leżał tam na łóżku.  
Sampson nie zareagował.  
Floyd kiwnięciem głowy wsparła Linka.  
Podjął kolejną próbę.  
– No, właśnie. Tak to jest. I... wiesz... kiedykolwiek ten świat będzie dla mnie okrutny, wiem, że pomożesz mi przebaczyć.  
Sampson uniósł brew.  
– Rzeczce Queen. Właśnie zacytowałeś tekst piosenki<sup>1</sup>.  
Link łupnął go w plecy.  
– Niesamowite. Złapałeś to. I właśnie dlatego, gościu, jesteśmy razem w tej kapeli.  
Cisza.  
Floyd znów kiwnęła głową. *I co?*  
Link wzruszył ramionami. *Nic nie dało.*  
Sampson westchnął.  
– Dobra. Ale nie angażujcie mnie w to. Nic mi nie wisisz i ja ci nic nie wiszę. I nie jesteśmy przyjaciółmi.  
– Dobra. – Link wyciągnął do niego rękę. – Nie jesteśmy przyjaciółmi. Przyklepmy to uściskiem dłoni.  
Sampson zignorował go i znów zerknął na Necro. Potem spojrzał Floyd prosto w oczy.  
– Nie wiem, jak jej pomóc. Mogę ci za to powiedzieć, kto jej to

zrobił.

– Kto? – Floyd przełknęła ślinę.

– A raczej co. Może jestem odporny na moce inkubów i Obdarzonych, ale mimo to je czuję. Przez swoje moce odbiera się was wszystkich bardzo różnie, i ja potrafię to wyczuć.

– O czym ty gadasz? – Link zmarszczył brwi.

Sampson ruchem głowy wskazał Floyd.

– Floyd odbiera się jak kolejkę górską. Ile razy podniosę coś, czego ona dotknęła, robi mi się niedobrze. Mam mdłości.

– Piękne dzięki. Też cię kocham, Frankensteinie.

– Ty, Link, bardziej przypominasz paskudną wysypkę. – Usta Floyd wykrzywiły się w uśmiechu, mającym jednak bardzo krótki żywot. Link zgromił ją wzrokiem.

Sampson nie zwracał na to uwagi.

– Przez ciebie mnie swędzi, i to nieprzyjemnie. Jak po kontakcie z sumakiem jadowitym. Myślę, że to przez konflikt twoich mocy i twojej bezradności. Hybrydy zawsze się tak odczuwa.

– Może masz po prostu alergię na świetny wygląd i geniusz muzyczny? – Część Linka miała ochotę nastukać temu facetowi. Reszta Linka jednak jeszcze bardziej pragnęła wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Możliwe. – Sampson wzruszył ramionami. – Ale też bardzo nie lubię inkubów.

– W porządku. Coś ustaliliśmy.

– Co z Necro? – zapytała Floyd.

Sampson sięgnął po rękę tamtej i przytrzymał.

– Zwykle odbieram bezruch i zimno. Spokój. To wrażenie nie jest złe. Coś jakby pływanie, może w jeziorze.

– A w ogóle pływałeś kiedyś w jeziorze? – Link baczniej mu się przyjrzał. – Bo mało co z tego się wtedy czuje.

– Daj człowiekowi mówić – powiedziała Floyd. Spojrzała na Sampsona. – Co teraz czujesz?

– Nadal tam jest, zimna jak podziemie. Ale wyczuwam też urok. To żar i ogień, ostry i silny. I jeszcze coś.

– Co? – zaniepokoiła się Floyd.

Link wyciągnął rękę i położył ją Sampsonowi na ramieniu.

– Poważnie, facet. Dobijasz nas. Wykrztuś to wreszcie.

– Słodczy – oznajmił Sampson. – Jest słodki. Jak palony cukier. Myślę...

– Nie mów tego. – Głos Linka zabrzmiał groźnie. – Nie musisz tego mówić.

– Syrena – powiedział Sampson. – A tylko jedna taka się wokół nas kręciła.

– O jednej wiemy – warknął Link.

– Posunęłaby się do czegoś takiego? – Floyd zrobiła wielkie oczy. Odsunęła się od Linka, jakby sam fakt znajomości z Ridley niósł w sobie zarazę.

– Nie. Nigdy. – Tego Link był pewien.

– Twoja syrena nigdy przedtem nikogo nie zraniła? Nawet jeśli nie miała takiego zamiaru? – Floyd zdawała się w to powątpiewać.

Link nie odpowiedział.

*Ona nigdy nie ma zamiaru ranić.*

*Mocno.*

Floyd odeszła nieco dalej, pozwalając, by ręka Linka zsunęła się z jej ramienia.

– Bo jeśli to prawda, Link, to jest pierwszą syreną w dziejach tego świata, która mogłaby to o sobie powiedzieć.

– To nie ona, Floyd, ja to wiem. Nie zrobiłaby tego.

– Siedzisz jej pod kapciem. Nawet tego nie widzisz. – Czulo się w tym gorycz.

Link zbył tę uwagę.

– Jakie to teraz ma znaczenie? Rid już tu nie ma. To, czy to ona zrobiła, w niczym nie pomoże Necro.

– Pewnie, że ma znaczenie. Muszę wiedzieć, komu skopać dupę – ucięła Floyd.

Sampson pokręcił głową.

– Floyd ma rację, Link. Ty tego nie łapiesz. Jedyne syrena, która tak potraktowała Necro, może ją z tego wyciągnąć. Nie uratujesz jej, nie znajdując osoby, która zakłęta tamten nóż. – Popatrzył na Linka. – Necro kończy się czas.

Floyd też spojrzała na Linka.

– Myślisz, że uda ci się ją znaleźć? Ridley?

Link wyglądał na przybitego.

– Zabrała się i poszła. Pojęcia nie mam, gdzie jest. Ale mówię

wam, że to nie ona.

– Słodki jesteś, inkubie – zawarczał Sampson.

Link złapał go za kołnierz koszuli.

– Posłuchaj, Maybelline. Ja znam Rid, a ona tego nie zrobiła.

Przysięgam na swoje życie.

Sampson przyjrzał mu się, bez mrugnięcia okiem.

– Miejmy nadzieję, że się bez tego obejdziesz.

Link rozluźnił palce, puszczając koszulę Sampsona.

– Sorki, facet.

Kiedy cofał rękę, jego pierścień więzi znów się rozjarzył – tym razem przechodząc z czerwieni w pulsujące złoto.

Link zagapił się na niego, trzymając tuż przed nosem. Floyd i Sampson też obserwowali, jak pierścień zmienia kolor.

– Co to takiego? – Floyd sięgnęła po niego, pozwalając, by jej palce skąpały się w różowej poświacie. – Jakie to piękne.

– Dawna magia – oświadczył Sampson. – I to potężna. Odczuwa się ją całkiem inaczej. Jeszcze się z czymś takim nie zetknąłem.

Link podniósł rękę. Kolory przechodziły jeden w drugi, jakby pierścień nagle zbudził się do życia.

– Wydaje mi się, że próbuje mi coś powiedzieć. Albo po prostu chce mi spalić palec.

– Niech powie, cokolwiek to jest. – Floyd wpatrywała się w pierścień, jakby rzeczywiście był zrobiony z ognia.

Link podtrzymał rękę drugą dłonią.

– Ciągnie mnie za drzwi.

– Och – westchnęła Floyd.

– To się nim kieruj – powiedział Sampson, gdy pierścień rozświetlił pokój.

– Myślę, że wiem, jak znaleźć Ridley. – oznajmił Link powoli. – A przynajmniej, że ten pierścień to wie.

Floyd odwróciła się w stronę łóżka.

– Nie martw się, Necro. Zaraz wrócimy. – Wygładziła Necro koce, potem chwyciła swą skórzaną kurtkę. – Chodźmy.

– Zostaniesz z nią? – Link spojrzał na Sampsona, ten zaś przytaknął.

– Jedna sprawa. – Floyd zatrzymała Linka, gdy doszli do drzwi. – Nie obchodzi mnie, czy to twoja dziewczyna, czy nie. Znajdziemy tę

syrenę i skopimy jej dupę.

Link nie odezwał się ani słowem.

Nie musiał.

Jeżeli Ridley miała z tym coś wspólnego, to nie do Floyd będzie należała rozprawa z nią.

– Zaczekaj.

Link nachylił się nad plecakiem. Potrzebował z niego jednej rzeczy. Czy chodziłoby o płonący pierścień, niecierpliwą iluzjonistkę lub ranną nekromantkę, czy też nie.

Potrzebował starego, pordzewiałego sekatora.

Jeżeli Ridley uwikłała się w coś ciemnego, musiał być tego powód. A jeśli taki powód był, mało prawdopodobne, żeby kryło się w nim coś dobrego.

Lepiej było się na to przygotować.

Rzeczywiście. To fragment z piosenki „You’re My Best Friend” zespołu Queen. 1975. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 27

### *Fly to the Angels*

Telefon Ridley padał, a wraz z nim jej determinacja. Nikt, nawet Link, nie przeoczyłby stu prób połączenia.

*Wiadomość odebrana, jasno i wyraźnie.*

Obiecała jeden dzień i Nox go otrzyma. *Nox i jego tajemnicza syrena*, pomyślała. Wiedząc więcej o tej syrenie z fotografii, może zdołałaby zrozumieć zagadkę samego Noxa.

Zbroję bojową miała dość prostą: szafa zaoferowała jej kwiecistą sukienkę retro na ramiączkach, do tego komandoskie buty z czarnej skóry, obwieszone łańcuchami, ćwiekowane, i pasującą do nich ćwiekowaną bluzę.

Szafa, jak się okazało, dziś hołdowała Saint Laurentowi. I bądź tu, człowieku, mądry.

Słońce wstawało leniwie, jakby nic lepszego nie miało do roboty. Dzień zaczął się późno i przeszedł w herbatę w holu, której towarzyszyła wieża makaroników, sprowadzonych z Ladurée, paryskiej herbaciarni z Madison Avenue. Różanych, truskawkowych i, oczywiście, czekoladowych, może też o smaku melona. Same najlepsze smaki.

W innym życiu Ridley uznałaby to za doskonałość.

Nox wychylał, jedna za drugą, filiżaneczki espresso, jakby to była czekolada na gorąco. Ridley nie zносиła kawy.

– Na świecie już i tak nie brak gorczy – oświadczyła. – Będę się trzymać czekolady.

– *Chocolat chaud* – powiedział Nox.

– Tej również. A teraz wybierz mi coś dobrego. – Sięgnęła do najbliższego talerza ciasteczek.

– *Un de chaque*, oto czego chcesz. – Nox, z uśmiechem, zaoferował jej lekko osolony makaronik karmelowy. W swoim stroju klubowym – czarnych džinsach, wintażowej czarnej marynarce i z cienkim czarnym krawatem – wydawał się pośród pastelowych, różowych i purpurowych ciasteczek i innych wypieków wyjątkowo nie

na miejscu.

– Co to jest? – Ridley wrzuciła makaronik do ust, robiąc dziwną minę. Słonawa słodycz nie leżała jej tak bardzo, jak słodycz słodka.

– Cóż, w Paryżu nie aż tak bardzo sobie dogadzają, za to Włosi się na tym znają. *Uno di tutti*. To właśnie mówię, wchodząc w Rzymie do cukierni. Po jednym z każdego. Spróbuj kokosowego.

Zrobiła tak.

Potem spróbowała innego. Jeszcze innego, potem jeszcze innego, aż stos talerzy opustoszał i pozostały na nim jedynie okruchy. Z ustami nieustannie tak pełnymi słodkości, nie miała czasu na pytania. *Nie teraz*, powiedziała sobie w myślach. *Później*.

Po śniadaniu przespacerowali się Madison do Whitney. Robotnicy drogowi zrywali chodniki, taksówki dawały o sobie znać trąbieniem i piskiem opon, truchtający ludzie trajkotali przez telefony.

Tak wyglądał idealny poranek w Nowym Jorku. A przynajmniej mógłby takim być – gdyby sprawy ułożyły się inaczej, niż miało to miejsce.

– To tylko jeden dzień. Po co marnować go w jakimś muzeum? – zaoponowała Ridley. – Tak właśnie postąpiłaby prawdziwie nowojorska syrena?

*No już. Pokaż mi, o co ci chodzi.*

– To nie jest jakieś tam muzeum. To moje ulubione spośród wszystkich nowojorskich muzeów – oznajmił Nox.

– Ulubione muzeum? – Ridley swawolnie pokręciła głową. – Serio? Nie wierzę, że to powiedziałeś. *Ulubione* oznacza, że odwiedziłeś niejedno.

– Owszem. Ty też powinnaś. Pomyśl o tym. Andy Warhol uwiecznił Marilyn i Liz. Jeśli nawet nie były syrenami...

– Nie były. – Ridley przewróciła oczami.

– To powinny były być – zaśmiał się Nox. – Pokaż mi wielkiego artystę, a pokażę ci...

– Kiosk z upominkami i bar przekąskowy – weszła mu w słowo Ridley.

– Wielką syrenę. – Nox szeroko się uśmiechnął.

– O nie więc chodzi? O Marilyn i Liz? Żadnych innych wielkich nowojorskich syren przedstawić mi nie zamierzasz?

Przyjrzał się jej, już nie z takim uśmiechem.

Spojrzała mu w oczy.

*Teraz. Ta kobieta z fotografii. Opowiedz mi.*

Niestety, telefon Noxa się rozbrzęczał, wyjął go więc z marynarki, marszcząc brwi.

– Syreni Śpiew odwołał dzisiejszy występ, już wyprzedany. Co się dzieje?

Odpowiednia chwila już przysła, a z nią światło i radość poranka. Twarz Noxa znów stała się mroczna i nieprzenikniona.

Ridley nie potrafiła jednak się tym przejąć, bo znów mogła myśleć tylko o Necro.

Przysunęła przegub bliżej oczu i spojrzała na zegarek.

– Przepraszam. Muszę wracać.

Tam. Mogła przestać udawać, że nie o to jej chodzi.

– Do twoich przyjaciół? – upewnił się Nox. – Myślałem, że to oni cię wywalili.

– Wywalili, znaczy, Link wywalił. Ale moja... – *Jak to powiedzieć? Przyjaciółka? Tak należało ją nazwać?* – Necro zachorowała.

– Necro? – Nox cofnął rękę, wygładził sobie koszulę. – Jak to zachorowała?

– Zemdlała na scenie. Nie widziałeś tego? Wczoraj, niedługo przed tym, jak pojawiłam się w hotelu.

Potrząsnął głową przecząco.

– Wyszedłem zaraz po tym, jak my... sama wiesz. – Przez twarz przemknął mu cień. – Przykro mi to słyszeć. Powinienem do kogoś zadzwonić. Posłać tam lekarza. – Poszukał telefonu.

– Nie jestem pewna, czy akurat teraz chcieliby cokolwiek od któregoś z nas przyjąć. – Ridley powoli dobierała słowa. – Właściwie to jestem pewna, że oboje jesteśmy ostatnimi ludźmi na ziemi, jakich Floyd, Link czy Necro chcieliby teraz widzieć.

Nox znów schował komórkę w kieszeni.

– Tak sądzisz?

Uniosła brew.

– Też tam byłeś. – *Kiedy mnie całowałeś. Na ich oczach. Gdy na to patrzyli.*

– Co więc zrobimy? – Chyba się naprawdę przejął.

– Puściłam im z tysiąc sygnałów. Pozostaje czekać.



– Na co?  
– Nie jestem pewna – odpowiedziała.  
Westchnął.  
– Szczerze powiedziane.  
– Syreny. – Ridley podniosła wzrok. – *Lepiej będzie, jeśli pociągnę sprawę. Tej syreny z fotografii. Mam to w planach.* – Miałeś mi pokazać Nowy Jork okiem syreny.  
– Najpierw muzeum. Sądzę, że powinniśmy poszerzyć twoje pojęcie o tym, czym w istocie jest syrena.  
– Oświeć mnie.  
– Słuchaj, nie mówię, że znam cię lepiej, niż ty sama – powiedział Nox z uśmiechem. – Mówię tylko, że jeśli otworzysz oczy, przekonasz się, że nie jesteś tak osamotniona. A przynajmniej, że nie musisz się taka czuć.  
– Nie jestem osamotniona. Mam... – Kogo? Nie Linka.  
Zwłaszcza nie po tym, co było wczoraj.  
*Już nie.*  
– Mam kuzynkę, Lenę.  
Nox skinął głową.  
– Istotę Naturalną. I masz swoją siostrę. Tego małego cudotwórczego.  
– Siostry. Nie mogę zapomnieć o Reece, choćbym nawet chciała.  
– Urwała. – Czekaj.... skąd wiesz, że Lena jest Istotą Naturalną? – Nie lubiła niespodzianek i nie miała pewności, czy ufa Noxowi na tyle, że ich przeciw niej nie wykorzysta.  
– To Lena Duchannes. Ty jesteś Ridley Duchannes. Znałem wielu Duchannes'ów i jeszcze więcej Ravenwoodów. Nie unikacie zbyt głośno.  
Wciąż szli.  
– A Ryan? Skąd wiedziałeś, jaki to typ Obdarzonego?  
– Wyczułem to. Potężna z niej dziewczynka. – Uśmiechnął się. – Powiedziałbym, że jak jej siostra. Nie wątpię, że ci na niej zależy. Tylko czy ty potrafisz to przyznać? Masz coś z samotnego wilka. Nietypowo jak na syrenę. Myślałem, że podróżujecie stadnie. Z całymi załogami wpatrzonych w was żeglarzy.  
Ridley nie odpowiedziała. Żyła w samotności od chwili, gdy opuściła dom aż do spotkania z Linkiem. Od czasu, gdy rodzeni rodzice

tuż po naznaczeniu wywalili ją z rodzinnego domu. A nawet z Linkiem, choć przez jakiś czas sprawy wydawały się dobrze układać, zawsze kończyło się w punkcie wyjścia. Znowu samotnością.

Samotnie, na krawężniku.

– Może ja potrzebuję samotności – powiedziała w końcu, bo wszystko inne przysporzyłoby większego bólu.

– Może dorównujesz mi w kłamstwach – rzekł Nox, wyciągając ku niej rękę.

Przyjęła ją.

Dłoń miał ciepłą i silną, i trzymając ją, poczuła się z niewytłumaczalnych przyczyn lepiej.

Choćby nawet był drugą najokropniejszą osobą na tym świecie.

Choćby nawet ona sama była tą pierwszą.

Wtedy uściśnął jej dłoń, jakby też się tak poczuł.

\*\*\*

Muzeum stało się piknikiem w parku i zakupami w SoHo. Popołudniowy spacer przeszedł w delikatne sushi. Kolacja zmieniła się w deser, toffi i *crème fraîche*, a także ptysie tonące w ciepłej masie karmelowo-czekoladowej. Kelnerzy stali na baczność, jakby byli ochroniarzami; drzwi się otwierały, samochody czekały, sprzedawcy byli ujmująco mili.

To było jak pogodny film o zaspokojeniu pragnień, opowiadający o życiu kogoś innego. Ridley byłaby szczęśliwa, gdyby stał się prawdą. Marzyła, żeby opowiadał o niej. Ale nawet jeśli przyszło jej tylko dziś w nim zagrać, i to było lepsze niż nic.

Wciąż jeszcze jednak nie było żadnych syren.

Ten dzień mógł zdawać się zaczarowany, a księżę czarujący, ale nadal nic nie wskazywało na jakieś inne czary lub uroki.

Mimo to rozkoszowała się każdą jego chwilą.

Gdy kończyli go w Les Avenues, Ridley pozwoliła Noxowi odprowadzić się do apartamentu.

– Tylko na minutkę – powiedziała.

*Nie jest taki zły*, pomyślała, bywali bowiem gorsi książęta.

– Tylko żeby obejrzeć zachód słońca – zgodził się.

*Naprawdę nie jest taki zły*, powtórzyła w myślach, bywali wszak gorsi wrogowie.

– Tylko żeby popatrzeć na gwiazdy – podsunęła.  
*To nie jest takie złe, pomyślała, jak na wojnę.*  
– Tylko jeden dzień – powiedział. – Obiecałaś.  
*I tylko jedno spojrzenie na niedużą fotografię, wiszącą tu na ścianie, pomyślała.*  
*Lennoxie Gatesie, co opowiesz o syrenie?*

## ROZDZIAŁ 28

### *Fear of the Dark*

Jak dobrze znasz tego faceta? – Link był cały spocony. Potrząsnął dłonią z pierścieniem. Miał wrażenie, że zaczęła się palić.

– Kogo, Sampsona? A jak dobrze można poznać Ciemnorodzzonego? – Floyd była wkurzona. Utknęli w metrze. Nie w podziemiu ani nie w tunelach. W klasycznym starym metrze. Tym cuchnącym wiekowymi papierochami i pieluchami dla dorosłych.

W nowojorskim City panowała godzina szczytu, to zaś oznaczało, że przy każdym otwarciu drzwi wchodziło do wagonu mniej więcej tyle samo ludzi, ile już w nim przebywało.

Wszystko to przypominało rozwaloną łamigłówkę, nie do naprawienia.

Link i Floyd, prowadzeni przez pierścień, przewędrowali podziemie i zdaniem Linka wodził on ich tam i siam. Necro aż tyle czasu nie miała. A Ridley...

Link miał złe przeczucia. Ridley wpakowała się w o wiele gorsze kłopoty, niż mógł przypuszczać. *To ten drugi żeton, pomyślał. Ten drugi żeton oznacza, że pozbawiono ją władzy nad sobą. Ten drugi żeton oznacza, że Lennox Gates może kazać jej zrobić cokolwiek, czego będzie chciała. Nawet jeśli oznaczałoby to zranienie Necro.*

Nie wiedział, co sądzić o Ridley, ale tak czy owak martwił się o nią.

Spróbował o tym nie myśleć. Uczepił się poziomej poręczy nad głową, pozwalając swemu przerośniętemu ciału kołysać się w rytm jazdy. Potem znów spojrzął na Floyd.

– Ten Ciemnorodzony. Myślisz, że on tak na poważnie?

Floyd stała mocno wparta w bok rozchybotanego siedzenia.

– Posłuchaj no, Link. Pytasz, czy wierzę mu, że twoja dziewczyna mogła zranić moją najlepszą na świecie przyjaciółkę? Będącą, na dodatek, naszym klawiszowcem? Pewnie, że tak.

Link przyglądał się tunelowi, przewijającemu się za połyskującymi czernią oknami wagonu. *Już nie jest moją dziewczyną.*

*Nie oznacza to jednak, że jej nie znam. I nie oznacza też, że mogłaby zrobić coś takiego. Nie z własnej woli.*

Ręka go bolała.

Floyd obserwowała go.

– Nie uważasz, że mogła?

Skrzywił się.

– Nie bądź głupia. Oczywiście, że nie.

Odwrociła wzrok, urażona.

– A więc dobra. Skoro jestem ta głupia, to chyba nie bardzo mamy o czym gadać.

– Chyba nie.

Link wolał nie myśleć o sekatorze, który wsunął w tylną kieszeń. *Jeśli taki jesteś pewny, to czemu go zabrałeś? Jak ci się wydaje, z kim będziesz walczył? I w co właściwie ona się tym razem wpakowała?*

Dalej Floyd i Link jechali już, milcząc. To milczenie potrwało jednak tylko kilka minut, gdyż Floyd, przyglądając mu się, niespodziewanie oznajmiła:

– To nie moja sprawa.

– Co takiego? – Link nie zwrócił na to większej uwagi.

Obserwował, jak facet na końcu rzędu siedzeń dyskretnie wyciera nos, co w zatłoczonym wagonie w godzinie szczytu zdecydowanie nie należało do łatwych zadań.

– Zasługujesz na coś lepszego. Tyle chciałam powiedzieć. – Floyd odwróciła wzrok.

Link, zakłopotany, przejechał dłonią po włosach.

– Co lepszego? O czym ty gadasz? – Zrobiła się jakaś mało konkretna. W dodatku facet wepchnął do nosa już pół palca. Jeśli nie będzie uważał, wydlubie sobie mózg.

– Wiesz, o czym mówię. – Floyd zaczynał się irytować. Potrafił to stwierdzić,

*Chyba jej deczko odbija.*

– Nie mam najmniejszego pojęcia. – Teraz i Link się zirytował. Zacisnął palącą go dłoń na poręczy pod sufitem, której się trzymał.

*Poważnie. Ani trochę.*

– Nie moja sprawa. Ja skończyłam.

*Widzicie? Porąbało ją.*

– Dobra – powiedział Link. – Skończyłaś.

*A ja i tak pojęcia nie mam, z czym skończyłaś.*

Jakiś facet wepchnął się między nich. Floyd go odepchnęła.

Przysunęła się do Linka.

– Ridley traktuje cię jak śmiecia.

*Tu cię mamy.*

– Rid wszystkich traktuje jak śmieci.

– Czemu jej na to pozwalasz?

– Ridley nie potrzebuje żadnych pozwoleń. Taka już jest Rid. To syrena. Jest... – Westchnął. – Pokręcona.

Floyd skrzyżowała ręce.

– Zaslugujesz na kogoś lepszego. Tyle tylko chciałam powiedzieć.

– Wiem.

Widział, jak się całowali. Nie było o czym gadać. Nie żeby Link chciał o tym z kimś pogadać, a jeśli już, to na pewno nie z Floyd. Ridley już go sobie odpuściła. Jeśli się kogoś kocha, nie pozwala się innemu tak całować.

*O ile w ogóle kochała.*

– Ty nie rozumiesz. Z takim facetem jak ty każda dziewczyna mogłaby się uważać za szczęściarę. – Floyd jednak nie skończyła nadawać.

– Każda dziewczyna? – Pierścień przeszył jego rękę pulsującym bólem. – Słodki jeź... – Poręcz wyskoczyła z objem na suficie i, całkiem z nich uwolniona, została mu w ręku.

Link rozejrzał się w popłochu, niechcący zataczając nad głową krąg tą poręczą. Ludzie wokół niego przypadli do podłogi.

– Sorki. Nic się nie stało. Zaraz to wsadzę z powrotem. – Próbował wepchnąć pręt na należne mu miejsce pod sufitem, jednak bez rezultatu. – Wszystko gra.

Zrezygnował i rzucił poręcz na podłogę, by kopnąć ją pod najbliższy rząd siedzeń. Obeszło to chyba tylko gościa w słuchawkach, stojącego najbliżej niego.

– Pięknie, palancie.

Reszta wagonu, odkąd nie miał już w rękach tego pręta, nie zwracała na niego uwagi.

Link poczuł, że dalej od Gatlin nie mógłby się znaleźć.

Czuł teraz zresztą całe mnóstwo rzeczy.

Jego dziewczyna puściła go kantem, jak to przepowiadano. Widział, jak cmoka się z innym facetem, prezentującym się – trzeba to przyznać – niewiele gorzej od niego. Ktoś z jego kapeli prawdopodobnie umierał. On sam nie mógł jeść. Nie mógł spać. Jego najlepszy przyjaciel wyjechał. W rodzinie miał samych świrów. Z jakiegoś powodu nie był nawet pewien, czy muzyka, którą tworzy, jest coś warta.

*I właśnie zdemolowałem to chrzanione metro.*

Ledwie to pomyślał, pociąg zatrzymał się z szarpnięciem. Drzwi się rozsunęły i do wnętrza napłynęło jeszcze więcej ludzi. Ręka mu rwała bólem. Miał wrażenie, że prawie słyszy skwierczenie swojej skóry. Zastanawiał się nad rozniesieniem w pył całego wagonu.

Wtedy popatrzył na Floyd.

– To bez sensu. – Złapał ją za rękę i zamknął oczy.

Spojrzała na niego, skołowana.

– Link. Co ty...

Przyciągnął ją do siebie.

Potem zrobiło się cicho, jeśli nie liczyć znajomego brzęczenia – dźwięku z jakim Obdarzona i inkub opuścili wagon metra, murszejący tunel, ciżbę typową dla godziny szczytu i w ogóle ten wymiar.

Udając się w podróż.

Nikt w wagonie tego nie zauważył.

## ROZDZIAŁ 29

### *We Are Stars*

Ridley nigdy jeszcze nie widziała tak wielu gwiazd. Konstelacje śmiertelników, jak okiem sięgnąć. Nigdzie nie było widać Gwiazdy Południa, ale Ridley i tak nie miała głowy do spraw związanych z Obdarzonymi, z wyjątkiem może tego, który akurat jej towarzyszył.

I tej z fotografii na ścianie.

Siedziała obok Noxa, wpatrując się w ciemność z samego środka ogrodu przy penthouse'ie, oświetlonego jedynie blaskiem świec, otaczających ich szezlong.

Z hotelowego dachu noc wydawała się niezmierna.

*Na zawsze to zapamiętam, pomyślała. Księcia lub wojnę. Dobro lub zło.*

*Tę noc. To, jak się ją czuje.*

*To, jak ja się czuję.*

Miasto w dole było szaloną gęstwiną świateł pod mroczną połącią nieba.

*Mogę patrzeć na wszystkich z góry, powiedziała sobie, myśląc o małej dziewczynce, która wszystkie obcasy uważała za nie dość wysokie.*

*I nadal jeszcze jest za nisko.*

Bluza Ridley dawno gdzieś zniknęła i nocny wiatr zdmuchnął jej włosy z gołych ramion. Zadygotała.

Nox położył rękę na oparciu miętko tapicerowanego szezlongu, który z nią dzielił. Na stole przed nimi migotał wymyślny rząd świec przeróżnej wysokości.

– To miłe. – Ridley wypowiedziała te słowa w ciemność, bo prawdę najlepiej było wyjawiać pod osłoną nocy.

– Milsze, niż można było się spodziewać. – Odchylił głowę na poduszkę. – Mimo wszystko.

– Mimo co?

– Weźmy na początek niejakiego Wesleya Lincolna. Zakładam, że jest pewną oznaką sentymentu do Południa. Jak smażone kurczaki



czy placek z orzechami pekan.

Ten żart zdenerwował ją tak, że usiadła.

– Błędnie zakładasz. To dobry człowiek i ja... – Uciekły jej słowa. Nie dokończyła.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Co ty? – naciskał.

– Bardzo jestem do niego przywiązana. – Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o kimś ze swych krewnych starszego pokolenia.

Skrzywiła się.

– On też jest bardzo do ciebie przywiązany?

Ridley potrząsnęła głową.

– Już nie. – Opadła na oparcie. – Wszystko schrząniłam. Jak zawsze.

Nox się nie uśmiechał. Spytał dziwnie poważnym tonem:

– Czuł do ciebie coś więcej? To ci powiedział?

– Skąd wiesz?

– Zastanówmy się. Mówi ci coś słowo *miłość*?

– Nie wiedział, co mówi. Jestem syreną. – Podkreśliła to słowo.

Celowo. – Wiesz, jak to jest.

*Wiesz chyba? A może ona wie, kimkolwiek jest? Ta kobieta z fotografii?*

– Co z tego? – Nox przyglądał się jej badawczo.

– To, że ludzie nie panują nad tym, co mi mówią. Sam wiesz. – *Zwykli ludzie*, pomyślała Ridley. *Bezradni zwykli ludzie.*

– A jeśli on panował? Mógł wiedzieć. Jeśli wiedział, co mówi? I jeśli rzeczywiście darzył cię tym uczuciem?

– To w ogóle ważne? Jak miałabym dostrzec tę różnicę? To mój nadnaturalny dar sprawia, że ludziom na mnie zależy. Jak mogłabym uwierzyć w coś, co ktoś do mnie czuje?

– Nie mogłabyś – przyznał Nox. – Nie w dobre uczucia. Jedynie w te złe. I to jest powód połowy rzeczy, które robisz i które mówisz. Sprowokować uczucia, w które uwierzysz.

*Tak. Dokładnie tak. Tak się dowiaduję, czy coś jest prawdziwe.*

Ridley zaniemówiła. Takiej rozmowy z kimś nigdy sobie nie wyobrażała. Te słowa zapierały dech. Wyczerpywały. Nikomu o tych sprawach nie mówiła. Nawet Lenie. Ani nawet Linkowi.

*Co to ma znaczyć? To, że rozmawiam o tym akurat z Lennoxem*

*Gatesem? To, że on zna moją najgłębiej skrywaną tajemnicę?*

Odwróciła głowę, żeby nie dostrzegł błysku łzy w jej oku.

Nox zaś odwrócił się do niej.

– Taka z ciebie syrena.

Ridley, z uśmiechem, otarła oko.

– Czyżby? Jak twoja matka? – spytała ostrożnie. Bo już nadeszła pora. Teraz jej o tym opowie. Musi. Był nie mniej osamotniony od niej. Byli pokrewnymi duszami i to była ich wojna. Ich krawężnik.

Im obojgu, Istotom Ciemności, tak samo zatrzaśnięto drzwi przed nosem – to dla Ridley nie ulegało wątpliwości.

Bo Lennox Gates zrodzony jest z syreny.

Na pewno.

*Równie mało w nim ze zwykłego człowieka, co we mnie.*

Ridley zastanawiała się jedynie, od jak dawna już w głębi ducha o tym wiedziała, a potem – czemu aż tyle czasu jej to zajęło.

Nox wpatrywał się w nią, zaskoczony.

Ridley nabrała tchu.

– Klub Syrena. Moc przekonywania, szalejąca w tym twoim klubie niczym pożar. Myślałeś, że tego nie skojarzę?

Bezwiednie zadygotała.

– Chodź – powiedział Nox – Do środka.

\*\*\*

Światła były przygaszone, ale ogień buzował wysoko. Nox siedział plecami do płomieni, Ridley twarzą do nich. Gruby pled pod dwojgiem Obdarzonych był ciepły i miękki.

Ridley przypatrywała się Noxowi.

– Czemu mi nie powiedziałeś?

– Że moja matka była syreną? To raczej nie jest coś takiego, co rozgłasza się wszem wobec.

– Czemu nie? Należy trzymać to w tajemnicy? – Zjeżyła się. – Aż takie jesteśmy złe?

Nox nachylił się do niej, zde gustowany.

– Nie chodzi o to, że była syreną. Chodzi o jej sytuację.

– O jej sytuację? – Ridley wykrzyczała mu to w twarz. – Tak to nazywasz? – W oczach miała ogień. – Może lepiej *przypadłość*? Albo *skażenie*? To dlatego nigdy o niej nie wspominałeś. Boisz się, że

mogłeś podłapać, cokolwiek jej tam było? – Aż trzęsa się ze złości.

– Nie o to mi chodziło. – Nox położył dłoń na jej ramieniu, ale ją strząsnęła. – Źle to wszystko rozumiesz.

– I to ja tu robię źle? – *Niewiarygodne.*

– Nie, to ja, ja się źle wyraziłem. – Wyglądał na zgnębionego. – Poza tym myślałem, że wiesz. Myślałem, że wszyscy wiedzą.

Ridley nieco złagodniała.

– Że o czym wiem? I skąd miałabym wiedzieć?

– O upadku domu Gatesów? Proszę cię.

– Opowiedz mi – poprosiła. Teraz to ona wzięła go za rękę. – Mnie możesz opowiedzieć, Nox.

Przez dłuższy czas milczał.

– Nie wiem za wiele. Moja matka umarła, gdy byłem strasznie młody.

– Współczuję. – Ridley widziała w jego oczach smutek.

*Autentyczny. Nie pogrywa z tobą.*

Nox kiwnął głową, ale myślami był gdzieś daleko.

– Przypominasz mi ją. W tym, że zawsze wydajesz się wiedzieć, że pisane ci jest coś ponad to przeciętne życie.

*Zwyczajne, pomyślała Ridley. Mówi się zwyczajne.*

– Mojej matce też się należało lepsze życie.

– Co się stało? – Ridley nie puszczała jeszcze jego ręki.

– Zabrano ją nam, żeby trzymać w klatce, jak zwierzaka. Nie człowieka w niej widziano, a jedynie moc, którą kupczyli między sobą potężni Obdarzeni i inkuby.

*Jak w całym mnóstwie syren przed nią, pomyślała Ridley.*

– To zdruzgotało moich rodziców. Moją siostrę. Moje życie. – Spojrzał na Ridley. – Jak można być tak okrutnym?

Wzięła go za drugą rękę. Gdy ich palce tak się stykały, poczuli, że jest im lżej i cieplej, ona zaś nie odwróciła wzroku.

– Rozumiem – powiedziała. – Mnie też kiedyś trzymano w klatce. Nie pozwolę, by to się powtórzyło. – W ton jej głosu wkradł się ten sam mrok, który dotknął teraz jej twarzy. – Prędzej umrę.

Nox wpatrywał się w nią.

– Kochasz go? Hybrydę?

– A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

– Muszę to wiedzieć.

Ridley poczuła, że wzbiera w niej złość.  
– To nie twoja sprawa.  
Nox też się rozzłościł.  
– To była ta klatka?  
Naprawdę ją rozwścieczył.  
– Co?  
Z wysiłkiem wyduszał z siebie pojedyncze słowa.  
– Miłość. Ją też się odbierało, czy odbiera jak klatkę?  
Nie odpowiedziała. Powoli uwolnił rękę, podniósł się. Stał przy długim rzędzie okien, patrząc na miasto.  
– Czy moja matka czuła coś poza tym, że jest uwięziona? Do mojego ojca, do mojej rodziny?  
Ridley stanęła obok niego.  
– Do ciebie? – spytała cicho.  
Teraz to Nox milczał.  
Ridley nabrała tchu.  
– On mnie kochał. Link. Tak przynajmniej mówił. To coś tak... to było dziwne. – Jeszcze dziwniejsze było ubierać to w słowa, zwłaszcza teraz. Zwłaszcza gdy kierowało się je do Noxa Gatesa.  
*Czy to było jak klatka? Czy dlatego uciekałam? Czy tym właśnie jest miłość?*  
– Nie – powiedziała nagle. – To nie klatka, Nox. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Miłość to otwarte drzwi.  
Wyciągnęła ręce tak, że objęła nimi jego pierś i – na ile mogła – jego ramię, szerokie barki. Oparł głowę o jej ramiona.  
Dłuższą chwilę nic nie mówił, a gdy się odezwał, głos miał przytłumiony.  
– Ridley Duchannes, jak mogłabyś mnie przekonać, że nie warto cię pokochać?  
Czuła, jak serce tłucze mu się w piersi.  
*Krawężniki i klatki. Oto nasz świat.*  
Nie żałowała tego. Rozumiała to.  
I to, i jego.  
Potrząsnęła głową przecząco.  
– Miłość, Nox, jest okropna. Jest bolesna i upokarzająca, wymaga też piosenek; strasznych, ckliwych piosenek o złamanym sercach, zalewaniu się łzami i chodzeniu za innymi w ciemne zakątki.

– Brzmi to paskudnie – przyznał Nox. Nie potrafiła stwierdzić, czy uśmiechał się, mówiąc to. Zbyt wielka ciemność panowała w tym pokoju i w nich samych.

*Tak jest bezpieczniej.*

– Jest jak choroba, Nox, Choroba śmiertelników. Całkowity zanik kręgosłupa. Psychiczny odpowiednik wymiotów chlustających. I dużo za dużo gitary akustycznej,

Roześmiał się, podnosząc głowę.

– Mordujesz nastrój, Mała Syrenko.

– To prawda. Ale gdy jesteś zakochany, nie masz władzy nad tym, co myślisz, mówisz i robisz. A ja niczego nie kocham bardziej niż władzę i niczego mniej od jej braku. Powiedz mi więc, co osoba taka jak ja miałaby począć z takim uczuciem? – Zaczynała czuć pieczenie w oczach.

Westchnął.

– A więc kłamałaś. O klatce.

To akurat była prawda i to właśnie zawsze stanowiłoby problem. Miłość była przeciwieństwem władzy, a Ridley nie zniosłaby niemożności posiadania ich obu.

Wypuściła Noxa z objęć, wpatrując się w noc. Miasto było tak rozległe i tak daleko pod nią, że miała wrażenie, iż lata nad nim.

Chciałaby tego. Odleciałaby stąd, zostawiając za sobą to wszystko.

Nox podszedł do niej. Ridley czuła, jak się zbliża i znajduje w mroku jej dłoń. Podniósł ją do ust.

Cofnęła ją.

– Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam?

– Nie musiałem słuchać. Sam mógłbym wygłosić ten wykład.

*Taa, jasne*, pomyślała. Jednak nie zaprzeczyła. Zamiast tego, podniosła wzrok na niego.

– Nienawidzę tego. Takiej słabości.

– I tego, że się mylisz.

– Co takiego?

– Mała Syrenko. Przyszło ci kiedyś na myśl, że kochając kogoś potężnego, możesz jedynie wzmocnić swoją potęgę?

Potrząsnęła głową przecząco.

– Nie. W miłości chodzi tylko o miłość.

Odsunął jeden z jej kosmyków za ucho.

– Nieprawda. – Odchylił jej głowę, napierając kciukiem na podbródek. – Nieprawda.

Wpatrywał się w jej oczy, pomimo ciemności.

*Ciemne oczy, Istota Ciemności, ciemna noc. Nie najbezpieczniejsze to połączenie, pomyślała.*

Nie mogła jednak temu zaradzić, tak jak i sobie nie potrafiła pomóc.

Coś bowiem łączyło ją z Lennoxem Gatesem.

Coś potężnego.

Stali razem, patrząc na miasto, niemal twarzą w twarz. W oddali skrzyły się światła, nieświadome. Przesunął dłoń po jej nagim ramieniu. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że nade wszystko chce, żeby ją pocałował.

*Pocałuj mnie, pomyślała. Chcę, żebyś mnie znów pocałował.*

To było tamto pragnienie z klubu i powróciło ono teraz z całą mocą. Zakręciło się jej w głowie i buchnęło żarem, a wargi zaczęły piec, jak wtedy, gdy ostatni raz ich dotknął.

*Podczas naszego pierwszego prawdziwego pocałunku.*

Czuła, że tak trzeba. Czuła, że to przeznaczenie.

Czuła też, że to coś dziwnie znajomego.

*Czemu?*

– Nox. – Głos jej się załamał. – Robiliśmy to wcześniej?

*Co takiego sprawia, że pragnąc Lennox'a Gatesa, czuję się tak, jakbym kiedyś już tego wszystkiego pragnęła?*

*Coś w nim.*

*Jego twarz. Jego twarz jest mi znajoma.*

Wzrok Ridley jednak znów przykuła fotografia wisząca na ścianie. I inna twarz. Widziała ją nad ramieniem Noxa.

Rodzina Syreny. Siostra. Matka. Nox.

Nie wiedziała, czemu wcześniej tego nie zauważyła.

Nie szukała tego.

Nie wiedziała.

*Ten ciemnooki mężczyzna.*

– Nie mogę... – zaczęła.

– Nie myśl o hybrydzie. Wyrzuć go z pamięci – szepnął jej do ucha. – Póki nie jest za późno.

Ridley nie słuchała go.

*Ja znam tamtego mężczyznę.*

*Mężczyznę z fotografii.*

Wzięła głęboki oddech.

Potem oddech jej całkiem odebrało, bo pamiętała już, kim jest mężczyzna na tym zdjęciu. To było jak cięcie nożem, ostrzejszym od sprężynowca Necro.

Mężczyznę z rodzinnej fotografii Noxa. tym obok matki Noxa i jego malutkiej siostry, był – młodszy, niż go znała – Abraham Ravenwood.

*Abraham Ravenwood.*

*Uśmiercony ręką Linka, z moją pomocą.*

*Abraham Ravenwood to członek rodziny Noxa*

*Abraham Ravenwood to Noxa*

*To Noxa*

*Noxa*

Odepchnęła się od Noxa, prosto ku tej fotografii oprawionej w ramki.

– To on.

Nox wyglądał na zboląłego.

Ridley osłupiała.

– Ale Abraham miał tylko Johna. John by cię znał.

– Moim ojcem nie był Abraham. On nigdy nie mógłby być mi ojcem.

– Skąd ta pewność?

– To on trzymał moją matkę w klatce. Z jego powodu mój ojciec ze sobą skończył. Abraham Ravenwood zniszczył moją rodzinę, a teraz zamierza zniszczyć twoją.

Ridley miała chęć podrzeć tę fotografię.

– Nie wierzę ci. Nie wiem już, w co wierzę.

Nox znów złapał ją za rękę.

– To teraz nieważne. Masz stąd uciec, zanim będzie za późno.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz, niż jak prośba, a na rozkazy Ridley nigdy dobrze nie reagowała.

– Za późno? Czy to groźba? – Cofnęła się o krok.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. – Znów się zbliżył. – Chcę tylko, żebyś znalazła się z dala od hybrydy, zanim coś ci się przytrafi. Wam obojgu. – W głosie Noxa było teraz tyle chłodu, co w

jej własnym.

– O czym mówisz, Nox? – Cofnęła się o kolejny krok. – Chodzi o Linka? O wydanie hybrydowego inkuba twoim współnikom? Cofamy się do etapu tamtych gróźb?

– To skomplikowane.

– Jak wszystko, co ciebie dotyczy.

– Nie mogę nic wyjaśnić, ale musisz mi zaufać. Proszę. Ja zdołam cię ochronić. On nie zdoła. – Nox wyciągnął rękę, ale jej nie przyjęła.

– Zaczynam odnosić wrażenie, że jesteś ostatnią osobą, której powinnam zaufać.

– To nie tak.

Ridley odwróciła się.

– Właśnie. Co ze mną jest nie tak? Nie wiem nawet, co tutaj robię.

– Jesteś syreną. Robisz to, co robisz najlepiej – stwierdził Nox z goryczą w głosie.

– A co to niby miało znaczyć? – Kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa, zdecydowanie się Ridley nie podobał.

– *Najpierw spotkasz Syreny, które czarują wszystkich, co do nich przychodzą<sup>1</sup>.* – Nox zacytował Homera, tonem niewątpliwie mrocznym.

*Zaczyna się zachowywać jak jakiś obłąkaniec.*

– Nox, przestań.

– *Kto nieświadom zbliży się i posłucha głosu Syren, temu już nie wrócić do domu i nie zobaczyć żony i dzieci, idących naprzeciw z radością.*

– Tego ludziom nie robię.

– *Bo go Syreny uwiodą swą dzwonną pieśnią. Siedzą na łące, a na wybrzeżu pełno jest kości tych, co słuchali u ich głosu, pełno butwiejących skór.*

– Zamknij się! – wrzasnęła Ridley.

– *Trzeba ci je minąć. Ugnieć wosk żółty jak miód i pozalepij uszy towarzyszy, by nikt z nich nie słyszał.*

– Ja taka nie jestem. – Oczy Ridley szczypały od łez.

Nox podniósł wzrok.

– Ale Odyseusz był tylko człowiekiem, a wszyscy wiemy, jak to się kończy. Wystarczy zapytać Homera.



– Nie musisz cytować mi *Odysei*. Nie zniszczę ciebie. Nie jestem potworem – zapewniła Ridley.

Nox wpatrywał się w nią, wzrokiem, z którego trudno było coś wyczytać.

– Nie. Nie sędzę, żebyś była. Ale ja jestem.

Znów *Odyseja* Homera. Tym razem w przekładzie Jana Parandowskiego. 1956. [wrót]

## ROZDZIAŁ 30

### *Some Kind of Monster*

Potworem? – Ridley wzruszyła ramionami. Nie mogła oderwać wzroku od twarzy Abrahama Ravenwooda, oprawionej w ramki wraz z całym zdjęciem. – A zatem, jaki ojciec, taki syn. – Nie oszczędzała Lennox Gatesa. Nie po tym, gdy ją tak usidlił. *Nic dziwnego, że nikomu nie ufam.*

– Nie wolno ci tak mówić! – Nox wpadł w furję. Zerwał zdjęcie ze ściany, ciskając je na podłogę. Stłuczone szkło rozprysło się na wszystkie strony. – Już powiedziałem. To nie jest mój ojciec.

– Jasne. A ponieważ okazałeś się nadzwyczaj godny zaufania, mam ci, Nox, uwierzyć na słowo.

Nox podszedł do okna i wpatrywał się w zarysy Manhattanu.

– To, czym jestem, nie mieści się w żadnych kategoriach Obdarzonych. Gdyby istniały paszporty dla istot podziemia, w moim nie dałoby się tak po prostu zakreślić rubryki Syrena.

– Czemu nie? Manipulator z ciebie nie gorszy od innych syren. Niezależnie od tego, kim był twój ojciec, zrodziła cię syrena. I czyż to nie ty stałeś za mocą przekonywania, spowijającą klub Syrena?

– Ridley. – Krążył po pokoju.

– Daj spokój, Nox. Stać nas chyba na odrobinę szczerości.

*Skoro nie mamy już nic do stracenia, pomyślała Ridley. Skoro już wiem, że sprzymierzyłeś się z Abrahamem Ravenwoodem.*

Szła za ciosem.

– Nie za twoją sprawą Syreni Śpiew tak dobrze sobie radzi, przyciągając takie tłumy tych wszystkich fanów?

Nox wzruszył ramionami.

– Weź nazwę tej kapeli. Powinna być dla ciebie pierwszym tropem.

– Jak tego dokonałeś? Poprzez drinki? Coś było w Nektarze Bogów? – Może było to niemożliwe.

Zaprzeczył.

– Żadnej syrenie nie udałoby się wpłynąć z taką siłą na tak wielu

ludzi jednocześnie. System wentylacyjny? Wzmocnione jakimś zaklęciem? – Słyszała o czymś takim.

– Nie.

Ridley okręciła wokół palca pasmo swych jasnych włosów.

– No już. Pora podzielić się sztuczkami. Powiedz mi, jak tego dokonałeś.

Nox dłuższą chwilę milczał.

– Muzyką – powiedział wreszcie.

– Jak to?

– Dzięki gitarze Sampsona. Właściwie więcej jest w niej z liry. Należała do mojej matki. Podrasowałem w niej parę rzeczy, i proszę. Natychmiastowy sukces.

Ridley potrząsnęła głową.

– Wiedziałam, że to nie dzięki tekstom. Chyba nie powinnam czuć się zaskoczona. Czemu bowiem miałbyś w nazwie klubu uwiecznić syrenę, gdybyś nie planował małego czarownika?

– Zaufaj. Nie o szczegóły tu chodzi. Chociaż im mniej o mnie wiesz, tym dla ciebie bezpieczniej.

– A bakława? Znikający klub? Jak wytłumaczysz całą resztę? – *Jak wyjaśnisz to, co czasem przy tobie czułam? Tę wojnę nie-wojnę?* Pragnęła odpowiedzi.

– Łgarstwem. – Przyglądał się jej. – Co, myślałaś, że tylko ty winna mi byłaś wykupienie żetonów? Jak sądzisz, co się dzieje z przegrywanymi darami, usługami i mocami?

– Oczywiście. DPM. Złodziej z ciebie. Całą swą moc skradłeś. – Wyraźnie było to teraz widać. Nie mogła uwierzyć, że jej umknęło.

– Nie całą. Wiesz, że moja matka była syreną. Ojciec, ale mój prawdziwy ojciec, był jasnowidzem. W moich żyłach płynie ich krew.

– Skoro tak mówisz – powiedziała Ridley. Nie mogła się powstrzymać od podłubania mu nożem w ramię. Tym bardziej, że tym nożem był Abraham Ravenwood.

Nox przestał krążyć. Siniał z wściekłości.

– Rodzina to rodzina. Doskonała nie była. Właściwie była piekłem.

Ridley pokiwała głową.

– Zaczynam to dostrzegać.

– No, właśnie. A wiesz, co jeszcze można o niej powiedzieć? Że

to moja, do cholery, sprawa.

Ridley stanęła tuż przed nim.

– Uspokój się, Nox. O co chodzi? Czemu nie chcesz powiedzieć? To próbujesz mnie przerazić, to znów zapewniasz wymarzony dzień w Nowym Jorku. Albo totalny z ciebie świr, albo wielki palant.

– Dzięki.

– Tak czy inaczej, pomogę ci, jeśli powiesz mi, co się dzieje.

Poważnie.

– Nie – odparł Nox. – I tak siedzisz w kłopotach. Nie ma powodu, bym wciągał cię w kolejne. Same cię pewnie odnajdą, jak odnajdują mnie. – Tak zdenerwowanego Ridley jeszcze go nie widziała.

– Wracamy więc do kwestii potworów? – spytała, niemal bojąc się tego, co usłyszy w odpowiedzi.

– Nie wiesz, jak to jest. Więcej we mnie Ciemności, niż w tobie.

– Potrząsnął głową. Mówił teraz ciszej, a głos mu drżał. – Gdy pomyślę, co chcieli, żebym tobie zrobił...

– Daj spokój – przerwała mu Ridley. – Wiele można ci zarzucić, ale nie to, że jesteś potworem. Uwierz mi. Dość ich widziałam.

– Choćby Abrahama Ravenwooda? – spytał Nox. Tonem jeszcze bardziej ponurym.

– Nie zaprzeczę.

– On ukradł memu ojcu dar widzenia i używał go do swych mrocznych celów. Aż pewnego dnia mój ojciec ujrzał swoją śmierć, zadaną ręką mojej matki.

*Człowiek, w którym chcesz widzieć swego ojca*, pomyślała Ridley.

– Nie był w stanie tego znieść. Rzucił się z barbadoskiego klifu, żeby jedynej kobiecie, którą kochał, oszczędzić życia w poczuciu winy.

– Nox. – Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak podejrzewała, był nie mniej od niej zgnębiony.

*Może nawet bardziej.*

– Wychowałem się u dziadków, podobnie jak ty. Abraham wpędził moją matkę w obłąd i zadbał o to, by moje życie było równie żałosne, jak jego chore eksperymenty naukowe na inkubach.

Ridley aż za dobrze rozumiała, co Nox ma na myśli.

– Nikt, kto zetknął się z Abrahamem Ravenwoodem, nie wyszedł

z tego bez obrażeń.

Nox przytaknął.

\*\*\*

– Może dlatego tak nienawidzę widoku hybrydowego inkuba, którego nazywasz swoim chłopakiem. Nienawidzę wszystkiego, co przypomina mi Abrahama i jego pracownię.

Ridley wzięła Noxa za rękę. Nie mogła się temu oprzeć. Był jak mały chłopiec, nie znajdujący pocieszenia.

– Nie chcę prawić oczywistości, ale Abraham nie żyje. Coś o tym wiem. Byłam przy tym.

Nox się nie rozchmurzył.

– Tak, słyszałem. Sekator, zgadza się?

Ridley przytaknęła.

– Dostał nim prosto w serce. Jest martwy jak kołek. – Ścisnęła mu dłoń. – Nox, czego nie chcesz mi wyjawić?

– Próbowałem ci powiedzieć. – Odwrócił wzrok. – To skomplikowana część tej opowieści.

– Zamieniam się w słuch.

– Mała Syrenko – powiedział. – Oddałbym wszystko, by móc spotkać ciebie w innych okolicznościach.

– Wiem. – Trzymała jego dłoń jeszcze mocniej.

Przyjrzał się jej ze smutkiem w oczach.

– A jeszcze więcej dałbym za to, żeby odegnąć koszmary, które niesie twoja przyszłość.

Serce Ridley natychmiast się rozkołatało.

– Co takiego?

– Coś sobie zapamiętaj. To, że coś zobaczyłem, nie oznacza jeszcze, że już nie ma nadziei. – Dotknął jej policzka, nagle znów czule.

Odsunęła się.

– Nox, co takiego zobaczyłeś?

– Widziałem naszą przyszłość. Moją i twoją.

– I? – Nie była pewna, czy chce coś więcej usłyszeć, ale nie mogła nie zapytać.

– I zapewniam, że nie możemy wyzbywać się nadziei. Także i na to. – Nachylił się, jakby chciał ją pocałować.

Wstrzymała oddech, do niczego jednak nie doszło.

Najpierw bowiem rozległ się odgłos rozrywania przestrzeni.

Zaraz po nim nastąpił nieunikniony trzask, gdy któryś z mebli odnotował spotkanie z martensami rozmiar czterdzieści osiem.

Ze ściany dzielącej salon od sypialni wyszedł Wesley Lincoln, w jednej czwartej hybrydowy inkub, w trzech czwartych człowiek. Poprawił przekrzywiony obraz i wyjął nogę z kosza na śmieci, ale nawet Ridley musiała przyznać, że jego umiejętności podróżnicze znacznie się poprawiły.

A jeszcze bardziej zdolności bojowe.

Link nie tracił czasu. Naparł ma Noxa i przycisnął go do ściany.

– Nie widziałem, że nadchodzi – powiedział Nox, usiłując go odepchnąć.

Link ani drgnął.

– Powiedz mi, że to on, a nie ty, Rid – krzyknął, nie odrywając wzroku od Noxa.

Ridley chwyciła go za rękę.

– Przestań. Co ty tu robisz?

– Najwyraźniej próbuje skopać mi dupę – stwierdził Nox.

Link odwrócił się, by spojrzeć na Ridley.

– Ktoś zasługuje na łomot i mam szczerą nadzieję, że to on, bo na to, żeby mu nastukać, czekam od dnia naszego przyjazdu.

– Nie żałuj sobie. – Nox zamknął oczy. – Do dzieła. Daj z siebie wszystko.

Ridley starała się odciągnąć Linka.

– Rozum ci odebrało? – Szarpała najmocniej, jak mogła, Link jednak wciąż jeszcze nie zamierzał drgnąć. – Przepraszam za to, co się stało. Nie wiem, co sobie myślałam, ale nie możesz ot tak się tu wdzierać i mnie albo jemu grozić w ten sposób.

– Właśnie, że może. A jeśli nie on, to ja. – Na środku pokoju pojawiła się Floyd, z dłońmi przeistoczonymi w kastety. – Po iluzjonistycznemu. Bez reguł, dobrych dla śmiertelników. I bez tego pokrętnego kitu na temat sumienia.

Uniosła pięści.

Nox sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Spokojnie, Podziemny Kręgu. Nie zrobię wam krzywdy.

Link spiorunował go wzrokiem.

– Pewnie, że nie zrobisz. Krzywdzić to my, ale nie nas. Przyznaj się do tego, co zrobiłeś, to może ci odpuścimy.

– Do czego dokładnie mam się przyznać? – spytał Nox.

Link zawahał się, przenosząc wzrok z Noxa na Ridley.

– Z Necro jest źle. Może nie wyjść z tego.

– Co? – Ridley miała wrażenie, że żołądek skręca się jej w supeł.

– Jest aż tak źle?

Link spochmurniał.

– Sampson powiedział, że urządziła ją tak syrena.

– Link – zaczęła Ridley, kręcąc głową.

– Nie mów mi, że to ty, Rid. Powiedz, że to on ciebie wrabia. –

Link miał dziki wzrok, a w oczach czerwień. – Nie mów, że wykorzystał tamten żeton domu i że przez to musiałaś kogoś zranić.

Floyd i Nox wytrzeszczyli oczy. Nawet Ridley wyglądała na zaskoczoną, że przypomniał jej dług z Udręki.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Nox? On w nic mnie nie zrobił. – Dotknęła ramienia Linka.

– No właśnie, Rid. – W głosie Linka czuło się teraz desperację. – Ja przecież ciebie znam, tak? Ty nikogo byś tak nie zraniła. Nie zrobiłabyś tego.

Ridley nie bardzo wiedziała, o czym konkretnie mówi Link, jakoś jednak była pewna, że chodzi mu o coś więcej niż zranienie Necro.

– Posłuchaj mnie, Link. Ja nic nie zrobiłam. Ani Necro, ani nikomu innemu.

Twarz Floyd stężała.

Linkowi natomiast tak ulżyło, że Ridley pomyślała, iż chce ją uściskać.

– To dobrze. – Głos mu się łamał. – Wierzyłem w ciebie.

Broniłem.

– Broniłeś?

– Wiedziałem, gdzieś w sobie, że u ciebie to wszystko to tylko mnóstwo groźnej gadaniny. Nikogo nie chcesz krzywdzić. Zaliczasz się do takich ludzi-jeźowców. Masz, owszem, kolce, ale tylko dlatego, że boisz się rekinów. W środku jesteś cała miękka.

– Albo przynajmniej mamy tu małą rybeńkę w wielkiej skorupie – dodała Floyd z irytacją. – Możemy skrócić te czułości i przejść już do

tej części z łomotem?

Zamiast tego, Link znów przyjrzał się Noxowi i Ridley.

– Skoro ani ty tego nie zrobiłaś, ani on nie posłużył się tobą w tym celu, to kto to zrobił? Bo czas Necro się kończy i jeśli czegoś nie zrobimy, rozmawiać z nią będziemy mogli tylko za pośrednictwem nekromanty.

– To nie my – oświadczył Nox. To słowo odbiło się w ich uszach echem.

*My.*

Link popatrzył na Ridley.

– Rzeczywiście?

Ridley powoli kiwnęła głową.

– Wiesz, że żadne z nas nie zrobiłoby nic, co mogłoby zranić Necro. – *Ani ciebie, Link.*

Link potrząsnął głową, choć wyglądało to tak, jakby wolał potrząsnąć całym tym pokojem. *I może wszystko zeń wywalić,* pomyślała Ridley.

– Serio? Nie zranilibyście jej? Bo ma na szyi cięcie, z którego leci czarna krew – warknął Link. – Widziałaś je. Jeśli żadne z was tego nie zrobiło, to czemu wybiera się w zaświaty?

– Jeżeli Necro choruje z powodu zranionej szyi, to jest to moja wina. – Choć Nox powiedział to cicho, wszyscy go usłyszeli.

– O czym ty gadasz? – zagrzemiał Link.

– To się stało, gdy dla mnie pracowała. – Nox wyglądał na zdruzgotanego.

– Zacięła się w szyję, grając na keyboardzie? – spytała Ridley.

Nox zaprzeczył.

– Nie tylko tym się dla mnie zajmuje. Jest też moją nekromantką. Nie powinienem był jej w to wciągać, ale jest mi potrzebna.

– Do czego? – zapytał Link.

– Jest najlepszą nekromantką, jaką znam, i zapewnia najmocniejsze połączenie z Ravenwoodami, jakie kiedykolwiek widziałem. – Teraz to Nox nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć na Rid.

– Z Ravenwoodami – powtórzyła Ridley, od razu gorzej się czując. – Oczywiście. Abraham.

Link miał taką minę, jakby zrobiło mu się niedobrze.



– Abraham? Mój Abraham?  
Nox to potwierdził, z twarzą wtuloną w dłoń.  
– Musiałem coś dla nich zrobić i potrzebowałem Necro, żeby móc porozmawiać z Abrahamem Ravenwoodem.  
– Jesteś jego szpiegiem? Chłopcem na posyłki Abrahama Ravenwooda? Człowieka, który zrujnował twój ród i zabił rodziców? Pracujesz dla niego? – Ridley nie mogła w to uwierzyć. Nox był bardziej pokręcony, niż przypuszczała.  
Nox nie odpowiedział.  
– Necro o tym wiedziała? – prychnęła Ridley.  
– Nie – odparł Nox, podnosząc wzrok. – Pojęcia nie ma. Budzi się z tego, nic nie pamiętając.  
Link ciasno skrzyżował ramiona na piersi.  
– Co dokładnie chciał dziadunio Abraham, żebyś dla niego zrobił?  
Nox spojrział na niego ze złością.  
– To teraz nieważne – powiedział. – Nie zrobiłem tego.  
Nie przekonał Ridley.  
– Jaką możemy mieć pewność?  
– Bo gdybym to zrobił, oboje już byście nie żyli.  
W pokoju zapadło milczenie.  
Pierwszy przerwał je Link.  
– Prawdziwy z ciebie bohater i mogę się założyć, że to ciekawa historyjka, ale nie mamy czasu na twoje kity. Nie teraz. Necro umiera. Twój chłoptaş Sampson, chodzący Ciemnorodzony wykrywacz kłąt, powiedział, że załatwiła ją syrena i że tylko ta sama osoba może ją ocalić.  
– Nie ja ją zraniłem, ale mój nóż – powiedział ponuro Nox. – Należał do mojej matki. Pożyczyłem go Necro, gdyż niepokoiło mnie, że z pomocą jej darów trudno byłoby się chronić.  
Floyd gotowa chyba była go zatłuc.  
– Wtedy, kiedy wykonywała dla ciebie tę robotę? Oto pomysł: a gdybyś tak ty sam ją wtedy chronił?  
Nox przeczesał ręką włosy.  
– To nie jest takie proste.  
– A rozmawianie z umarłymi jest? – warknęła Floyd.  
Ridley był zaszokowana.

– No pewnie. Masz rację. Lepiej było, że sama się pilnowała. Zwłaszcza że, jak sam powiedziałeś, nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

– Necro zawarła ze mną umowę. Zażądała w niej jedynie, żebym to wszystko wymazywał z jej umysłu. Używałem zaklęcia *Oblivio*.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytała Floyd.

– Bała się. Jej moce stawały na przeszkodzie wszystkiemu innemu w jej życiu. Kiedy się z nią zetknąłem, ledwie wychodziła z łóżka, by grać swoją muzykę. Nie chciała tak dłużej żyć, ale nekromanci to cenna zdobycz dla pewnych niedobrych ludzi. Wiedziała, że jeżeli znów zacznie występować publicznie, ktoś w końcu ją wypatrzy. Dlatego zwróciła się do mnie o ochronę – oznajmił Nox z rezygnacją w głosie.

– Na razie świetnie ci to wychodzi – stwierdził Link.

Nox go zignorował.

– Nóż jest obłożony urokiem. Miał służyć poskramianiu zbuntowanych duchów z zaświatów. Nie wiedziałem, że żyjącego Obdarzonego może zranić nie tylko ostrzem.

– Może trzeba było bliżej się tym zainteresować, zanim go jej dałeś – prychnęła Floyd.

– Widziałem, że się zacięła – tłumaczył Nox. – Nie wiedziałem, że tak przez to ucierpi. Musicie mi uwierzyć. Nigdy nie zraniłbym Necro. Jeżeli mam jakiegoś przyjaciela, to właśnie ją.

*Miałeś*, pomyślała Ridley. *O ile jej nie pomożemy*. Podniosła rękę.

– Czekaj, widziałeś, że się zacięła? I nic nie zrobiłeś?

Nox westchnął.

– Właściwie nie ona sama to sobie zrobiła.

– A zatem kto?

– Abraham Ravenwood.

– Jeszcze jego tu brakowało. – Link łupnął pięścią w ścianę, posyłając w powietrze tuman gipsowego pyłu. – Jakby już teraz nie było wystarczająco źle.

Noxa złapał za kołnierz koszuli, a Floyd za rękę.

– Pora to naprawić. Złap się kogoś, Ridley.

Link nie musiał podkreślać czegoś tak oczywistego. Że to nie Ridley podał pomocną dłoń.



## ROZDZIAŁ 31

### *Flash of the Blade*

Zdjęcie uroku z noża Necro zabrało Noxowi niewiele czasu. Gdy już to zrobił, pozostało tylko czekać i obserwować, czy rana zacznie się goić. Nawet Sampson skończył ze snuciem ponurych wizji dalszych losów Necro.

Nikt jednak nadal nie wiedział, co się okaże.

Najtrudniejsze okazało się to czekanie.

Ridley przyjrzała się plakatowi z Sidem Viciousem. Przechodząc wzdłuż ściany, mijała Johnny'ego Rottena, dalej Social Distortion, X, Black Flag, Dead Kennedys. O punk rocku wiedziała niewiele, domyślała się jednak, że ogląda galerię sław.

– Necros. Jest taka kapela? – Przy kolejnym starym plakacie punkowym zatrzymała się na dłużej. – To stąd jej przydomek?

Floyd skinęła głową.

– Nec pochodzi z Toledo, w Ohio. Tak samo jak tamta kapela. Sądzę, że czuła w tym jakieś przeznaczenie. – Uśmiechnęła się. – Coś jak z Link Floyd.

– Blondie, znowu zaczynasz. Śmiało – rozeźliła się Rid.

Przerwał im to Link.

– Skoro mowa o Necro, jak myślicie, długo to jeszcze potrwa? – W jego głosie czuło się niepokój. Odczuwał go, odkąd Nox zdjął zakłęcie.

– Prawdziwe pytanie to: w ilu miejscach da się człowiekowi wpiąć agrafki? – Ridley, kręcąc głową, dotknęła plakatu Social D. Potem następnego, Dead Kennedys. Wszystkich, których na nich widziała, można by wziąć jeśli nie za krewniaków Necro, to przynajmniej za jej kapelę. Połowa z nich poprzekłuwana była nawet bardziej od niej.

Floyd spojrzała na Rid.

– Nec uwielbia Dead Kennedys. Nazywa ich swoim plemieniem.

Ridley uniosła brew.

– Necro ma swoje plemię?

– Pewnie, że tak – odparła Floyd. – Ma nas.  
– Na pewno dobrze ze sobą żyjecie. No, skoro pozwoliłaś jej na takie udekorowane ścian. – Ridley dotknęła rogu plakatu X.  
– Dorobiłaś się kiedyś najlepszej przyjaciółki? – Ton Floyd mówił wyraźnie, że nie postawiłaby na tę ewentualność. – Czy od zawsze żyjesz samotnie w jaskini, którą nazywasz sercem?  
Ridley nie odrywała wzroku od ogromnego X.  
*Nie odpowiadaj.*  
*Nie daj nic po sobie poznać.*  
*Żadnemu z nich nie daj tej satysfakcji.*  
– Skończ już, Floyd – wtrącił Link, podnosząc wzrok. – Rid ma wielu przyjaciół i dużą rodzinę, i ma też mnie. Ma nas wszystkich.  
Rid, spod przeciwległej ściany pokoju, odnalazła jego spojrzenie.  
– Jesteśmy jej plemieniem – oznajmił.  
I to była prawda.  
Poczuła, że mogłaby zalać się łzami, gdyby nie to, że prędzej wybiłaby sobie oczy, niż rozkleiła się w obecności Floyd.  
Uratował ją dopiero jęk, dochodzący z niskiej, rozklekotanej leżanki.  
– Wolę Toledo – wymamrotała Necro.  
Link szeroko się uśmiechnął.  
– Hej, dopiero co o nim gadaliśmy.  
Necro z wysiłkiem uniosła powieki.  
– Beznadziejnie się czuję.  
– Bo i beznadziejnie wyglądasz – Ridley uśmiechnęła się do niej.  
Nigdy jeszcze nie odczuwała takiej ulgi na widok kilku kolczyków i błękitnego pseudoirokeza.  
– Hej, stara. – Floyd wzięła Necro za rękę. Druga dłoń Floyd momentalnie rozkwitła bukietem kwiatów.  
Necro kiwnęła głową.  
– Możesz zamienić je w czekoladki?  
– Żebyś zjadła mi palec? – Dłoń Floyd odzyskała swą naturalną postać, a Necro odwróciła głowę w stronę pozostałej części pokoju, z wåtłym uśmiechem.  
Link promieniał.  
– Bez obaw, babo. Wszystko mamy rozpracowane. Ani się obejrzysz, a staniesz na nogi i dasz czadu. – Z lekkim zakłopotaniem

poklepał jej leżankę.

– Rokendrol. – Necro pokazała mu palce ułożone w rogi, uniwersalne pozdrowienie heavymetalowców. – Co szef tutaj robi?

Nox siedział na podłodze, oparty o ścianę. Był tak cichy, że niemal zapomnieli o jego obecności.

Floyd odgarnęła z twarzy Necro zabłąkany błękitny kosmyk.

– Martwił się o ciebie, jak my wszyscy. – Floyd powiedziała tylko tyle, choć jak Ridley już wiedziała, wiele miałyby do powiedzenia na temat Noxa Gatesa i jego sekretnych relacji z ulubioną nekromantką.

Ridley pomyślała, że te sprawy rozstrzygną później. Tak właśnie postępowały kapele.

Podobnie jak plemiona.

\*\*\*

– Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Mam nadzieję, że zadziała.

Ridley zapaliła ostatnią ze świec kręgu ochronnego, otaczającego mieszkanie 2D. Migotliwe płomyki kreśliły szeroki krąg, od sceny po plażę oraz pokój Necro i z powrotem. Rid nie miała pewności, czy Necro coś zagraża, zaudało się jednak bali, by zostawić ją w jej stanie bez żadnej ochrony.

Gdy zdmuchnęła ostatnią zapalniczkę, Nox obejrzał się. Utkwił wzrok w Ridley.

– Przepraszam, Mała Syrenko.

*Ja też, pomyślała. Za to. Za wszystko.* Wyglądało na to, że przez chwilę nie bardzo wiedział, co jeszcze powiedzieć, ale to samo dotyczyło też Ridley.

Otrząsnęła się z tego.

– Nie musisz. To był wypadek. Poza tym pospieszyłeś tu, na pomoc Necro. To jest ważne. – *Choć teraz się nie liczy,* pomyślała.

Pewne granice zostały przekroczone. Nie było już nic do dodania.

Nox wyciągnął rękę, by dotknąć jednego z jej różowych loków.

– Więc to chyba pożegnanie. – Opuścił rękę. – Zadbaj o Necro. I o siebie.

– Dbam zawsze. – Zatrzymała na nim spojrzenie.

– Wiem – przyznał Nox.

Zbliżył się do niej o niepewny krok.  
– Masz coś przeciwko? – Wykonał jakiś niezgrabny gest. –  
Przeciwko prawdziwemu pożegnaniu? Skoro możemy się już nigdy nie zobaczyć?

– Co?

Nox wyciągnął ręce. Ostatni uścisk. Przyjacielski misiaczek. Tego Rid nie mogła odmówić. Nie uniknęła też, zanim się do niego zbliżyła, zerknięcia nad jego ramieniem. Tak, żeby się upewnić, że drzwi na pewno są zamknięte.

Ridley i Link mogli już nie być parą, ale gdyby wszedł tutaj z Floyd i zobaczył ją dotykającą Lennox Gatesa, nie byłoby już rozmowy.

Znad rozchwianych płomieni świec unosił się dym.

Ridley i Nox stali w środku ich kręgu – na plaży kryjącej się w mieszkaniu 2D.

Przyciągnął ją do siebie uściskiem. Wyczuwała przez marynarkę moc jego ramion. Chwila, gdy stali razem na parkiecie w klubie Syrena, dzieląc tamten jedyny, wyborny i niesamowity pocałunek, wydawała się bardzo odległa.

Nie przypuszczała, że jednak nie jedyny.

Schylił się ku niej.

Delikatnie dotknął jej warg swoimi. Zupełnie inny rodzaj pocałunku.

Ten był słodki.

Wystarczająco słodki dla nich obojga.

\*\*\*

Nox wyrządził Ridley krzywdę i wiedział o tym. Poczul to w chwili, gdy ją pocałował.

Gdyby tylko wyjawiał jej wszystko, o czym wiedział od samego początku.

Gdyby.

Myślał, że jeśli dojdzie do tego ostatniego pocałunku, może okaże się on czymś w rodzaju zaklęcia. Może ona mu wybaczy i wszystko powróci na tory, którymi się toczyło, zanim to wszystko spieprzył.

Nie było to jednak możliwe, gdyż pieprzyć zaczęło się już na

starcie.

*Kiedy obiecałem dostarczyć ją inkubowi krwi z rodu Ravenwoodów. Lub kiedy patrzyłem, jak ginie w ogniu w moim własnym klubie, i jej nie ostrzegłem.*

W piekle dla ludzi pokroju Lennox'a istniało specjalne miejsce. Nazywało się życie. Jedyne, co mu zostało, to pocałunek. Ten pocałunek, Nox kątem oka dostrzegł błysk płomienia i nagle wszystko wymknęło się spod kontroli.

*Ogień.*

W trakcie pocałunku dopadła go wizja i w żaden sposób nie mógł jej powstrzymać

\*\*\*

Dym wizji rozwiął się, gdy wzrok Noxa usiłował przezeń przeniknąć. Stał w miejscu szarym i brudnym, cuchnącym śmieciami i ściekami. Na kamiennym podłożu i stropie wzbierała cienka powłoka wilgoci.

*Żadnych światel. Podziemie. Prawdopodobnie cela. Choć bardziej kojarzy się z jakimś lochem.*

Nox odkrył, że jest jednak na korytarzu, górującym nad jednoosobowymi karcerami. Do wszystkich wiodły identyczne stalowe drzwi – ciężkie, zakratowane i zamykane na zasuwę.

Odszedł od tych drzwi na koniec tego korytarza. Na samym jego krańcu stali dwaj mężczyźni, wyglądający cokolwiek znajomo. Z zaciekawieniem zaglądali w kwadratowe okienko, wycięte w drzwiach celi, przed którą się zatrzymali.

Pierwszy był potężnej budowy, w czarnym garniturze i tanich skórzanych butach.

Drugi, szczuplejszy, za to władczy, twarz skrywał pod rondem czarnej fedory. Rękawy drogiej koszuli beztrudno zakasał po łokcie. To on był tym groźniejszym. Odsunął się od drzwi, paląc cygaro.

Nox rozpoznał złotą koronę wybitą na owijce.

*Barbadoskie. To jeden z Ravenwoodów.*

Było bez znaczenia, że Nox nie widział herbu, zdobiącego ciężki, srebrny sygnet na palcu tamtego. Tylko jeden człowiek pasowałby do



tego opisu i Nox był tego pewien, choć nigdy się z nim nie zetknął.

*Silas Ravenwood, osławiony morderca i wnuk Abrahama.*

– Trzymaj ją w łańcuchach, póki nie każę inaczej – powiedział Silas z silnym obcym akcentem, którego Nox nie umiał umiejscowić. – Stwierdzenie, że moc przekonywania jest w mojej branży w cenie, byłoby zbytnim uproszczeniem. A z mojej ostatniej syreny pożytku nie miałem.

Mężczyzna w tanich butach zajrzał w mrok celi.

– Po tych łańcuchach zostaną ślady?

– Oczywiście. Dopilnuję jednak, by zamaskowała je swoim urokiem. Albo może dam jej je zachować na pamiątkę.

– Myślisz, że ta syrena będzie lepsza?

– Pochodzi z potężnego rodu. I narobiła sobie potężnych wrogów. Jak inaczej mogłaby tu skończyć? – Jego głos nie zdradzał żadnych emocji. – Znasz Lennox Gatesa?

Wielkolud kiwnął głową.

– Chyba raz się z nim zetknąłem, w jednym z jego klubów.

– Jego matka była osobistą syreną mojego dziadka i naprawdę potężną suką. Tę tutaj sprzedał mi jej synalek. – Silas Ravenwood wybuchnął śmiechem.

– Drogo?

– Za swoje życie – odparł Silas.

– Zadbałeś, by zapłacił tym za ujście z życiem? – zdumiał się jego pomagier.

– Oczywiście, że nie. Zadbałem, by zapłacił swoim życiem. – Silas wzruszył ramionami. – Nie wchodzi się w targi z inkubem krwi.

Nox poczuł, że żołądek zmienia mu się w kamień. Pierwszy raz tak bardzo się zbliżył do wejrzenia we własną przyszłość; jak przypuszczał, dzięki temu, że właściwie nie o niego tu chodziło.

Ta wizja dotyczyła Ridley.

To ona była syreną, o której mówili.

*Tą zakutą w łańcuchy, jak zwierzę.*

Wtedy wszystko przesłonił dym, skrywając straszne twarze obu mężczyzn...

\*\*\*

... a Ridley przerwała pocałunek.

– Nox? Wszystko w porządku? – Ridley wpatrywała mu się w oczy, on jednak chyba jej nie widział. Mocno nim potrząsnęła. – Nox. Przerażasz mnie.

Pojaśniało mu w oczach i przyciągnął ją do siebie. Trzymał teraz tak mocno, że sprawiał jej ból.

– Muszę ci coś wyznać, Mała Syrenko.

Ridley wyzwoliła się z jego uścisku.

– Co takiego?

– Coś, co powinienem był powiedzieć ci dawno temu. – Nie spuszczał wzroku z jej oczu. – Ja nie chcę tego zrobić. I nigdy jeszcze czegoś takiego nie zrobiłem.

– Czego? – Choć zważywszy ton głosu Noxa, nie była pewna, czy chce się dowiedzieć.

– Ojciec ostrzegał, bym tego nie robił. Ale nikt by nie posłuchał.

– Nox... – Ridley zaczynała się go bać.

– Nawet Obdarzony. Wszyscy wolimy udawać, że będziemy żyć wiecznie.

Twarz Ridley zbieleła.

– O czym ty mówisz?

– Twój pocałunek nieprzypadkowo smakuje ogniem – zaczął

Nox.

## **ROZDZIAŁ 32**

### ***Disposable Heroes***

Nox opowiedział Ridley i Linkowi, ile tylko był w stanie, pod osłoną kręgu ochronnego i pięćdziesięciu płonących świec. Ale nawet krąg i tysiąc świec nie powstrzymałyby żadnego z Ravenwoodów.

Mieszkanie 2D już nie zapewniało bezpieczeństwa.

Dopóki Nox mówił, Ridley siłą powstrzymywała Linka. Musiałaby też poskramiać Floyd i Sampsona, gdyby nie byli zbyt zajęci opieką nad Necro, by przejmować się tym, co Nox mógł mieć do powiedzenia.

– Pozwól, że podsumuję – rzekł Link. – Obiecałeś Abrahamowi Ravenwoodowi, że wydasz ją w ręce jego oprychów. To nam już powiedziałaś.

Nox przytaknęła.

– Jednemu oprychowi. Silasowi Ravenwoodowi. Jego wnukowi.

– Kryminaliście – stwierdził Link.

– Lub Capo. Słyszałem, że tak sam siebie określa.

– Dlaczego mnie? Po co? – Ridley wciąż nie mogła tego zrozumieć.

– Czemu tu się dziwić? Pragnie zemsty – powiedział Nox. – Twój hybrydowy chłopak zakłuł mu dziadka sekatorem.

– Bo dziadek sam się o to prosił. – Link wzruszył ramionami. – Nawet jeśli to ma sens, nie oznacza, że poddam się bez walki. Ale czego chce od Rid?

Nox podszedł do okna, by przez nie wyrzeć. Trudno tu było zawiesić wzrok na czymś innym.

– Ona zwabiła tam Abrahama. Dostarczyła go prosto w twoje ręce.

– Dlatego Silas chce ją też zabić? – spytał Link. – Ja mu nie wystarczę? – Niemal go to uraziło.

Ridley, przerażona, jak można było sądzić z wyrazu jej twarzy, dotychczas milczała.

– Tak to ma być? Tak mam...?

– Nie jestem pewien – powiedział Nox powoli. Jakby te słowa sprawiały mu ból. – Twoją przyszłość widziałem już dwukrotnie. Za każdym razem wyglądała nieco inaczej.

– Ale ginęłam. W ogniu?

– Za pierwszym razem.

– Za pierwszym? Co więc za drugim?

Na twarzy Noxa malowało się teraz napięcie.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o mojej matce?

Potwierdziła.

– Silas to człowiek potężny. Część tej potęgi pochodzi od otaczających go Istot Ciemności. Potrzebuje syreny, a twój ród też sam w sobie potęgę ma niemałą, Rid.

– Tak się do niej nie zwracaj – warknął Link. – Rid nie jest żadną twoją przyjaciółką. Przyjaciół nie sprzedaje się inkubom Ciemności.

– Silasowi jednak to nie przeszkadza. I Silas jest człowiekiem interesu. Sprzedanie syreny temu, kto daje najwięcej, to dobry interes. Sprzedanie mu syreny, która pomogła skończyć z Abrahamem Ravenwoodem, będzie jeszcze lepszym.

Ridley spojrzała na Noxa, osłupiała.

– Powiedziałeś, że Abraham trzymał w niewoli twoją matkę. A teraz mówisz, że wydasz mnie Silasowi, który też przyszykował mi klatkę? Jak jego dziadek?

Link zacisnął pięści.

– To jeden ze scenariuszy – przyznał ostrożnie Nox. – Drugim jest ogień.

Ridley aż trudno było uwierzyć w to, co słyszy.

– I ani słowem nie uprzedziłeś?

Nox wbił wzrok w podłogę.

– Próbowałem.

*Nie dość mocno.*

Wyglądał teraz żałośnie.

– Nie paliłem się do tego, że cię wydam, i kropka. Wtedy jednak jeszcze nie widziałem innego wyjścia. Teraz jest inaczej. Teraz jesteśmy... przyjaciółmi. Dlatego ci to wszystko mówię.

Link zbliżył się do nich i stanął u boku Ridley.

– Nie pozwolę ci jej nikomu wydać. I nie dopuszczę, by ktoś ponownie pakował ją do klatki. Pójdę zamiast niej.

– Link – zaczęła Rid.  
Nox odwrócił się twarzą do nich obojga.  
– Nie łapiesz tego, śmiertelniku.  
– Po części śmiertelniku – poprawił go Link bez zmrużenia powiek.  
– Abraham żąda was obojga, a jeśli was wydam, ciebie zabiją, ona zaś skończy w łańcuchach. Jeśli nie wydam, i tak każe Silasowi was odnaleźć. Musimy więc sami ruszyć z planem B.  
– A co, jeśli teraz wyjedziemy? – spytała Ridley. – Natychmiast?  
Nox pokiwał głową.  
– Powinniście. Ruszajcie w drogę, nie oglądając się za siebie. To najmądrzejsze, co możecie zrobić.  
– Powiedz jej resztę. – W drzwiach stanął Sampson, opierając się o framugę.  
– Zamknij twarz – odparł Nox. – Nie wtrącaj się.  
Ridley zwróciła się do Sampsona.  
– Co ma mi powiedzieć?  
– Gęba na kłódkę, powiedziałem – warknął Nox.  
Sampson wepchnął swe wielkie łapy w kieszenie i przyjrzał się Noxowi.  
– Nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić. Wiesz o tym, szefie. Noxa niemal poniosło.  
– Z tych wszystkich słów tylko jedno było ważne: *szefie*. Właśnie sobie to wyjaśniliśmy. Daj więc spokój.  
Sampson kiwnął głową, ale pod ciemnymi włosami nie było widać wyrazu jego twarzy.  
– Jeżeli ci dwoje wyjadą, przestaniesz być moim szefem. Myślę więc, że to, czy coś teraz powiem, nie będzie miało większego znaczenia, co?  
Ridley gwałtownie się odwróciła.  
– Nox, o czym on mówi?  
Nox znów się jej przyjrzał, dziewczynie, zdolnej zmienić wszystko, czego dotknęła, łącznie z nim samym.  
– Jeżeli was nie dostarczę, Silas nie będzie mną zachwycony.  
– Nie będzie zachwycony? On cię zabije. – Sampsonowi nie było do śmiechu. – Albo sam Silas, albo gromadka wścieków. Jeśli będzie w dobrym humorze, pozwoli ci wybrać.

– Oj tam – Nox narzucił sobie uśmiech. – I tak za dobrze mi się nie układa.

Ridley zbladła.

– W takim razie zostajemy. Nie pozwolimy ci samemu mierzyć się z Silasem Ravenwoodem.

– Dobrze mówi – dorzucił Link. – Nie pozwolę, by obrywał za mnie inny gościu, zwłaszcza taki śmieć, jak ty.

Nox potrząsnął głową.

– Wciąż nie łapiesz. Nie odpuści, dopóki hybryda nie pożegna się z życiem, a ty na dobre nie znajdziesz się u niego na smyczy. Przed Ravenwoodami nie ma ucieczki. Powinnaś już to wiedzieć.

– A jeżeli uzna, że zginęliśmy? – zapytała Ridley.

Nox pokręcił głową przecząco.

– I co miałbym mu powiedzieć? Że urządziliście sobie oboje wycieczkę do Trójkąta Bermudzkiego i wasz samolot zniknął? Nie uwierzy w waszą śmierć, dopóki nie ujrzy jej na własne oczy.

– Nie ma na to jakiegoś czaru albo iluzjonistycznej sztuczki? Może Floyd by coś wysmażyła – odezwał się Link. – Jakieś zakłęcie *Lewus Trupus*?

Ridley wiedziała jednak, że pewnych spraw nawet Obdarzeni nie są w stanie zmienić.

Czasem po prostu trzeba postawić na staromodne planowanie i manipulację.

W stylu śmiertelników.

## ROZDZIAŁ 33

### *Oh Yoko*

Kilka godzin później Nox stał na szczycie Empire State Building. Pod nim rozpościerało się miasto, ale go nie widział. Skupiony był wyłącznie na tym, co go czekało. Na wielkiej grze, na ostatniej rozgrywce, do której wchodził z niczym. Pozostało mu tylko jedno.

To, co robił od zawsze.

Blefować.

Nox nie miał do tego zbytniego przekonania. Pomysł wyszedł od Ridley. Hybryda wyraziła na niego zgodę, ale hybryda zgodziłaby się na wszystko, najbardziej nawet ryzykowne czy niedorzeczne – gdyby myślała, że uchroni to Ridley przed szponami Abrahama.

Nox znał to uczucie, bo to z jego powodu znalazł się teraz w tym miejscu.

Usłyszał, że drzwi na platformę widokową otwierają się, a zaraz potem dobiegł go odgłos kroków za plecami.

– Słyszałem, że mnie szukasz – powiedział.

*O to chodzi. Spraw, żeby uznał, że masz fula.*

Silas Ravenwood krążył tuż za nim, wlokąc za sobą woń cygara z Barbados. W odprasowanej koszuli frakowej, drogich szarych spodniach i eleganckich włoskich butach z dziurkami na czubkach mógłby wyglądać na ważnego dyrektora, zamiast na wielkiego gangstera.

Na inkuba krwi na ważnym dyrektorskim stołku.

Jedynie jego cygara z przemytu, sposób, w jaki podwijał rękawy koszuli za półtora tysiąca dolarów, i kapelusz typu fedora demaskowały go jako kryminalistę.

*I jego knykie.*

*Biznesmeni nie mają knyki powykrzywianych zatłukiwaniem ludzi na śmierć.*

– Gdzie się podziewałeś, dzieciaku? Zostawiłem ci wiadomość.

Nox wzruszył ramionami.

– Właściwie to nigdzie.

Silas podszedł do niego, żar cygara znalazł się niebezpiecznie blisko policzka Noxa.

– Myślisz, że w gumę sobie lecę? Kiedy wołam do siebie takiego szczeniaka jak ty, oczekuję, że zobaczę cię w moim cholernym biurze, z podkulonym ogonem.

– Byłem zajęty.

– Skończy się bywanie zajęтым, jak będziesz trupem – rzekł Silas. – Masz jeden dzień na dostarczenie mi syreny i tego hybrydowego inkuba.

– A czemu tak ci zależy na tych dwojgu, jeśli można spytać? – Nox wiedział, że wchodzi na śliski grunt. Silas Ravenwood nie przepadał za pytaniami.

– Czemu tak nagle cię to zainteresowało? Sentymenty zagrały? Wiem, że cię ciągnie do mieszańców i spełniaczek życzeń. – Silas się uśmiechnął. – Są prawie jak rodzina.

Nox wzruszył ramionami, trzymając gniew na wodzy.

– Przepraszam, jeśli zdenerwowałem. Byłem po prostu ciekaw.

– Mój dziadek chce, bym się w jego imieniu zemścił. – Silas głęboko zaciągnął się cygarem. – A ja mam swoje powody, by chcieć tej syreny.

– Czyżby miłość? – Nox uniósł brew.

Silas się wyszczerzył.

– Po mojemu, tak.

Nox aż się wzdrygnął.

*Ridley w kajdanach. W niewoli. Błagająca o życie.* Noxowi niedobrze się robiło na samą myśl o tym, zwłaszcza że wiedział, jak wielką Silas będzie miał uciechę.

– Rób, co chcesz. Ja stronię od syren.

– Zbyt wiele wspomnień? – zadrwił Silas. – Bo, o ile sobie dobrze przypominam, kiedy twoja matka pracowała dla mojego dziadka, bez problemów spełniała wszystkie moje życzenia. Przynajmniej wtedy, gdy nie była zajęta rolą kurewki Abrahama.

Nox walczył z wzbierającą w nim furją.

*Spokojnie.*

Zamiast jej ulec, wyobraził sobie, że wyjmuje z kieszeni zauroczony sprzęzynowiec i przykładą go Silasowi Ravenwoodowi do gardła. *Jakże rozstępowałyby się skóra i z jakim impetem krew*



wylewałaby się z rany. Jak walilby się jego zewłok.

Nox nabrał tchu, nie spuszczać oczu z Silasa.

– Świetnie. Jutrzejszej nocy uwolnisz mnie od nich. Łatwiej będzie, gdy zamknę ich w klubie, a ty po nich przyjedziesz.

– Jutro? – Silas sprawiał wrażenie zaskoczonego.

Nox wzruszył ramionami.

– Ta hybryda jest nieobliczalna, istny wrzód na tyłku. Ale ma zagrać w klubie, co oznacza, że syrena też tam będzie. Zamknę ich w magazynku w piwnicy. – Uśmiechnął się. – *A la carte* i na wynos.

Silas musiał to przemyśleć. W końcu skinął głową.

– Pamiętaj, żeby zacząć od stuknięcia inkuba. Jesteśmy o wiele bystrzejsi od was, Obdarzonych, lepiej się więc zabezpiecz. Jeśli ma jakieś pojęcie o podróżowaniu, pojmie, że może syrenę zabrać ze sobą.

– Naturalnie.

Silas zgasił cygaro na barierce, tuż obok dłoni Noxa.

– Do jutra. Jeśli ich tam nie będzie, ty za to zapłacisz.

Nox postarał się zachować kamienną twarz.

– Jakbym o tym nie wiedział.

– Pokazywałem ci już mój tatuaż? – Silas podwinął jeden z rękawów jeszcze kilkanaście centymetrów wyżej. Biceps inkuba opinały łukiem dwa słowa.

*Żadnej litości.*

– Dziadek sam mi je wyciął. – Silas poluźnił rękaw. Pstryknął palcami i drzwi platformy widokowej znów się otwały.

\*\*\*

Po odejściu Silasa Nox został na dachu. Należało zrobić jeszcze jedno i chciał się tym zająć, póki się jednak nie rozmyśli.

Wyjął z kieszeni książeczkę zapalek i przejechał palcami po sześciu literach na jej okładce.

Nox własnej przyszłości nie potrafił dojrzeć, ale i tak nie był pewny, czy ma ona jeszcze jakieś znaczenie. Nie o swojej przyszłości teraz myślał.

Chciał zobaczyć tę jej.

Nox zobaczył już ogień, a potem łańcuchy i zaczął szykować największy kant swojego życia. Musiał wiedzieć, czy on zadziała – skoro miał ją ochronić.

Niezależnie od tego, co o nim myślała, musiał to wiedzieć.  
Zapalił zapałkę. Zapach siarki wpłynął mu w nozdrza.  
Podniósł wzrok i tam, w ciemności, ujrzał ostatnie dni życia  
Ridley Duchannes.

Po raz trzeci i ostatni.  
A potem, gdy nadciągnęły chmury, zrobił coś jeszcze. Ułożył  
plan, mający te dni zmienić.

\*\*\*

Siedzieli we czworo na kupie skałek w Central Parku, pod osłoną  
drzew i jedli hot dogi. Niebo było ciemne, zbierało się na deszcz.

Tylko na deszcz, o ile dopisze nam szczęście.

*Ale czy kiedykolwiek nam dopisało?*

Do Rid docierał jeszcze gwar z alei Central Park South.  
Znajdowała w tych dźwiękach chaosu ukojenie. Po tym, co usłyszała  
od Noxa, nigdzie nie czuła się bezpieczna, a i inni tylko do czasu mieli  
ochotę gnieździć się między chroniącymi ich świecami.

Ukrywanie się w zatłoczonej przestrzeni publicznej – w  
miejscach uczęszczanych przez śmiertelników – było jedynym  
pomysłem, z jakim wyszła.

*I trzymanie się razem.*

– To ten wielki plan? Najlepszy, na jaki zdołaliście wpaść? –  
Floyd wyraźnie miała wątpliwości. Wepchnęła do ust resztę swojego  
hot doga.

– Tak. – Link spiorunował ją wzrokiem. – Skoro piechota morska  
była już zajęta.

– Myślicie, że rzeczywiście może zadziałać? – Necro swojego  
hot doga wrzuciła z powrotem w papier. – Silas go kupi? – Wracła do  
formy szybciej, niż można się było spodziewać, zważywszy, że jeszcze  
dzień wcześniej leżała nieprzytomna na łożu śmierci.

Ale hot dog był jeszcze zbyt ambitnym zadaniem.

– Mógłby – orzekł Link. – Może.

Ridley też nie miała apetytu.

– To daleki strzał. Ludzie, jeśli nie chcecie w to wchodzić,  
zrozumiem. – Wetknęła ręce w kieszenie swej skórzanej kurtki i  
zadygotała.

– To znaczy? – Necro dotknęła bandaża, niezdarnie owiniętego

wokół jej szyi.

– To znaczy, że nie byłam szczerą ani z Linkiem, ani z wami. I bardzo tego żałuję. – Głos Ridley zabrzmiał żałośnie. – Jak wielu rzeczy.

Necro przyglądała się jej. Floyd nie.

Link milczał.

W oddali obrzucali się przekleństwami dwaj taksówkarze. Klaksony trąbiły, samochody wymijały ich z rykiem,

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – spytała Necro.

Ridley nie była tego pewna,

– Ridley Duchannes, straszliwa z ciebie suka. Pełnowymiarowa Yoko Ono – powiedziała wolno Necro. Potem spojrzała na Floyd, ta zaś wzruszyła ramionami.

Ridley zeszywniała.

– I?

– I uważam Johna Ono Lennona za jednego z największych muzyków w dziejach znanego nam wszechświata – dodała Necro z uśmiechem.

Ridley się w tym pogubiła.

– A co to niby miało znaczyć?

– Każda kapela potrzebuje Yoko. A Silas Ravenwood może się cmoknąć. Wszystkim wara od mojej kapeli. Racja, Floyd?

Floyd pstryknęła w górę papier po hot dogu.

– Dziewczyna dobrze mówi.

Necro podniosła rękę, zaciśniętą w pięść.

– Przybij, siostra. Silas Ravenwood będzie miał w plecy.

Floyd wyciągnęła swoją,

Potem Link.

– Nie zapominajcie o facecie.

Ridley nie.

– Dobra – powiedziała Necro, pocierając swojego błękitnego pseudoirokeza. – Myślisz, że udałoby ci się coś zrobić z tymi włosami? Mam nastrój na wieczorną wizytę w Brooklińskim Blowoucie.

– Nie ma czasu. Mamy spotkanie z Noxem w mieszkaniu. – Ridley zsunęła się ze skałki, po drodze rozdzierając swój krótki kilt.

– Powiedz, że przyniesie nam pizzę – powiedziała Necro, zsuwając się za nią. – Cokolwiek, byle nie hot dogi.

– Coś lepszego. – oznajmiła Ridley, gdy również Floyd i Link zeszli ze skałki. – Przyniesie nam plany klubu Syrena.

## ROZDZIAŁ 34

### *Symphony of Destruction*

To istna nora – mruknęła Ridley, siedząc na wilgotnej, piwnicznej podłodze.

– Myślisz? – Link siedział obok niej, wpatrzony w strop, gdzie spomiędzy belek i gipsu wylaniała się jakaś hydraulika.

*Nie jakaś tam nora. Więzienie, pomyślała. Można było nieledwie usłyszeć szczury, przekradające się za kegami.*

*Jak to możliwe, że wylądowałam w brudnej piwnicy pod klubem nocnym na Brooklynie? Obawiając się o swoją przyszłość? Ukrywając się przed Silasem Ravenwoodem?*

Czekali w ciszy. W takich chwilach niewiele jest do pogadania.

Dwadzieścia cztery godziny układania planów nie zmieniły tej nocy w dużo lepszą. Kapela już do klubu przywędrowała w pełnym napięciu milczeniu. Zatęchłe piwnice pod Syreną były zawilgocone i puste. Nox już krążył po swoim biurze, jakby miała to być noc otwarcia.

Nie była.

Nie było napływających zewsząd tłumów Obdarzonych. Żadnych fosforyzujących syren, sprzedających Nektar Bogów. Żadnych barmanów, żadnej kapeli.

Nie na tym poziomie klubu, odciętych od reszty świata, zgodnie z obietnicą daną Silasowi przez Noxa.

Przy tym magazynie podziemia wydawały się najszcześniejszym miejscem na ziemi.

Ridley czuła wibracje basów, przenikające przez ściany. Nox zastąpił ich swoim didżejem, grającym muzykę house. Każdy dźwięk sprawiał, że podskakiwała.

– Zaczęła się muzyka – stwierdził Link, nasłuchując.

– No. – *To już niedługo*, pomyślała.

– Też powinniśmy tam być – powiedział tęsknie.

– Nie dzisiaj. Nie powinniśmy.

– Chyba nie.

Ridley uśmiechnęła się do niego.

– Miałeś tu dobry czas, Skurczaku.

– Tak. Syreni Śpiew. – Tak wymówił tę nazwę, jakby chował ją na swoim cmentarzyku niespełnionych kapel.

*Who Shot Lincoln. Holy Rollers. Meatstik. Syreni Śpiew.*

Rid uniosła w górę połyskujący różem paznokieć.

– Sam wiesz, że nie do końca był to Nox. Nie wszystko było jego dziełem.

Link nie chwycił przynęty.

– Pewnie. Była jeszcze syrenia lira jego mamy.

– Link.

– Myślę, że nie już ma możliwości, by się przekonać. – Link westchnął i spojrział na nią. – Ale to nieważne, Rid. Musimy się stąd wydostać i znaleźć bezpieczne miejsce. – *Musimy cię stąd wydostać i znaleźć ci bezpieczne miejsce.* To właśnie miał na myśli. Ridley znała Linka na tyle dobrze, by mieć tę pewność, niezależnie od tego, jak bardzo byłby na nią rozeźlony.

Zawsze stanowiła dla niego priorytet. Troszczył się o nią. O to, by postępowała właściwie. Dbał o nią. Nie mogła pojąć, czemu aż tyle czasu upłynęło, zanim w to uwierzyła.

*Myślę, że nie już ma możliwości, by się przekonać.*

Oparła się chęci wyciągnięcia do niego ręki, choćby po to, by położyć mu dłoń na ramieniu. Dziwnie było tak pamiętać o tym, żeby go nie dotknąć.

*To przeze mnie.*

*To przeze mnie tak mam.*

– Au... – Ciszę przerwało wycie Linka, potrząsającego teraz ręką tak, jakby chciał całkiem się od niej uwolnić.

– Czy twój pierścień też płonie?

Podniosła swój w górę, mrużąc oczy. Rozjarzona czerwień rzucała na ściany wokół nich cienie.

– Jak szalony.

Na moment zapadła cisza.

Ridley zerknęła z ukosa na Linka,

– Wiesz, ja też bym tak zrobiła.

Uniósł brew.

– Co byś zrobiła?

– Zajęłabym twoje miejsce. U Abrahama, znaczy. Chodzi mi o to, co wtedy powiedziałaś. Że żądałbyś, żeby zabrał ciebie zamiast mnie.

Link intensywnie wpatrywał się w ścianę przed sobą.

– Tak?

Ridley wzruszyła ramionami.

– Po prostu chciałam, żebyś wiedział.

Odwrócił się do niej.

– Rid...

Przeszkodziło im jednak walenie w drzwi i Ridley podniosła się.

Link niezgrabnie podszedł w jej ślady.

– Nox?

– To ja – potwierdził zza drzwi znajomy głos.

Link otworzył.

– Długo ci zajęło.

– Przepraszam – odparł Nox. – Musiałem zorganizować parę rzeczy. Parę tysięcy rzeczy. Floyd i Necro są gotowe do działania.

Ustawione na obu końcach sceny, czekają na mój sygnał.

Ridley spojrzała na Noxa.

– Necro. Jak ona...

– Świetnie. Silniejsza, niż sobie wyobrażacie. Możesz mi wierzyć. – Ridley uświadomiła sobie, że pod pewnymi względami Nox znał Necro lepiej niż ktokolwiek z nich.

Linkowi też ulżyło.

Nox ogarnął wzrokiem tę ponurą izbę.

– I jak się wam tu na dole podoba, dzieciaki? Luksusy, co?

– Nie mogliśmy czekać u ciebie w biurze? – spytała Ridley.

– Powiedziałem, że tutaj będę was trzymał – odparł Nox. – Taki był plan. To musi wyglądać wiarygodnie. Silas ma oko na klub. Nie należy raczej do tych ufnych.

– No więc co dalej? – zapytała Ridley, dygocząc. Znała plan, ale ani trochę lepiej się przez to nie czuła.

Nox wyjął z kieszeni szkarłatną książeczkę zapalek i podniósł, trzymając w dwóch palcach. Ridley z miejsca ją rozpoznała. Okładkę przekreślał nadruk SYRENA.

Wolną dłonią Nox chwycił Rid za rękę i niemal czuła, że Link ich obserwuje.

– Jesteś pewna, że chcesz przez to przechodzić, Mała Syrenko?

– Jeśli ty jesteś pewien, że to jedyne wyjście – odpowiedziała. Skinął głową.

– Jedyne, na jakie udało mi się wpaść. Link nie odrywał wzroku od zapalek.

– Czy są po to, po co mi się zdaje, że są? Czy może postanowiłeś zacząć palić?

– Już czas – powiedział Nox.

– A zatem mały pożarek, tak? Dywersja? – Rid czuła narastające zdenerwowanie.

– Nie taki znów mały – stwierdził Nox. – Może nieco większy, niż bym chciał.

– Nox. – Ridley cofnęła rękę.

– Dobra, może więc wcale nie taki mały. – Nox wzruszył ramionami. – Bez obaw. Pokazałem wszystko Necro i Floyd. Ta iluzjonistka sobie z nim poradzi. Wyprowadzą wszystkich z klubu, zanim tamci się w ogóle zorientują, co się dzieje. I miejmy nadzieję, zanim klub wybuchnie.

– Chwila, koleś. – Link nagle się tym zainteresował. – Zamierzasz spalić swój własny klub?

– Żeby Silas Ravenwood pozostawił was w spokoju, musi uznać, że nie żyjecie, i to musi być coś przekonującego. Coś, co zobaczy on sam lub przynajmniej któryś z jego ludzi na własne oczy. Zobaczą więc Syrenę, gdy będzie płonąć. – Nox zamachał zapalkami. – Rozumiecie już?

– Czekaj. Teraz poważnie. – Ridley położyła mu rękę na ramieniu. – Spaliłbyś dla mnie Syrenę?

– Czemu nie? – Nox, patrząc na nią, wzruszył ramionami. – Dla ciebie ją zbudowałem.

Przez chwilę żadne z nich nie powiedziało nawet słowa.

Potem Link obrzucił Noxa groźnym spojrzeniem.

– A może byś tak, piękniś, zachował te swoje kity dla siebie? Bo jeszcze może skończyć w płomieniach nie ta Istota Ciemności.

Nox puścił to mimo uszu.

Ridley odwróciła wzrok.

– Nie.

– Ridley. Proszę. Pozwól, bym raz w życiu zrobił to, co słuszne.

– Powiedziałam: nie. – Potrząsnęła głową. – Odwołaj to. Musi



być lepsze wyjście.

Link patrzył teraz na nią.

– Facet dobrze gada. Choć mnie też się to nie podoba, nie mamy wielkiego wyboru, Rid.

– Właśnie – westchnął Nox. – Przychodzą po was. Lokal idzie z dymem. Wynosimy ciała.

– Nasze ciała. – Ridley wciąż jeszcze miała problemy z ogarnięciem całego tego pomysłu.

Przytaknęła.

– Abraham w końcu wszystkiego się domyśli, gdyż nie pojawicie się po tamtej stronie. Wtedy jednak będziecie już daleko. Wystarczy, że się gdzieś zaszyjecie.

– Jak w programie ochrony świadków. – Link przystał na to. – Coś wymyślimy.

Nox zniżył głos.

– Widzieliście plany. Nie będziecie mogli wyjść frontowymi drzwiami, bo ludzie Silasa was zauważą. Stąd z dołu jest tylko jedno wyjście. – Nox wskazał korytarz. – Na jego końcu jest wejście dla personelu. Wyjdziecie tamtędy.

– Czy Silas i tych drzwi nie obstawi swoimi ludźmi? – spytała Rid.

– Owszem – przyznał Nox – ale nie będą się trzymać blisko nich, jeśli właśnie tam wybuchnie ten pożar.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... – Ridley nie odważyła się dokończyć.

– Pożar zacznie się tutaj – potwierdził Nox. – Będziecie musieli przedrzeć się przez ogień. To jedyna droga.

– Halo. – Link zamachał dłonią. – W tym pomieszczeniu jest hybrydowy inkub. Nie wyjdziemy drzwiami. Zabiorę nas oboje w podróż. Ostatnio nabrałem wprawy.

– Nie da się – odparł Nox. – Silas nie jest głupi. Tę drogę już zabezpieczył. Klub jest związany: na mój czar wiążący on nałożył swój własny. Nie wyczuwacie go? Nikomu nie uda się wejść czy wyjść przy pomocy podróży. Żaden list z podróżą też nie umożliwiłby przejścia. Będziecie musieli wyjść drzwiami, jak śmiertelnicy.

Ridley przeraziła się.

– Ale powiedziałaś, że zginę w ogniu. – Wpatrywała się w niego,

a serce jej waliło. – Właśnie przed tym mnie przestrzegłeś. Dziś wieczorem.

Nox skinął głową.

– Zginiesz w ogniu. To jedna możliwość. Ale nie w tym. Czegoś takiego jak to jeszcze nie widziałem. Ani razu nie widziałem przyszłości, w której to my podkładaliśmy ogień.

– Skąd wiesz? – Ridley była bliska rozpaczki.

– Widziałem drewniane schody. Widziałem ogień. Widziałem niebo. Nie piwnicę pod klubem.

Potrząsnęła głową.

– A jeśli to ten sam pożar?

– Nie ten sam. Nie, jeśli wszystko będzie pod naszą kontrolą.

– Pewien jesteś? – Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że nie jest.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Takiej przyszłości dla ciebie nie widziałem. To nie jest żadna z tamtych twoich ścieżek.

Ridley nie odzywała się przez chwilę.

*Co innego mam do wyboru?*

– Prędeż zginę w ogniu, niż skończę jako część haremku Silasa Ravenwoda – oznajmiła wreszcie.

Link chwycił ją za rękę.

– Ani jedno, ani drugie. Nie na mojej wachcie.

– Nie na naszej – dodał Nox.

– Niech będzie. – Link się zasepił. – Jeśli nie da się podróżować, to jak się stąd wydostaniemy? To, że kawał twardego, nie oznacza, że jestem ognioodporny.

– Ja jestem – odezwał się Sampson, stojący tuż za drzwiami.

Ridley nie potrafiła stwierdzić, od jak dawna ich obserwował.

Link ze zdziwienia uniósł brew.

– Serio?

Ciemnorodzony zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie, matolku. Ale mam nad nim pewną władzę.

– Sampson, pochyliwszy się ze względu na framugę, wszedł do magazynu. – Słyszeliście kiedyś o efekcie motyla? Mówi się, że trzepot motyli skrzydeł w Chinach może wywołać huragan na drugim końcu świata.

– W szkole letniej w pewnym sensie zawałam biologię, mógłbyś więc mnie pokrótce oświecić.

– To właśnie zrobiła twoja kuzynka, rozwalając porządek rzeczy  
– kontynuował Sampson. – Zmieniła naturę nadnaturalnego świata, aż po jego źródło.

– Ogień Ciemności – powiedziała cicho Ridley.

Sampson odnalazł oczyma jej wzrok i się uśmiechnął.

– Jak myślisz, czemu nazywa się nas Ciemnorodzonymi?

– To prawda. Sampson i jego pobratymcy czerpią swe siły z Ognia Ciemności – potwierdził Nox. – Ogień śmiertelników? Dla nich bagatelka.

– Tak? A wdychanie dymu śmiertelników? – Link nie bardzo temu ufał.

– Ogień ogniovi nierówny. Powiedzmy, że poddaje się mojej woli – powiedział Ciemnorodzony, patrząc na Ridley. – Podobnie jak faceci twojej.

– Myślałam, że nie obchodzi cię los śmiertelników. – Ridley podejrzliwie przyglądała się Sampsonowi. – I że nie angażujesz się w sprawy Obdarzonych.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma reguły bez wyjątku. Z kapelą przecież nie zerwę.

Link z rozdziawioną gębą wpatrywał się w gitarzystę Syreniego Śpiewu.

– Wśród istot nadnaturalnych ty jesteś Magneto. W mordę miśka.  
– Link żadnego innego bohatera komiksowego nie cenił tak jak Magneto. Bardziej uhonorować Sampsona już nie mógł.

– Mogłaby być Metallica – odparł Sampson. – Ale kupuję to.

Link gwizdnął pod nosem.

– Do ciemnej ognistej anielki, większego komplementu nie usłyszysz.

– Wszystko więc jasne. – Nox podniósł zapalki. – Pora wziąć przyszłość we własne ręce. Niech ogień zapłonie. Wprawmy w ruch Koło Losu.

Link uśmiechnął się szeroko.

– Zaczynam łapać, o co ci chodzi. Koło nas nie rozjedzie, jeśli to my będziemy je pchali.

Nox wręczył mu zapalki.

– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Jak na popapranego inkuba o ograniczeniach śmiertelnika.

– Często to słyszę.  
Nox odwrócił się do Ridley.  
– Jesteś gotowa?  
Odrzuciła do tyłu włosy.  
– Gotowa od urodzenia. – Po raz drugi zablefowała w rozmowie z nim.

Miała nadzieję, że tym razem jej uwierzył.

\*\*\*

Link trzymał zapalki. Ridley i Sampson, posępni, stali przy nim. Wyglądali jak na jakimś pogrzebie – bo i, w pewnym sensie, w takim uczestniczyli.

– *Incendio* – powiedział Nox. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął żeton pokerowy. – Imprezę czas zacząć.

Ridley wpatrywała się w ten żeton jak urzeczona.  
Znieruchomiała.

– Co to takiego? – spytał Link.

– Drobiazg, który wygrałem w łgarstwo. Żeton. Wygrałem od bardzo potężnego kataklisty bardzo potężne zakłęcie. – Nox zerknął na Ridley. – Nie na miarę Duchannes’ów, rzecz jasna. – Uśmiechnął się. – Ale i tak da popalić.

Ridley spojrzała na niego.

– Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi przy stole gry.

Uśmiechnął się do niej, podrzucając do góry żeton.

– Rozpalamy ogień, a potem zakłęcie *Incendio* idzie z dymem.

Dosłownie. A z zakłęciem klub.

– Naprawdę? – Link poskrobał się w głowę. – Tak po prostu?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze tego nie próbowałem.

Nox podniósł żeton.

Ogarnął wzrokiem piwnicę, a potem jej strop, nad którym mieścił się główny parkiet taneczny. Rid ciężko było na to patrzeć.

– Dobrej nocy, syreno.

Nox pocałował żeton i wręczył go Sampsonowi.

– Do dzieła. Zanim się rozmyślę.

Sampson zgniótł żeton w dłoni, a potem powoli wyciągnął ją, wnętrzem do góry.

– Link, podpalaj.

Rid cofnęła się o krok.

– Tylko ostrożnie.

Link odwrócił głowę, trzymając już zapalną przygotowaną do uderzenia o draskę.

– Jak zawsze, mała. – Spojrzał na Sampsona. – Było wporzo, brachu. Do zobaczenia po tamtej stronie.

Potał zapalną i ta ożyła płomieniem. Chwilę, długą jak wieczność, czekał, aż się ten płomień rozrośnie.

Nox odwrócił wzrok. Sampson zacisnął zęby. Link po raz ostatni zerknął na Ridley. Przesunął zapalną nad żeton i upuścił Sampsonowi na dłoń.

Wtedy wszystko utonęło w bieli.

Oślepiająca eksplozja ognia i żaru odepchnęła ich. Link z impetem poleciał na ścianę. Obok niego upadła Ridley. Nox wylądował na kolanach.

Jedynie Sampson wciąż stał. Wyciągał rękę, trzymając w niej kulę ognia, rozjarzoną niczym słońce. Cisnął ją w głąb korytarza, w stronę wyjścia.

Dokładnie tak, jak chciał tego Nox.

W ciągu kilku sekund płomień liznęły drewniane belki stropu i ściany kryte boazerią.

Syrena szła z dymem, a wraz z nią marzenia Noxa.

\*\*\*

– Pora iść – oświadczył Sampson, przesiąknięty dymem i umorusany sadzą, ale poza tym cały i zdrowy.

Link wstał, podnosząc też Ridley.

– Przypomnij mi, żebym kupił ci nową koszulę, gdy już stąd wyjdziemy.

– Nie tam, gdzie kupujesz sobie. – Sampson nawet się nie uśmiechnął. Popatrzył surowo na pozostałych. – Jeśli nie chcecie się poważnie poparzyć, musicie trzymać się tuż za mną.

– Schyl się i schroń<sup>1</sup> – powiedział Link. – Łapiemy.

Sampson uchwycił jego spojrzenie.

– Nie mówię tu o waszym poparzeniu trzeciego stopnia.

– Domyślam się.

Ogień rósł w oczach, z każdą mijającą sekundą mocniej się

kłębiąc i rycząc. Drewno trzaskało i pękało, jakby wszystko tu jakoś ożyło, tylko po to, by zaraz znów umrzeć. Piwniczny korytarz był już całkiem wypełniony dymem, a pod stropem przetaczały się fale ognia. Sampson wszedł w płomienie i chociaż Nox uprzedził ich, czego mogą się spodziewać, trudno było w to uwierzyć. Palące fale pierzchały przed Sampsonem, rozplaszczając się to na ścianach, to w powietrzu wokół niego, jakby Ciemnorodzonego osłaniała jakaś bańka.

Bo gdy szło o ogień śmiertelników, tak właśnie było.

Nox patrzył ze zgrozą, jak wszystko w tym wnętrzu płonie, otaczając ich ze wszystkich stron ogniem, z każdym krokiem Sampsona szczelnie wypełniającym przestrzeń za nimi.

Link wyciągnął rękę ku skrajowi bańki.

– Nie rób tego – powiedział Sampson. – Chroni tylko mnie, hybrydo.

Link rękę opuścił, klepiąc Ciemnorodzonego po ramieniu.

– Naprawdę jesteś Magneto.

– Tylko trzymajcie się blisko.

Ridley szła tuż za Linkiem, a Nox trzymał dłoń na jej krzyżu.

*To się uda. Musi się udać.*

Chociaż płomienie cofały się przed Sampsonem, żar był ogromny, a otaczające ich ściany, podłoga i strop zaczynały się rozpadać, obracać w ogień, popiół i zwęglone kawałki drewna.

Gdy szli, podłoga drżała, a drewniane klepki gdzieś zapadały się im pod stopami. Przemarsz w głąb korytarza, za czujnie wiodącym ich Sampsonem, przypominał więc czasem grę w klasy na śmierć i życie.

Potem zaczęła się ewakuacja.

Słyszeli ją ze wszystkich stron, tupot stóp i krzyki, przebijające się nawet przez huk płomieni.

Jeden po drugim rozjazgotały się alarmy przeciwpożarowe.

Krzyk przybrał na sile – a potem przycichł.

*Floyd i Necro, zgodnie z zapowiedzią, wzięły się do roboty.*

Tyle tylko przyszło Ridley do głowy.

Na tyle przynajmniej w tej chwili liczyła. Że wyprowadzą z budynku cały ten tłum z wyższych pięter. Musi im się to udać.

*Te dziewczyny są równie mocne jak Sampson, może mocniejsze. Nawet Necro, nawet teraz.*

Gdy cztery istoty nadnaturalne przesuwały się w dół korytarza, płomienie wciąż kładły się łukiem na osłaniającej je niewidzialnej barierze.

Dobrze im szło, dopóki nie zaczęła pękać jedna z belek stropowych.

Ridley wyczuła to wcześniej, niż usłyszała. *Ręka mnie pali. Czemu ręka mnie pali?* Spojrzawszy na nią, zobaczyła, że jej pierścień jarzy się czerwienią.

Działo się coś niedobrego.

– Link... – zaczęła.

Ale to Nox zobaczył to pierwszy.

– Rid! Uważaj...

Płonący kłoc drewna stracił oparcie, akurat gdy Ridley podniosła wzrok.

Wrzasnęła i odskoczyła w tył.

*Nie!*

Nox usiłował wypchnąć ją do przodu, ale już zbyt duża odległość dzieliła ich od Sampsona i Linka.

Podłogę między nimi przekreślił ogień, a belka stropowa zwała się w dół, przewracając Ridley. Ten płonący kłoc oddzielał teraz ją i Noxa od Sampsona i Linka, pośród osaczających ich szybko płomieni.

*Już to widziałem, pomyślał Nox. To będzie koniec.*

Już w ułamek sekundy po tej myśli, nadpłynęła kolejna.

*Nie. Tak być nie może. Nie pozwolę.*

– Rid! – krzyknął Link zza ściany dymu.

Nox zgarnął Ridley z podłogi. Na jej twarzy oszołomienie mieszało się z lękiem.

– Trzymam cię, Mała Syrenko.

Rozkaszał się, bo dym wgryzł mu się w płuca. Ogień stał się już tak potężny, że mało co było widać. Świat wokół nich się walił. Bez Ciemnorodzonego niedługo to potrwa.

Wypatrywał w tym dymie Sampsona, wzrokiem sięgał jednak niewiele dalej niż na metr. Skoro Ciemnorodzony nie zawrócił, musiał być tego powód. Nox wiedział, że tamten by ich tak nie zostawił.

Nox chwiejnie uchodził z najgorętszej części tego wąskiego korytarza, jedną ręką przygarniając Ridley do piersi, drugą zaś przesuając po kamiennym murze. Płomienie podpełzały coraz bliżej,

a dym posyłał im w twarze popiół i drobinki węgla.

*Nie teraz. Nie tak.*

Natrafił na drzwi we wnęce ściennej, umożliwiającej chwilę wytchnienia, wolną od żaru i płomieni.

Tyle że możliwości już im się wyczerpywały.

Drzwi za nimi okazały się zamknięte i osaczał ich ogień. Nigdzie też nie było widać Linka ani Ciemnorodzonego.

Ridley była oszołomiona i kaszłała.

– Wpakowaliśmy się w pułapkę, tak?

Nox rozejrzał się, mimo to potrząsnął głową przecząco.

– Wyciągnę nas z tego, Rid. Uda nam się, obiecuję.

*Nie uda nam się.*

Ustawił się między ogniem a Ridley, na próżno usiłując osłonić ją od żaru, i teraz kaszłał równie mocno, jak ona. Tak paliło go w plecy, że trudno było znieść ten ból.

Oczy tak piekły, że je zamknął.

– Nox, nie odpływaj. – Słyszał głos Ridley, ale jakby z oddali.

*Jestem tu*, pomyślał, choć z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

*Bo nadziei już nie ma* – taka była jego następna myśl. I jeszcze, że nigdy nie mieli szans.

*Tak mi przykro, Ridley. Przykro mi, że gdziekolwiek się ruszę, nie odstępują mnie cienie. Że dotarły za mną do ciebie.*

– Przestań, Nox. Otwórz oczy. Jestem przy tobie.

Jego głowa opadła jej na ramię.

– Lennox! – Zza płomieni dobiegło do nich wołanie Sampsona.

Chmura dymu rozwiała się i w jej miejsce wskoczył właśnie Sampson, bez szwanku. Jedną ręką chwycił Ridley, drugą Noxa i żar nagle, a zarazem miłosiernie zelżał.

– Ta szalona hybryda oberwała. Zachciało mu się tu wrócić i samemu ją wyciągnąć. Użyłem całej swojej pary, żeby jego durna dupa zaliczyła głębę, zanim rzuci się w oczy ludziom Silasa.

– Musimy ją stąd zabrać – powiedział Nox, siłąc się na to, by trzymać głowę prosto.

– Nic mi nie jest. Mogę sama iść. – Głos Ridley zabrzmiał po dawnemu i Noxowi zrobiło się lepiej. Gdy już otworzył oczy, nie odrywał od niej wzroku. Wiedział, że może to dla niego ostatnia szansa, by mieć ją tak blisko siebie.



Sampson szedł przodem, a gdy dotarli do ostatnich schodów, ujrzeni Linka, opartego bezwładnie o ich skraj.

Ridley i Nox poczuli wreszcie podmuch świeżego powietrza.

*Zewnętrzny świat jest już tak blisko.*

Nox bliżej przyciągnął Ridley, złaknioną powietrza.

– Chwała Bogu – powiedział.

Ridley milczała. Starła się jedynie odetchnąć. Ale i poszukała jego ręki.

Nox, złapawszy oddech, nachylił się nad jej twarzą, by ostatni raz musnąć wargami policzek.

Potem puścił Ridley, popychając ku Sampsonowi.

– Musisz się stąd zabierać, Mała Syrenko.

– Chciałeś powiedzieć: *musimy*. – Nie puszczała jeszcze jego ręki.

Sampson odwrócił się, chcąc zapewnić Noxowi chwilę sam na sam z nią, a jednocześnie nadal dawać odpór ogniowi.

Niewiele zostało czasu.

– Nie taki był plan. Ktoś musi zostać i stawić czoło Silasowi, inaczej on nie uwierzy, że oboje zginęliście – wyjaśnił Nox.

– Nie, powiedziałam swoje. Już o tym rozmawialiśmy. Nie zostawię cię tutaj. Nie z nimi.

– Będę tuż za tobą albo niewiele dalej. Muszę jednak na użytek Silasa, odegrać dramatyczne wyjście. Z tobą u mego boku to nie wypali. Muszę wyjść głównymi drzwiami. Zobaczymy się w świecie zewnętrznym, gdy znów będzie bezpiecznie.

– Kłamiesz – stwierdziła.

Miała rację.

Nox podniósł wzrok ku poczerniałym belkom stropowym. *Ile zostało czasu, zanim te krokwie runą?* Będzie musiał ją przekonać.

– Jeśli Silas odkryje, że żyjesz, nie spocznie, nim ciebie nie znajdzie. Mogę ci pomóc, ale tylko wtedy, gdy tu zostanę. Musisz opuścić Nowy Jork. Pojedź, gdziekolwiek zechcesz, byle jak najdalej stąd.

Lampy pękały z trzaskiem, jedna po drugiej.

Zapasy starego wina eksplodowały, szerząc pożogę.

Kolejna belka stropowa rąbnęła w podłogę za nimi.

Klub się walił.

Ridley zagryzła wargi.

– Co z moim żetonem? Z tym, co jestem tobie winna? Czyżbyś zapomniał?

Nox sięgnął do kieszeni i coś z niej wyjął, by wcisnąć jej w dłoń.

Zacisnęła palce na tym, zdawałoby się, zwyczajnym żetonie pokerowym.

– Nox – powiedziała.

– Nie zapomniałem. Pamiętam wszystko, co wiąże się z tobą – zapewnił ją czule. – I nic mi nie jesteś winna. Nigdy nie będziesz.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Dostarczyłaś mi perkusistę, pamiętasz?

– Wiesz też, że nie mówię o tamtym żetonie.

Nox wziął ją w ramiona, przyciągając do siebie.

– Tego, co jesteś mi winna, Mała Syrenko, co cały czas byłaś mi winna, nie powinno się zdobywać dzięki grze. Nawet jeśli gra się o DPM.

Głos jej zadrżał.

– To był żeton domu. Twoja wygrana, Nox. Mogłeś wziąć wszystko, czego byś zażądał. Musiałabym ci to oddać.

– Wiem – odparł Nox. *Wiem lepiej niż ktokolwiek inny. Nie było dnia, bym o tym nie myślał z tysiąc razy.* – Wolałbym nigdy tego nie wygrać. Wolałbym nie zmuszać ciebie do przyjazdu tutaj. Wolałbym nawet nie żądać od ciebie perkusisty. To było niedobre, od początku do końca. Tak mi przykro. – Szczerości jego słów nie sposób było zaprzeczyć, tak samo jak wpisany w nie uczuciom.

Ridley schyliła się i najmocniej, jak potrafiła, cisnęła żeton w samo serce ognia.

Po policzku spłynęła jej łza. Starła ją grzbietem przybrudzonej sadzą dłoni.

– Wybaczam ci.

*Syrenia łza.*

Dotąd tylko raz widział płaczącą syrenę. Swoją matkę, tego dnia, gdy odbierał mu ją Abraham Ravenwood. Na zawsze zapamiętał tamtą chwilę.

*Tej też nigdy nie zapomnę.*

Nie patrzył, jak Sampson wynosi ją drzwiami od zaplecza. Mistyfikacja wypadła dobrze: Ridley była bezwładna jak szmaciana

kukielka i oblepiona sadzą. Silas i jego ludzie nie będą mieli pojęcia, że w piersi tej Małej Syrenki nadal bije serce.

Niepokojący widok.

*Możliwe, że już jej więcej nie zobaczę. Nie chcę jej takiej zapamiętać.* W zadumie splótł palce, jeszcze mokre od jej łez.

*Chcę to zapamiętać.*

Nox ruszył w kierunku głównego wejścia do klubu, zapewne ostatni raz w życiu.

\*\*\*

Gdy wreszcie tam dotarł, z Syreny już nic nie zostało. Przyglądał się strażakom zalewającym wodą szkielet budynku i resztki dachu, jedynie po to, by pożar nie przeniósł się na sąsiednie budowle.

*Pożary śmiertelników. Strażacy śmiertelnicy.* Byli zadziwiająco dobrzy w swoim fachu. Aż szkoda, że nazajutrz nie będą niczego pamiętali.

Przy krawężniku za jego plecami zatrzymał się czarny samochód typu SUV.

Przyciemniona szyba zjechała w dół i spod swej fedory spojrział na niego Silas Ravenwood. Przejechał wzrokiem po tym, co zostało z klubu.

– Mam nadzieję, że byłeś ubezpieczony, dzieciaku.

*Musisz raz jeszcze zablefować.*

*Dla niej.*

Nox pomyślał o swej matce i o nocy, gdy odkrył, że ojciec nie żyje. Pomyślał o wszystkich okropnych rzeczach, które spotkały go w jego żalonym życiu. Potem przypomniał sobie tę jedną rzecz, jeszcze bardziej bolesną – to, co poczuł na myśl o Ridley zakutej w łańcuchy, zupełnie jak jego matka w swej klatce.

Pomyślał też o tym, co teraz czuje.

*O totalnej i kompletnej pustce.*

Podniósł przekrwione oczy, by spotkały się z pustym spojrzeniem Silasa.

– Czego ci trzeba, Silasie? – Gestem wskazał klub. – Wypadłem z gry. Nie mam już niczego, co mógłbyś zabrać.

Silas zapalił cygaro i wygramolił się z auta. Podszedł do Noxa i zmiótł popiół z rękawa jego popalonej koszuli.

– Nie cierpię, gdy tak mówisz, dzieciaku. Zawsze zostaje coś do zabrania.

Żyły Noxa poraził lęk.

*Nie reaguj.*

Inkub otoczył mu szyję ramieniem, potem je zacisnął.

Nox zaczął się szamotać, walczyć o oddech.

– Myślałeś, że się nabiorę na to twoje syfiaste przedstawniko? Wiem, że tę sukę wypuściłeś. – Silas wzmocnił uścisk, odcinając Noxowi dostęp do resztek powietrza. – Frajer z ciebie, Gates, zupełnie jak z twojego staruszka. Zmarnowałeś życie dla syreny, która sama nie pożyje na tyle długo, by skorzystać z tak źle ułożonego uczucia.

Szofer Silasa otworzył tylne drzwiczki i Silas wepchnął Noxa do samochodu. Jak na starszawego inkuba, uścisk miał żelazny. *Oto, co można osiągnąć, całe życie żerując na mocach innych ludzi*, pomyślał Nox, gdy drzwiczki się za nim zatrzaśniwały. *Powinienem był wiedzieć.*

Rozbawiła go zawarta w tym ironia. Miał więcej wspólnego z Silasem Ravenwoodem, niż sobie wyobrażał.

W płuca wdarło mu się powietrze i z każdym oddechem się krztusił. Nox wiedział, że Silas Ravenwood go zabije – rozkoszując się tym. Ale jego własna przyszłość już nie miała dla niego znaczenia.

Zobaczył bowiem jej przyszłość, w owej trzeciej i ostatecznej wizji. Gdy po raz ostatni zajrzał w ostatnie dni życia Ridley Duchannes.

*Zostawmy jej dzień dzisiejszy. Jutrzejszy zostanie dla aniołów.*

Ciemności nigdy nie zabraknie.

Lennox Gates wiedział o tym jak mało kto. Czy to ty pchasz Koło, czy toczy się ono prosto na ciebie, Ciemność zawsze cię w końcu odnajdzie.

Miał tylko nadzieję, że jest jedynym, który się tego dowiedział.

Ledwie samochód ruszył, Nox zamknął oczy.

Zamierzał zemdleć.

*Powinienem był powiedzieć jej, co do niej czuję, gdy pierwszy raz miałem na to szansę. Jedynie tego żałuję. Tyle lat temu, gdy byliśmy jeszcze dziećmi.*

*Na tamtej plaży na Barbados.*

*Tego dnia, gdy pierwszy raz spotkałem jedyną na świecie osobę, która byłaby w stanie mnie zrozumieć. Dziewczynkę, która wiedziała,*

*co się czuło, robiąc rzeczy, które i ja potrafiłem robić.*

*Powinienem był jej powiedzieć.*

Zanim Nox przypomniał sobie, czemu tego nie zrobił, stracił przytomność.

Zalecenie na wypadek wybuchu bomby atomowej. Element przysposobienia obronnego, wpajany Amerykanom od małego. [wrót]

## *POTEM*

### *Fade to Black*

Droga z Nowego Jorku rozwijała się przed nimi w szybkim tempie, tak samo jak wtedy, gdy do niego zmierzali. Tyle tylko, że teraz Lucille Ball, mrużąc, zajmowała miejsce na przednim siedzeniu, między Obdarzoną a ćwierćinkubem.

– Co jest z tą kotką? Zupełnie, jakby nie miała pojęcia, że wiejemy – zirytowała się Ridley.

– Nie ma. To tylko kotka.

– Lucille Ball to taka sama plotkara, jak Siostry – stwierdziła Ridley. – Wie o wszystkim. Zwiewamy przed bandą Obdarzonych żuli z podziemia. Mieszkanie nie jest bezpieczne. Miasto jeszcze mniej. Prawdopodobnie wszędzie tu pełno jest oprychów Silasa Ravenwooda. Ta kotka nie powinna mrużać.

Zdenerwowania Ridley starczyłoby na ich oboje. Nie obchodziło ją, czy jeszcze zobaczy miasto. Wiedziała tylko, że mają siebie nawzajem i że nadal żyją.

*Ale jak długo jeszcze?*

– Przestań się oglądać za siebie – powiedział Link.

– Nie mogę, bo nie chcę umrzeć – odparła Rid. – Czuję, jakbym była... jakbyśmy byli śledzeni.

– Nie umrzesz. No, dobra, umrzesz. Wszyscy umrzemy. Ale jeszcze nie teraz. – Mimo to, Link przyspieszył. – Jeżeli Nox zrobił swoje, Silas Ravenwood nie ma pojęcia ani gdzie jesteśmy, ani dokąd się kierujemy, a reszta kapeli dawno się ulotniła.

Ridley spojrzała w okno. Nie chciała myśleć o Noksie i o tym, co mógł teraz robić. Nie chciała myśleć o tym, czego się wyrzekł, zostając tam.

– Nie zdołamy się wiecznie ukrywać przed Silasem.

– Mów za siebie. Ja w ukrywaniu się jestem świetny. W zeszłym roku dyrektor Harper nie mógł mnie znaleźć przez większą część semestru. To po prostu jeden z moich rozlicznych talentów. – Mrugnął do niej.

Ridley wiedziała, że nie było w tym przesady. Poza tym jeszcze znacznie wcześniej, bo przez większą część swojego życia, Link ukrywał się przed własną matką. Jak oceniała, radził sobie z byciem niewidzialnym już równie dobrze, jak Savannah Snow z tym, żeby być zauważalną.

– Dyrektor Harper to jednak nie Silas. – Ridley wciąż miała wątpliwości. Link jednak zaczynał ją uspokajać, jak zawsze odsuwając jej obawy.

– Możliwe. Jednak Silas nie jest też najpotężniejszym inkubem krwi wszech czasów. Może uda nam się mu wymknąć. Może kupimy tym sobie trochę czasu.

*Dopóki Abraham znów się w to nie wtrąci*, pomyślała Ridley. *Co, mam nadzieję, nigdy nie nastąpi.*

– I co dalej? – Spojrzała na niego. Znowu w Rzęchu, gdzie zaczynało się i kończyło wszystko, co miało jakikolwiek związek z Linkiem. I gdzie Lena poznała Ethana, przypomniała sobie teraz. Ten Rzęch widział już chyba wszystko. Aż dziw, że jeszcze był w stanie się turlać.

Link zerknął na nią kątem oka.

– Co znaczy to: i co dalej?

– Nie możemy wrócić do Nowego Jorku.

– Nie, proszę pani. Nie, jeśli nie odpowiada pani stałe zakwaterowanie w Pańskim Ogrodzie Wiecznego Odpoczynku – stwierdził Link. – Choć wówczas moglibyśmy straszyć niemal wszędzie, gdzie by się nam zamarzyło. Przekonać się, jak to jest być martwym.

– Odsuść sobie dowcipkowanie. Mówię poważnie. Pojęcia nie masz, z czym się tu mierzysz. To dla Obdarzonego jak wyrok śmierci. Jesteśmy skończeni. I nikt nigdy już nie da ci angażu. Zapomnij o Syrenim Śpiewie. Możesz całej swojej karierze muzycznej powiedzieć: pa pa. – *Proszę*, pomyślała desperacko. *Bardzo proszę, powiedz jej pa pa.*

Link wystukał rytm na kierownicy.

– Skrzydełko me Kurczęce.

– Nigdy. Mnie. Tak. Nie. Nazywaj.

Uśmiechnął się, ignorując ją.

– Tylko w Nowym Jorku nie mamy już czego szukać, kochanie.

Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? Kiedy opowiadałem ci o tych wszystkich kapelach, które zaszły wysoko, nigdy nie postawiwszy stopy w Nowym Jorku?

Przyjrzała mu się.

– Wariat z ciebie. Wiesz o tym?

– Hej, może i nie mam kapeli, ale mam ciebie, racja?

– Zawsze chyba masz?

– Nie odpowiedziałaś na pytanie.

Link odgarnął jej włosy, by przyjrzeć się maleńkim iskrzącym się kolczykom w kształcie litery *S*, które miała w uszach.

– A to co takiego?

– Kolczyki? Chyba zapomniałam je zdjąć. – *S* jak syrena. *S* jak klub Syrena. *Z szafy pewnego Obdarzonego*. Przypomniały jej kolację pod gwiazdami, na dachu Metropolitan Museum.

*Kopciuszka na balu potępieńców*, pomyślała.

– To prawdziwe diamenty? – Link patrzył teraz na nią. – Lepiej nie mów. – Potrząsnął głową. – Nie moja liga.

– Co takiego? – Ridley szesała włosy za uszy, teraz już świadomie.

– Pan Nowy Jork. Ta jego klasa i kasa.

– Pan Nowy Jork nas ocalił – przypomniała.

– Jasne, przed sobą samym. Przed tym, co początkowo zamierzał z nami zrobić. Jeśli chcesz, bym wyrażał się precyzyjnie.

– Nie chcę.

– Nie jestem nim. I nigdy nie będę. – Link nie odrywał wzroku od drogi. – Jestem chłopakiem z Południa. Kiedy przyniosę ci kolczyki, będą pochodziły z supermarketu. Powinnaś już to wiedzieć.

Coś w Ridley pękło. Ogarnął ją przyływ uczuć, większy, niż kiedykolwiek pragnęła. Zbyt duży, by wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

*Wobec tego, co mam i co straciłam. Wobec tego, którego mam, i tego, którego straciłam.*

Ale Ridley i Link przeżyli. Byli razem. Mieli swoje teraz i siebie nawzajem. To było najważniejsze.

Żałowała tylko, że nie wie, jak mu to powiedzieć.

Spojrzała na Linka.

– Wystarczy mi, że będziesz Wesleyem Lincolnem z Gatlin w



Karolinie Południowej.

– Słodkie to jak cukier, słodczy moja. Chciałbym ci uwierzyć, ale i tak to słodkie.

– Link.

– Daj spokój. Oboje wiemy, że Lennox Gates takich gości jak ja to ma na własność.

Rid dotknęła jego ramienia.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko, żebyś mnie pocałował, idioto.

Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że tak właśnie jest.

Link zagryzł wargi, zastanawiał się.

– Mowy nie ma. Jeżeli masz być ze mną, to nie dlatego, że raz pozwolimy sobie w jakimś zaułku, a potem będzie ci mnie żal.

– To nie żaden zaułek. Pocałuj mnie.

– Powiedziałem, że nie. Jeśli mamy być razem, to jedynie dlatego, że oboje tego chcemy. Że siebie nawzajem szanujemy i potrzebujemy. I że kochamy...

– Pocałuj – powiedziała.

Powoli zjechał na pobocze autostrady.

Link obszedł Rzęcha i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

Przyklękął na jedno kolano, głównie dlatego, że tylko złożony swe przerośnięte ciało, mógł mieć głowę na jej poziomie.

Ridley popatrzyła na niego ze swego siedzenia.

– Czym mogę służyć, Wesleyu Lincolnie?

– Ridley Duchannes. Czy istnieje choćby najmniejsza i najgłupsza cząsteczka ciebie, która kocha choćby najmniejszą i najgłupszą cząsteczkę mnie?

Przyjrzała mu się, mruganiem powstrzymując łzy. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby wtedy, gdy po raz pierwszy powiedział, że ją kocha, zarzuciła mu ręce na szyję, wycalowała jego słodką buźkę i wyznała, że ona też zawsze go kochała.

Nie braliby się za łby. Nie uciekłyby z tego kraju, a ostatecznie i od całego tego świata śmiertelników. Nie usiłowałyby się zatracić w durnej grze w karty.

Udręka. Ta nazwa doskonale pasowała do klubu, w którym to wszystko niemal postradała. I dobrze oddawała to, przez co oboje przechodzili od chwili, gdy jej stopa stanęła w tamtym lokalu. Choć

mówiąc szczerze, Ridley musiałaby przyznać, że gdy tam trafiła, miała za sobą już trzy miesiące udręki.

Dlaczego?

Dlatego, że nie potrafiła pewnemu durnemu chłopakowi, którego kochała każdym mięśniem swego głupio złamanego serca, powiedzieć, że kocha go mocniej i głębiej niż kiedykolwiek kogokolwiek innego na tym świecie?

Ridley nie chciała już wracać do tamtego popołudnia w Dar-ee Keen. Za bardzo bolało. Nie chciała już wracać na żadną z błędnych dróg, którą sobie kiedyś wybrała.

Zamiast tego, zamknęła oczy i się na dobre rozplakała.

Wtopiła się w ramiona Linka, wtulając twarz w jego bark, wciskając mokry nos w jego sterczącą czuprynę, tak, jak na to czekał od czasu tamtego pierwszego wyznania.

\*\*\*

Wesley Lincoln wreszcie doczekał się odpowiedzi, choć przybrała ona formę mokrej plamy na jego szyi. Chociaż Ridley Duchannes głos odebrało i zdobyła się tylko na kiwnięcie głową.

Choć długo przyszło mu na to czekać, przez czas dłuższy niż wszystkie „Tygodnie z rekinami” razem wzięte, niż całe lato z grami wideo klasy E, a nawet niż Maraton Kiepskich Kapel w Summerville.

Link gotów był ją przyjąć. Mógłby też czekać na resztę, choćby do końca swego długiego żywota.

Bo oto najdłuższy impas w pisanych dziejach świata – a przynajmniej w dziejach tej konkretnej Obdarzonej i tego konkretnego hybrydowego ćwierćinkuba – doczekał nagłego, słodkiego zakończenia.

Razem gotowi byli stawić czoło światu.

Albo skryć się przed nim, po wieczne czasy.

Musieli tylko ułożyć sobie plan.

\*\*\*

– Kolejne pytanie, kochanie.

– Ależ ty dzisiaj masz pytań, Skurczaku – Ridley tak usiadła, by stopy o różowych paznokciach trzymać mu na kolanach, podczas gdy prowadził, przytrzymując je jedną ręką.

Poruszyła palcami, a on się uśmiechnął.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, i obiecuję, że będzie łatwiejsze od poprzedniego.

– Niech będzie – zgodziła się.

– Powinniśmy wrócić do Gatlin?

Pomylił się. Nie było łatwiejsze.

Zajął im rozmową kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów.

Bo chociaż Ridley bardzo chciała odpowiedzieć twierdząco – gdyż powrót do Gatlin, do tego wszystkiego, co sobą prezentowało, marzył się jej bardziej, niż mogła przypuszczać – w głębi serca wiedziała, że nie może tym narazić na niebezpieczeństwo wszystkich, na których jej zależało. Nie zaryzykowałyby nawet ujawnienia im, dokąd oni oboje zmierzają.

*Nie, gdy rzecz dotyczyła Silasa Ravenwooda. Czy też, co gorsza, Abrahama.*

– To dokąd jedziemy? Skoro nie mogliśmy zostać w Nowym Jorku, a nie możemy też wrócić do domu? – Bo tego Ridley jeszcze zdołała dopracować.

– Naprawdę nazwałaś Gatlin *domem*?

– Nie wykręcaj się od odpowiedzi – zaprotestowała Ridley, wykręcając się od odpowiedzi.

Link uśmiechnął się szeroko, wałąc dłonią w kierownicę.

– Dokąd jedziemy? Ty i ja? Tam, gdzie muzyka i magia, mała. Znam takie miejsce. Jest tylko jedno.

– Tak?

– Jasne. Pisane jest mu stanowić dziesiąty rozdział mojej autobiografii. Wiesz, *Gwiazdy z Karoliny*. Opowiadałem ci już o nim? Rid musiała się zastanowić.

– Viva Link Vegas?

– Nie, tam magia jest tylko pod publiczność. Poza tym to rozdział dwunasty, ten z białymi tygrysami. Gdy moje struny głosowe już siadły i się roztyłem na skutek obżerania się smażonym masłem orzechowym.

– Mrugnął do niej.

Ridley odpowiedziała uśmiechem. Nie wiedziała, czy sobie z nią nie pogrywa.

– Dokąd, szalona pałko? Bo jeszcze wykorkujesz na kibelku, zanim mi powiesz.

– Też masz pomysły. Swoją drogą, to nie najgorszy pomysł na zgon.

Ridley nie była tego taka pewna, ale przynajmniej nie był to ani ogień, ani też kajdany. Zaciekawilo ją, jaka była trzecia wizja Noxa, ostatnia z tych, które zobaczył.

Ta, o której jej nie opowiedział.

Znów spojrzała na Linka.

– Wykrztuś to wreszcie. Dokąd jedziemy?

Link już miał jej to powiedzieć, gdy z radia dobiegły dźwięki *Stairway to Heaven* i musieli przerwać rozmowę.

Tak głośno jedyna obowiązująca w Rzęchu reguła.

Ridley miała więc przed sobą trzy minuty oczekiwania na wyjaśnienie.

Owinęła sobie wokół palca różowy kosmyk, rozmyślając o tym, dokąd zmierza i co za sobą zostawia.

Link śpiewał, radio grało, wiatr zaś wiał. Szyba w oknie od strony Ridley była opuszczona, a jej ręka wisiała na zewnątrz, pławiąc się w słonecznym cieple. Po jednej stronie autostrady widać było krowy, po drugiej konie. Jak okiem sięgnąć, wszędzie stały okrągłe bele siana, obwiązane sznurami jak świąteczne prezenty.

Ridley czuła się zadziwiająco dobrze jak na kogoś z poobijanym sercem, i z ceną wyznaczoną na swoją głowę. Jej pierścień postukiwał o bok samochodu i nie tylko nie widziała, czy się jarzy, ale nawet jej to nie obchodziło.

I z tej też przyczyny nie widziała pędzącej prosto na nich ciężarówki.

*Cukiereczku...*

Ludzie mówili potem, że słup ognia, po wybuchu baku, wysoki był na dwa piętra.

*Szalona pałko, nie zostawiaj mnie...*

Tył Rzęcha? Zgnieciony, wyglądał jak porzucony akordeon.

*Schody. Płomienie. Niebo.*

*Stairway to Heaven* leciało dalej, dopóki ogień nie dosięgnął radia.

## *Podziękowania*

Tak wielu ludzi połączyło siły, by zapewnić naszym czytelnikom kontynuację losów Ridley i Linka oraz świata Obdarzonych w *Niebezpiecznych istotach*. Ostatnie sześć miesięcy zakrawało na cud.

Naszym agentkom, Sarah Burnes (i wszystkim w Gernert Company, w imieniu Margie) oraz Jodi Reamer (i wszystkim we Writers House, w imieniu Kami), które współpracowały, jak zawsze, z wdziękiem i ogólnie niesamowicie.

Naszym redaktorkom, Kate Sullivan (dla Margie) i Erin Stein (dla Kami), podobnie jak naszej byłej redaktorce, Julie Scheina, które od samego początku były nie tylko cierpliwe i znakomite, ale i pełne pasji jako #TeamLinkAndRidley,

Działom wydawniczemu, sprzedaży, marketingu, reklamy, obsługi szkół i bibliotek, graficznemu oraz korektorskiemu Little, Brown Books for Young Readers, niezmiernie pracującym na rzecz wszelkich Obdarzonych.

Nauczycielom, bibliotekarzom, księgarzom, blogerom, dziennikarzom, tumblerowcom, twitterowiczom, facebookowiczom, kuzynom, ciotkom, wujkom, przyjaciółom, przyjaciółom korespondencyjnym, uczestnikom Young Adult Book Festival i przede wszystkim wam, DRODZY CZYTELNICY (UWAGA: TO DO CIEBIE), którzy poszerzając świat Obdarzonych, stajecie się NAJWIĘKSZYM FANDOMEM W DZIEJACH LUDZKOŚCI.

Ofiarujemy wam wszystkim olbrzymie, na miarę Wesleya Lincolna, podziękowania.

Szczególnie jednak pragniemy podziękować naszym rodzinom. To wy, kochani, stanowicie razem miłość naszych indywidualnych żywotów. Każdego dnia doświadczamy waszego uroku.

Lewisie, Emmo, May i Kate, a także Aleksie, Nicku i Stello, dla was zachowałyśmy największe ze wszystkich, wiśniowe lizaki.

XO,

Margie & Kami

